

„Pełna zapadających w pamięć postaci, doprawiona intensywnością dzieciństwa - ta debiutancka powieść towarzyszy czytelnikowi jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony."

Waterstone's Books Quarterly

„Znakomita i niepokojąca... Szczegóły są zdumiewająco żywe - bujne, przesycone duszącymi zapachami życie Rodezji rozkwita na naszych oczach. Ogromne wrażenie wywiera sposób, w jaki Liebenberg unika wystudiowanego piękna, które charakteryzuje tak wiele świadomie literackich debiutów». Jej książka jest szczerą, obrazową i wolną od kategoriycznych osądów - podobnie jak dzieci, o których opowiada. Jest również pełna uroku, niepokojąca i przejmująco dziwna dla czytelnika, który nie wie zbyt wiele o południowej Afryce i jej najnowszej historii - to książka, która niczym pewien budzący postrach afrykański pasożyt wgryza się głęboko pod naszą skórę."

The Guardian

„Debiut, który pobudza wyobraźnię... historia opowiedziana z perspektywy ośmioletniej dziewczynki, dorastającej na samotnej farmie. Choć niewielki (z punktu widzenia całej ludzkości), ten sugestywnie zobrazowany świat jest wzbogacony widokami i zapachami Afryki."

p Mail On Sunday

"Znakomity debiut."

Daily Mail

Smak dżemu

i masła

orzechowego

odzwierciedla różnorodność smaków kreowanych i doznawanych w różnych zakątkach świata. Łączy się przy tym z kobiecością, ponieważ obejmuje powieści głównie przez kobiety i o kobietach napisane, w których smak przygotowywanych i spożywanych potraw miesza się ze smakiem życia - nie zawsze słodkim. Do ich lektury zachęca nie tylko egzotyka świata przedstawionego, lecz także swoista uniwersalność doświadczeń, które mogą stać się udziałem kobiety niezależnie od krajobrazu, jaki ją otacza, i od zasad rządzących jej istnieniem.

Namiot Fatimy * Miral at-Tahawi
Złoty rydwan Salwa Bakr
Lewą ręką przez prawe ramię • Selma Lonning Aaro
Bóg zwierząt • Aryn Kyle
Smak dżemu i masła orzechowego • Lauren Liebenberg
Miłość • Hanne Orstavik
Dziewczyny z Rijadu * Rajaa at-Sanea
Lauren Liebenberg
Smak dżemu
i masła
orzechowego
przekład
Małgorzata Trzebiatowska

smak słowa

Sopot - Londyn 2009

Tytuł oryginału: The Voluptuous Delights of Peanut Butter and Jam

Copyright © Lauren Liebenberg 2008

First published in Great Britain in 2008 by Virago Press

All rights reserved.

Copyright © 2009 for the Polish edition by SAW Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Współwydawca: Agnieszka Wójtowska, Windhorse, London

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz i Andrzej Karmoliński

Projekt graficzny książki i okładki: Agnieszka Wójtowska

Zdjęcia wykorzystane w fotomontażu na okładce:

© Marty Kropp / Fotolia.com

© Maksim Filipchuk / Fotolia.com

© Palabra / Fotolia.com

Motywy graficzne wykorzystane w książce © Dover Publications, Inc.

ISBN 978-83-928234-5-2

Druk: Druk Intro S.A.

ul. Świętokrzyska 32,88-100 Inowrocław

Smak Słowa

ul. Fiszera 15/1 b

81-784 Sopot

tel./fax 58 551 01 98

www.smakslowa.pl

Podziękowania

Za podejmowanie ryzyka, za usuwanie przede mną przeszkód i za ogromny entuzjazm jestem na zawsze wdzięczna mojemu agentowi, Patrickowi Janson-Smithowi. Christopher Little Agency tworzy wspa-

niałe środowisko, do którego niewątpliwie warto należeć.

Dziękuję Lennie Goodings, mojej redaktorce, za doprowadzenie Smaku dżemu i masła orzechowego w rejony, gdzie nigdy nie odważyłby się wyruszyć bez jej udziału. Całemu wydawnictwu Virago za niesłabnącą błyskotliwość.

Mojej wyjątkowej i cudownej rodzinie, w której - trzeba to powiedzieć - tkwi niezwykły twórczy zacyzn!

I Markowi, mojej miłości, który to wszystko umożliwił.

Dziękuję.

Nota historyczna

Historia, którą przeczytacie, wydarzyła się w umierającym kraju.

W 1965 roku brytyjska kolonia Południowej Rodezji pod wodzą premiera Iana Smitha ogłosiła „jednostronną deklarację niepodległości” (unilateral declaration of independence - UDI), by udaremnić Brytyjczykom przekazanie władzy w ręce rdzennych mieszkańców Afryki. Oszukana miejscowa ludność chwyciła za broń przeciwko białym władcom Rodezji, której niedawno nadano tę nazwę.

Dwa plemiona: północne Shona, rządzone przez Roberta Mugabe, i południowe Ndebele, pod dowództwem Joshuy Nkomo, podjęły długą i krwawą kampanię, znaną jako „Bush War” (Walki w dziczy) wśród białych Rodezyjczyków oraz jako „Druga Chimurenga” („bunt” w języku Shona) wśród czarnych.

W warunkach zimnej wojny walki te były usilnie podsycane, a bojownicy o wolność cieszyli się poparciem zarówno Chińskiej Republiki Ludowej, jak i Związku Radzieckiego. Co więcej, śródlądową Rodezję otaczali wrogo nastawieni sąsiedzi, szczególnie od niedawna niepodległe Mozambik i Zambia. Rasistowska Republika Południowej Afryki początkowo sprzymierzyła się z Rodezyjczykami, lecz później pod międzynarodową presją wycofała swoje poparcie i zaoferowała Rodezję jako baranka ofiarne.

Nieuznana przez inne kraje i podlegająca sankcjom Organizacji Narodów Zjednoczonych od dnia swojego powstania, Rodezja w latach siedemdziesiątych XX wieku borykała się z poważną zapaścią ekonomiczną, spotęgowaną przez powołanie do wojska wszystkich białych mężczyzn.

7

W końcu odizolowani, odnotowujący coraz większą liczbę ofiar śmiertelnych i umęczeni walkami oraz fatalną sytuacją ekonomiczną, Rodezyjczycy poddali się. Zawieszenie broni doprowadziło do wyborów w 1980 roku, które wygrała organizacja ZANU - PF1 Roberta Mugabe. Narodziło się nowe państwo - Zimbabwe.

Zimbabwe African National Union - Patriotic Front (przyp. tłum.).

Pamiętam, że padało tego dnia, kiedy przybył do Vumby Był to obfity afrykański deszcz, wyganiający skrzydlate mrówki z parującej ziemi.

Teraz, po tylu latach, deszcz przywołuje duchy cienia i światła, i smutku.

Zabiera mnie z powrotem do mojego lasu, do grupek złotych kulistych pajęczków, wysypujących się z kokonu na gniazdo z jedwabiu, do stłumionego oddechu zaduszających się nawzajem pnączy, do modliszki, która delikatnie, ale zachłannie pożera swojego kochanka, gdy na opadłych liściach łączy się z nim w akcie miłosnym.

Minęło jednak wiele lat - byłam wtedy tylko dzieckiem. Zastanawiam się, ile z tego, co noszę w sercu, jest prawdziwe. Pamiętam, że kiedy się pojawił, do naszego ogrodu niewinności wkradło się jakieś szaleństwo.

Cia jest moją siostrą, a ja jestem jej wodzem. Siedzimy teraz obie na kamiennych schodach przy drzwiach kuchni i jemy kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Cia jak zwykle rozkłada swoją i powoli wylizuje nadzienie, a ja ściskam kromki chleba w dłoniach tak długo, aż zaczyna spomiędzy nich wyciekać breja z masła orzechowego i dżemu. Wtedy łykam ją łapczywie.

Czasem pijemy herbatę tak, jak to robią Afs1 - zanurzamy nasze kanapki w zielonych, emaliowanych kubkach, potem odgryzamy mokry kęs i pociągamy łyk herbaty, która, zanim ją połknimy, rozlewa się po całym gardle. Musimy udawać, że nasze kanapki to nie delikatne, pozbawione skórki ćwiartki skibek chleba, ale obfite afrykańskie pajdy. Nazywa się to mieszanie cementu, a nam nie wolno tego robić. Jeżeli zostaniemy na tym przyłapani - na wrzucaniu cementu i chichotaniu - mama krzyczy na nas, żebyśmy nie były tak odrażające przez całe nasze odrażające krótkie życie. Robimy to tylko po to, by chatf Afs, ale w końcu zawsze wracamy do rozkładania, lizania i zgniatania. Później rozciągamy się jak jaszczurki na szorstkim kamieniu i zlizujemy z palców okruchy.

Cia jest mniejsza ode mnie, ale niedużo, i jest tutaj tak długo, jak tylko pamiętamy. Jednak przekonałyśmy się, że ponieważ jestem większa i starsza, wiem wszystko, czego nie wie Cia, i to ja powinnam być induna.

Zob. słowniczek na końcu książki, w którym znajdują się wyjaśnienia użytych w powieści wyrazów nieangielskich, w większości pochodzących z różnych języków afrykańskich (przyp. red.).

*|

- Co będziemy teraz robić? - pyta po chwili.

- Nie wiem - odpowiadam. Niespiesznie zbliżamy się do huśtawek

- jeśli mam być szczerą, są to po prostu zużyte opony, przecięte na pół i zawieszane na gałęzi starej akacji - obracamy się w nich, skręcając sznur tak ciasno, jak to tylko możliwe, potem odpychamy się nogami od ziemi i szaleńczo wirujemy. Trochę mi niedobrze, ale i tak jest to niezły sposób spędzania czasu.

Jednak Cia jest innego zdania. Kołysze się teraz smętnie, czekając na coś - na cokolwiek - co przerwie stały rytm naszego dnia. Przez wszystkie minione lata - siedem i pół dla Cii i osiem i trzy czwarte dla mnie - nasze dni na farmie, gdzie się urodziłyśmy, nabrały jednoznaczności, metronom rytuału odmierzał wydeptaną ścieżkę słońca na spłowiałym błękitnym niebie.

Poza farmą nie ma nic. Daleko do jej krańca - do linii ogrodzenia, którą zajmujący się nim chłopiec obchodzi w kilka dni - i stamtąd wszędzie daleko. Tata mówi, że to tylko trzydzieści kilometrów pełną drogą do Umtali, ale trzydzieści kilometrów to bardzo dużo dla kogoś, kto musi się trzymać na tylnym siedzeniu landie.

Zazwyczaj kiedy kończymy się huścić, wrzucamy mrówki do dołeków mrówkolwów pod huśtawkowym drzewem. Te dołki to małe, wykopane przez mrówkolwy kraterki w ziemi. Mrówki, które ześlizgną się (lub zostaną wrzucone) do takiego krateru, nigdy się zeń nie wydostaną - jego ściany są zbyt strome i zbyt łatwo się osypują, by się na nie wspiąć - ale mrówki i tak próbują z całych sił i to uruchamia pułapkę: lawina piasku, którą wywołują, wdrapując się gorączkowo po brzegach dołka, alarmuje uśpionego mrówkolwa. Wygrzebuje się on z kryjówki poniżej i zjada je żywcem.

Ale dzisiaj jest inaczej. Dziś Cia dostaje to, na co czekała: powietrze przecina rozdzierający wrzask. Odpychamy łokciami opony i puszczamy się biegiem do khaya zamieszkałego przez A/s, skąd nadpływa ten dźwięk.

Kiedy tam docieramy, trwa już rzeź kurczaków. Chociaż na farmie wykluwa się tyle samo kurczaków, ile jest ubijanych, nas bardziej od narodzin ekscytują rzezie. Wdrapujemy się na stertę kompostu, aby patrzeć z góry, siedząc w ciepłym gniazdku z gnijącej roślinności, wzruszanej przez grube zielone robaki chipolata.

12

Tak naprawdę nie wolno nam czaić się w khaya na podobieństwo dwóch kundli, ale i tak tam idziemy i szukamy miejsca, skąd dobrze widać. Budynki kompleksu są niskie i przysadziste, mają ciemne wejścia zionące wapnem. Mieszkają tu wszyscy pracownicy farmy ze swoimi żonami i picanin - razem około czterdziestu rodzin. Kompleks wyznaczają stojące kołem chwiejne lepianki z dachami z patyków i siana, jak w bajce o trzech małych świnkach. Są tu hordy picanin pętających się po dziedzińcu z ubitej i zamiecionej na łyso ziemi. Picanin nazywają się Siphó, Themba, Javu i Bóg wie, jak jeszcze; mają pokryte strupami kolana i pępki sterczące z brzuchów jak błyszczące kulki z czarnego szkła. Wpatrują się we mnie i w Cię trochę zuchwale, ale stara Blessing2 zawsze jest dla nas miła. Kuca przy ogniu i daje nam do ssania kawałek sadza obtoczony w cukrze. Nasz dziadek, Oupa, mawia, że nie jesteśmy ani trochę lepsze od bandy śmieciarzy.

Kurczaki, które mają dzisiaj umrzeć, zostały już wyłapano z wy-

biegu i przyniesione na miejsce egzekucji - do pnia starego drzewa - wspaniałomyślnie poza zasięgiem wzroku pozostałych kurcząt. Zbijają się w kupkę w swojej klatce, gdacząc cicho, ale dla mnie brzmi to trochę histerycznie. Kat o imieniu Jobe, który jest także naszym służącym w domu, stoi obok, w jego rękach spoczywa siekiera przygotowana do ścinania głów skazanych kurcząt. Blessing, żona Jobe, pracowicie skubie martwe sztuki niedaleko przy ocynkowanym zlewie. Woda nabrała krwistoczerwonej barwy i zmętniała od piór. I chociaż cała ta egzekucja tworzy pasjonujący spektakl, tak naprawdę czekamy na to, co następuje po niej. W przerwie śpiewamy refren piosenki To facet z siekierą, co utnie ci łeb.

- „Łup! Łup! Łup! To już ostatni trup” - krzyczy Cia donośnie.

Potem, przytrzymując kurczaka za szyję, Jobe robi zamach siekierą. Na mgnienie oka zwalnia w najwyższym punkcie łuku. Kiedy ostrze opada, odcinając szyję zwierzęcia, Cia gwałtownie nabiera powietrza i chwyta mnie za nadgarstek. Wzdrygamy się. A wtedy, choć trudno w to uwierzyć, bezgłowe i bez życia, kurczę wyrywa się i zaczyna biegać, zataczając koła, krew tryska z przeciętej tętnicy. Paznokcie Cii wbijają się coraz głębiej w moją skórę, w miarę jak kurczak tań-

2 blessing (ang.) - błogosławieństwo (przyp. red.).

czy swój taniec, dopóki - pozbawiony krwi i ducha - nie upada na piach. Dopiero kiedy leży zupełnie bez ruchu, Cia puszcza moją rękę, pozostawiając na niej małe białe półksiężycy. Blisko przy moim uchu słyszę ciepłe, wilgotne westchnienie. Przyglądamy się wciąż od nowa, jak kolejne kurczęta, martwe, lecz nadal żywe, tańczą dla nas taniec śmierci.

Jest późne popołudnie, kiedy wlecemy się wzdłuż krętej ścieżki w stronę domu, nasze cienie wyglądają groteskowo, do chwili kiedy dom staje się widoczny. Moje myśli także ocienia jakies złe przecucie.

Stary dom przypomina ruiny. Pnącza powoli zaduszają filary stojące wzdłuż frontowej werandy, a falbaniaste porosty żywią się przezartymi gangreną dachówkami. Wewnątrz domu, chłodnego i ciemnego, znajdują się wysokie pomieszczenia, płyty w stylu art deco, sprowadzone z Europy do hallu wejściowego, są teraz popękane, poprzecinane ciemnymi żyłami, belki z zambezyjskiego drewna tekowego w pozostałej części domu są miejscami zbutwiałe. W nocy skrzypią i jęczą, jak gdyby torturowało je we śnie coś, co skrada się od okapów.

Dom nazywa się Modjadji, bogini deszczu, i został zbudowany przez naszego Pradziadka w 1912 roku. To tak dawno temu, że nie żyje już nikt, kto pamięta, jak wznoszono ten budynek. Rok budowy został wyryty na płaskorzeźbie na owalnej płycie osadzonej w szczycie w stylu cape dutch. Czasem myślę o dłoniach, które wyryły tę datę w 1912 roku, martwych teraz dłoniach. To Pradziadek wyznaczył

granice otaczającej dom ziemi położonej w cieniu gór Vumba, leżących na wschodzie naszego kraju, Rodezji. Oupa wciąż od nowa opowiada legendę o tym, jak Pradziadek musiał przez lata się mozolić, by wyrwać tę farmę z dzikiej afrykańskiej ziemi. To jego krew, pot i łzy przemoczyły tę ziemię i każde następne pokolenie przejmuje jego dziedzictwo. Także moim i Cii obowiązkiem jest przejęcie tej schedy, kiedy przyjdzie na to czas, chociaż niestety nie jesteśmy synami. Na gzymsie kominka, nad paleniskiem w voorkamer stoi dagerotyp Pradziadka w wyblakłym kolorze sepii, osadzony w ozdobnej metalowej ramce. Czasem podnoszę Cię tak, by mogła go zdjąć, i przyglądamy się mu, zafascynowane tym echem przeszłości. Jednak 14

szczerze mówiąc, w staromodnym kołnierzyku, sztywny i wyniosły, Pradziadek wygląda na człowieka raczej nieprzystępnego. Kryje się to przede wszystkim w jego oczach - są uprzejme, ale bezbarwne. Po chwili muszę odwrócić wzrok. Jeżeli patrzę na ten portret zbyt długo, czuję, jak te upiorne oczy mnie obserwują.

Na zewnątrz zachodzi proces rozkładu, lecz jest to cudowny rodzaj rozkładu. Dekadencki. Powietrze jest ciężkie i pachnące, ale wypełnione delikatnym słodko-mdlącym aromatem - aromatem zgnilizny - jak mówi Oupa. Wydaje się zmiękczać światło, spowijając mgłą zbyt żywe kolory w ogrodzie.

- Cholernie obsceniczne - mawia o tym Oupa, potrząsając głową.
- Jak paryski burdel.

Bugenwilla zwiesza się z wysokiego drzewa iglastego, wielkie drzewiaste paprocie rozkładają się tu od czasów poprzedzających rajski ogród, a ziemia, w której uwielbiamy z Cią grzebać, jest piaszczysto-ilasta i ryją w niej ciemne, oślizgłe stworzenia podziemnego świata. Dojrzałe owoce mango pękają, a ich fermentującymi wnętrznościami obżerają się grube muszki owocowe, które zdychają pijane, rozdęte i ogłupiałe w słońcu.

- Do tego właśnie dochodzi, kiedy próbujesz narzucać angielską kulturę barbarzyńskim ludom - mruży Oupa ponuro. - Wszystko się psuje - robi się obrzydliwe i cuchnące. Ale czy ta wasza mama, która tęskni za czymś, czego nigdy nie poznała, kiedykolwiek przeniknie wzrokiem swoje zbyt ozdobne, zbyt jaskrawe klomby i zauważy pod nimi smród zepsucia? Czy to zobaczy, do diabła!?

Zamyśla się na chwilę.

- Czego nie zobaczy, dziewczynki?

- Smrodu zepsucia, Oupa.

- Taa, nie rozpozna, bywa taka donkiszotowska. Ona i jej fantazje.

Mama jednak ignoruje Oupa i cały ten smród. Być może dała już sobie spokój z Modjadji - wielką, butwiejącą rudera - ale jest bardzo oddana swojemu ogrodowi.

Tarasy wycięte ze stromego górskiego zbocza stają się coraz bardziej nierówne w wyższych partiach wzniesienia, aż wreszcie znikają w ciemnym gąszczu dziewiczego lasu.

15

Trzy pasożytnicze pnącza powoli zacieśniają uścisk na konarach drzewa żywiciela, ich długie, wijące się korzenie docierają w dół, do gruntu; bujne poszycie ożywiają szepty i drapania małych, tajemniczych żyjątek; grzyb wyrasta ze śliskich, butwiejących pni drzew i żywi się śmiercią.

W lesie to, co żywe, żeruje na tym, co martwe.

Pochowani są tutaj dawni wojownicy Shangani i czasami deszcz plądruje groby, splukując szkielety wojowników w dół zbocza, i rozłószcza tym przodków - czyni ziemię przeklętą.

Miejsce to, nazywane przez Oupa Rajem Utraconym, należy do Cii i do mnie.

Jednak dzisiaj w drodze powrotnej do domu mój niepokój wynika tylko z tego, że założyłyśmy nasze poncha. Są wspaniałe, wydziergane we wszystkich wyobraźalnych odcieniach lodów, zakończone frędzelkami, ale teraz poplamione krwią kurczaków i uwalane kompostem.

Rano, kiedy ściągnęłam je z wieszaków z tyłu naszej szafy, myślałam, że to dobry pomysł. Nawet nie musiałam tak bardzo namawiać Cii.

- Jislaaik, Nyree! - wciągnęła powietrze i machnęła ręką. - Oberwie ci się.

- Dlaczego? Chcesz jej powiedzieć? - fuknęłam tak pogardliwie, jak tylko potrafiłam.

Wpatrywała się we mnie w napięciu przez długą chwilę, potem przeniosła wzrok na nasze poncha. I uległa mojej prowokacji - kazała mi się zamknąć i wyrwała dłoń z mojego uścisku.

Każda z nas założyła poncho, następnie energicznie wtarła wazelinową galaretkę w policzki, by błyszcząły. Spychałyśmy się nawzajem z drogi, by lepiej zobaczyć się w starym, pokrytym skazami lustrze, zamocowanym na drzwiach naszej dużej, drewnianej szafy. W tamtym momencie, w swoim poncho w kolorze lodów, ze śmiesznie błyszczącymi policzkami, Cia była z siebie bardzo zadowolona, ale teraz na pewno czuje się winna. Sytuację pogarsza jeszcze fakt, że pod poncho - pokrwawionym i zabrudzonym kompostem - Cia ma mój fioletowy trykot. W skrytości ducha jestem śmiertelnie przerażona, że mama nas złapie, a złapie nas na pewno.

Zerkam w górę i widzę ją, jak czeka na nas na stoep i już z daleka zauważa nasze poncha. Wbijam ręce głęboko w kieszenie ogrodniczek

16

i gwizdzę fałszywie, tak jakbym nie miała żadnych zmartwień, a kątem oka widzę, jak Cia próbuje przywołać na twarz nieśmiały uśmiech, ale w efekcie hardo spogląda do góry

Twarz Cii ma w sobie pewną bezczelność, która podstępnie po-

zbawia ją słodyczy, a uśmiech kota z Cheshire mruży jej oczy. Z tym wszystkim przypomina ona małą, szelmowsko zadowoloną z siebie chińską małpkę - uroczą w sposób, z którym nie mogę konkurować. Jednak urok nie uratuje dzisiaj żadnej z nas. Kiedy dochodzimy do stopni, gwizdzą jeszcze bardziej fałszywie, a Cia poddaje się i wygląda na zwyczajnie przestraszona.

Nie winię jej za to. Mama ma minę, która napędzi pietra każdemu. Wpatruje się w nas i nie mówi ani słowa, zaczynam więc pleść coś o tym, jak zaatakował nas pies z khaya, który najprawdopodobniej miał wściekliwość, i jak zaczął jeść nasze poncha, i miałyśmy szczęście, że nie zjadł także nas, ale z rozpościerających się za Mamą cieni odzywa się Oupa i mówi, że dostrzega kłamstwo wyzierające zza moich zębów, a Mama nie raczy nawet podjąć okropnego tematu naszych ponch, tylko syczy:

- Idźcie do swojego pokoju. Natychmiast. I przyjdźcie na kolację tylko, jeżeli jesteście gotowe narażać życie.

Wlokę się na górę, Cia tuż za mną. Mamy siedzieć i myśleć o tym, jak wstydzimy się swojego zachowania, lecz później, raczej głodne i znudzone niż zawstydzone, szpiegujemy Człowieka. Każdego wieczoru, kiedy zamiera generator, zajmujemy nasze stanowisko wartownicze. Klęcząc na moim łóżku, spowite w sekretną, cieniastą przestrzeń poniżej zwojów butelkowiezielonych zasłon w tureckie wzory, z Cią, która kurczowo trzyma Grovera - swojego wyliniałego, jednookiego misia - patrzymy przez szybę. Kiedy tak czai się w cieniu sąsiedniej szopy, wydaje się, że ma na sobie długi, bezkształtny trenecz, a na twarz nasunął filcowy kapelusz. Stoi zupełnie bez ruchu, budząc przerażenie. Jakaś część mnie wie, że tak naprawdę go tam nie ma, że stworzony jest tylko z cieni i światła, ale nadal wpatruję się w niego, czując, że coś pełźnie mi po karku.

Potem leżę w ciemności, serce bije mi w piersi tak mocno, że czuję je także w głowie, i przez poduszkę słyszę jego echo. Brzmi ono zadziwiająco podobnie do chrzęstu kroków na żwirze.

17

- Nyree? - szepcze Cia w pajęczej ciemności. - Nie śpisz?

Cisza.

- Nyree - szepcze znowu, z uporem.

Udaję, że mruczę coś przez sen.

- Czy mogę spać w twoim łóżku? Prooszę.

Wzdycham.

- No dobrze - mówię tonem, który nie oddaje mojego nastroju, ale który obie musimy usłyszeć. Cia i Grover gramolą się przez ciemny, przyprawiający o dreszcze korytarzyk pomiędzy naszymi łóżkami i z wdzięcznością mościmy się razem w łóżku.

- Zaniedbywanie obowiązków - cedzi Oupa przez zęby - to prosta

droga do zatracenia.

Chociaż obie z Cią dobrze znamy kazania Oupa - słuchanie ich to część naszych codziennych obowiązków - często jednak nie rozumiemy słów, które brzmią jak wyjęte z Biblii. Ale co do istoty nie mamy wątpliwości: obowiązek a potępienie. Obowiązek i skazanie na potępienie za niewywiązanie się z niego zawsze stanowi sedno kazań Oupa, który zasiadając na stoep w swoim starym trzcinowym fotelu o wielkim wachlarzowatym oparciu i żłowiąc gin z tonikiem, rzeczywiście miał warunki, by je wygłaszać.

Przez większość dni dotyczą one mozolnej pracy Pradziadka (choć po przedyskutowaniu tego sam na sam Cia i ja podejrzewamy, że Pradziadek raczej nadzorował mozolną pracę A/s).

Mama siedzi w bibliotece przy dużym biurku, obitym skórą, na której Cia wyryła swoje imię, i ze zmarszczonymi brwiami robi rachunki farmy - wpisuje kolumny malutkich liczb w oprawione w marmurkowy papier księgi. Nie wolno nam tam wpadać ani robić hałasu, bo inaczej, Boże odpuść jej, czeka nas chłosta. Widzimy jej ciemną, pochyloną głowę i włosy związane z tyłu w koński ogon. Oupa ma pomagać mi w odrabianiu pracy domowej, ale trafia go szlag, kiedy musi zastępować nam nie tylko nianię, ale i guwernantkę, i nie pozostaje mi nic innego, jak powtarzać sobie głośno mnożenie przez sześć, kiedy siedzę na kiblu. A teraz siedzimy i słuchamy o mozolnej pracy.

W niektóre dni przychodzi Jobe i ratuje nas z opresji. Zostawia swojego pomocnika, Philemona, z górą rzeczy do prasowania i za-

19
biera nas taczka należącą do ogrodnika, Washingtona, na robienie figurek z błota, a Oupa nawet tego nie zauważa. Od czasu do czasu Oupa zbacza z tematu zalet mozolnej pracy. Jest to zazwyczaj dzień, w którym dawno temu ktoś umarł, dzień szczodrzej nalewanego ginu i zaczerwienionych, drżących policzków. W dni zaczerwienionych policzków słuchamy opowieści o Wuju Seamusie.

Wuj Seamus, zmarły brat Oupa, jest o wiele bardziej interesujący niż pracujący w mozole Pradziadek. Może się wydawać, że nie każdy w tej rodzinie wykonywał swoje obowiązki tak dobrze, jak powinien. Wuj Seamus, na przykład, niewątpliwie zszedł na złą drogę.

Choć niejednokrotnie starałyśmy się pociągnąć Oupa za język, nadal nie bardzo wiemy, na czym polega „zejście na złą drogę”, lecz sądząc z tego, jak Oupa przeklina pamięć brata, musi to być coś haniebnego. Do tej pory Oupa ujawnił, że Wuj Seamus był Draniem i Synem Marnotrawnym, który uciekł od swoich obowiązków na farmie, wiódł rozpustne życie w mieście, gdzie przysparzał piekielnego wstydu i niesławy nazwisku O'Callohan, a teraz nie żyje i został pochowany - nie na rodzinnym cmentarzu na farmie, ale na cmentarzu w mieście. Cia i ja widziałyśmy kiedyś jego grób, na którym wyryto słowa: „Tutaj leży Seamus O'Callohan - zastrzelony w potyczce z kaffir” - było to

szokujące i emocjonujące zarazem.

Dzisiaj odgaduję, że nieodwołalnie zmierzamy do zaczerwienionych policzków, i widzę, jak Cia już czeka w napięciu na więcej skandalicznych szczegółów, które przybliżą nam Wuję Seamusa. I się nie rozczaruje.

- Do czego to prowadzi, dziewczynki? Zaniechanie obowiązków?

- Prosto do zatracenia, Oupa.

~ Yhm, tak jest rzeczywiście.

A dlaczego? Z powodu Lenistwa. Są tacy - nicponie i innego rodzaju nikczemnicy - którzy nie wypełniają swoich obowiązków z powodu rozwiązłości i próżniactwa. Seamus, choć Oupa mówi to z przykrością, niewątpliwie zaliczał się do takich nicponi, dotkniętych ogólną słabością charakteru.

Oupa potrząsa głową.

- Ale to tam, gdzie znalazł smak zakazanego owocu, znalazł też swój ostateczny upadek.

20

Na twarzy Oupa widoczne są zarówno lata spędzone w Afryce, jak i podobieństwo do europejskich przodków. To silna twarz, z uporem dającym się wyczytać z wystającej szczęki, pobrużdżona jak żółw skórzasty; Oupa jest łysy, ale brak włosów rekompensują sumiaste, podkreślone wąsy, z których jest bardzo dumny. Chociaż ma siedemdziesiąt lat, nie przeszkadza mu to chwalić się swoją krzepą, organizmem z żelaza i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Ma wysokie czoło, nos jak Rzymianie z Asteriksa i Obeliksa, kamienne spojrzenie niebieskich oczu, w tym jednego szklanego - i coś, co przypomina mi sepiowego ducha jego zimnego, wyniosłego ojca. Niesamowity, a przy tym szlachetny, obdarzony dzikim temperamentem. Kiedy pograża się w mrocznym nastroju, czujemy przed nim wielki respekt. Więc chociaż rozpaczliwie pragniemy usłyszeć więcej o zakazanym owocu Seamusa, nie śmiemy przerywać Oupa pytaniami. Pozwalamy mu zadumać się na chwilę, zanim zacznie mówić wtedy, kiedy sam zechce.

- I skoro mój brat rozkłada się w grobie od tylu długich lat, to nie jest w porządku, by budziło go jego potomstwo. Nic dobrego nie wynika z grzechów cielesnych, dziewczęta, nic dobrego. I to właśnie dlatego w piekle mają wyjątkowo gorące miejsce dla cudzołóżników. Przekleństwo rzucone przez Oupa za grzechy nie jest tak straszne, jak się wydaje. Tak naprawdę, jak mówi Mama, jest on heretykiem i równie często, jak wygłasza kazania, po prostu bluźni. Wiele razy Cia i ja, stojąc obok niego na stoep, byliśmy świadkami, jak ze strzelbą w dłoni głośno grozi, że napuści Nikczemne Sługi Szatana na przepelnione biblijnymi cytatami głowy świadków Jehowy, którzy od czasu do czasu wkraczają na jego posiadłość. Zastanawiam się, czy ja i Cia jesteśmy takimi Nikczemnymi Sługami i co zrobimy, jeżeli zostaniemy napuszczone na przybyszów.

Oupa został ekskomunikowany przed wieloma laty i mówi, że jest dumny z tego, iż w tamtej chwili stał się zatwardziałym poganinem. Regularnie nachodzi go teraz delegacja akwizytorek z Holenderskiego Kościoła Reformowanego, troszcząc się o jego straconą nieśmiertelną duszę. Chcą nieść Oupa słowo Boże, lemoniadę i soet koekies. Pod koniec spotkania, pociągając nosami, przyciskają swoje Biblie do piersi, potem ściskają kolana Oupa i spoglądają triumfująco, zapewniając, że się za niego modlą.

21

Jednak niezależnie od tego, czy byli to grzesznicy, czy też nie, chciałabym dowiedzieć się więcej o tym, kto obudził zmarłego, i próbuję naprowadzić Oupa z powrotem na kwestię potomstwa, ale nagle dostrzega on ogon koczkodana dyndającego na gałęzi pobliskiej akacji. - Szybko, dziewczyno, przynieś mi procę z szuflady stolika nocnego! Dorwę tego bezczelnego koczkodana, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię!

Oupa nie cierpi tych małąp. Główni wrogowie to stado żyjące w kępie akacji, tuż przy tylnych drzwiach domu, które wciąż wysyła ekipy nalotowe, aby porywały, co tylko się da. Złodziejskie nasienie. Kiedy byłyśmy małe, wierzyłyśmy w związane z koczkodanami kłamstwa Oupa. Opowiadał, że urodziłyśmy się jako mały, ale zostałyśmy złapanie jeszcze w okresie niemowlęcym, obdarte ze skóry i rozłożone na części, a nasze ogony rozwieszono na drzewie na biltong. Oupa uważa, że kiedy tu przybyliśmy, munts wciąż zwieszali się z drzew. Zastanawiam się, co się stało z ich ogonami. Pewnego dnia Cia zwierzyła mi się, że jej ogon zaczął odrastać. Zbadałam jej tyłek i, jak można się było spodziewać, zobaczyłam tam załazek ogona. Żadna z nas nie była zaskoczona. Uznałyśmy, że wkrótce wyrośnie jej futro i wszystko inne i znów zamieni się w koczkodana. Cia powiedziała mi, że będzie musiała odejść i mieszkać z innymi małpami na akacjach. Czułam zazdrość i trochę chciało mi się płakać, ale Cia wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

Koczkodany wiedzą, że Oupa jest ich wrogiem i że stanowi ostatnią linię obrony dzielącą je od naszego jedzenia, ich walki są więc heroiczne. Oupa zajmuje pozycję pod baldachimem splecionej winorośli, zacieniającej stoep przy kuchni, starannie ukrywa swoją broń i wykazując nieskończoną cierpliwość, udaje, że drzemie w swoim trzcinowym fotelu. To się nazywa podstęp, a koczkodany są albo naprawdę głupie, albo zbyt zachłanne, bo zawsze dają się nabrać. Gdyby miały choć trochę rozumu, trzymałyby się od Oupa z daleka, ale pokusa jest dla nich zbyt wielka i w chwili, gdy jego głowa opada na piersi, przemykają chyłkiem do drzwi kuchennych.

Gdy pierwsza małpa zwiesza się z najniższej gałęzi pobliskiej akacji i ukradkiem zaciska małe palce na nadprożu, Oupa prostuje się, celuje i wypala z procy do złodzieja, który wrzeszczy histerycznie, niezależ-

nie od tego, czy został trafiony, czy też nie. Wysoko w koronach drzew wybucha panika i stado małych dostaje białej gorączki. Oddaliwszy się na bezpieczną odległość, mały wyrażają swoją wściekłość, trzęsą gałęziami i bombardują Oupa różnymi pociskami. A on, jak jakiś stary szczwany lis, siedzi w środku wrzawy bitewnej, w deszczu spadających na niego strąków i gałązek, z kciukami wciśniętymi pod szelki i uśmiechem satysfakcji na ustach.

Najlepsze jednak zdarza się wtedy, gdy późnym popołudniem Oupa zasypia naprawdę, mrużąc coś do swoich piersi, a my opuszczamy nasze stanowiska. Przemykamy chyłkiem na tyły stoep, który biegnie dookoła całego domu, przeciskamy się przez sekretną dziurę w ogrodzeniu mającym powstrzymać Terrów i uciekamy do lasu.

Las to cieniście zaświaty szeptów i tajemnic. Tak naprawdę Cia i ja posiadamy niezwykłą moc - potrafimy żyć w dwóch światach jednocześnie: w świecie widzialnym i tym drugim - tylko odczuwanym. On zawsze jest, wokół nas, bije swoimi pierzastymi skrzydłami tuż pod powierzchnią zmysłów. Cia umie go wyczuć, ale to ja jestem jasnowidzem i podczas gdy ona korzysta z mojego szóstego zmysłu, to moje oczy otwiera las.

Zdarza się, że migną nam przed oczyma inne widoki - w nocy można łatwo pomylić wróżki z robaczkami świętojańskimi, świecącymi delikatnie pod krzakami, a raz, kiedy w świetle księżyca zakopywałam swoje ulubione jedzenie w ogrodzie na tyłach domu, by uzyskać niezawodne lekarstwo na kurzajki, ujrzałam na nocnym niebie prawdziwą eksplozję wróżek (Oupa powiedział, że na sąsiedniej farmie wypalili rance na znak SOS). Pewnej nocy Cia ujrzała Wombelki wspinające się po rynnę, ale ten obraz miał trochę koszmarne zabarwienie - najwyraźniej były to Wombelki Wynaturzone, które szły, by ją zabrać.

Inne obrazy przysły do nas za pośrednictwem innych osób. Kiedy Tata był chłopcem, obudził się kiedyś w środku nocy i odkrył, że wszystkie jego zabawki ożyły. Chociaż pragnęłam tego ponad wszystko i modliłam się do Jezusa z całej mocy, wciąż nie widziałam moich zabawek żywych. Chyba Cia przynosi mi pecha - ona śmiertelnie boi się tego, że na jej ukochane zabawki padłby zły czar. W nocy na każdy najcichszy dźwięk zaciska mocno oczy.

Chociaż jednak żyjemy w świecie przepelnionym magią, błahostki takie, jak zębowa myszka i wróżki-światliki, bledną w obliczu potężnej magii, która kryje się w lesie. Kiedy Cia i ja wchodzimy w jego niekończący się zmierzch, to, co ziemskie, ustępuje miejsca temu, co pozaziemskie - eteryczne. Kiedy zamyka się nad nami baldachim drzew, słyszymy, jak ciężkie konary szepczą sobie nawzajem prastare sekrety, dokładnie tak jak w opowieściach Dalekiego Drzewa¹. Przy

każdym stąpięciu czujemy wpatrzone w nas ukryte oczy. Schowane w lesie, wznosimy się ponad brud rzezi kurcząt, ponad masło orzechowe i dżem, i wolno nam wkroczyć do innego świata - tego, w którym wszystko mknie na skrzydłach babiego lata i wyraża proste pragnienie oderwania się od rzeczywistości.

Podobnie jak Tajemnicza Siódemka² mamy kryjówkę, tylko nasza jest lepsza. Na jednym ze starych tarasów ponad farmą opadająca z drzewa stinkwood³ kurtyna bluszczu otwiera się na niszę otoczoną kamieniami ze zrujnowanej starej przypory tarasu. Nisza znajduje się na skraju lasu i tam właśnie dziś pójdziemy, by lecieć do Baśniowej Krainy.

Przez całe miesiące Cia błagała mnie, bym zabrała ją ze sobą. Najpierw odmawiałam i tłumaczyłam, że jest za gruba na delikatne skrzydła, które wyrastają mi o północy, i że jej wielki bebech prawdopodobnie pociągnie w dół nas obie, jednak ona nie przestawała prosić i po jakimś czasie udało jej się złamać mój opór. A teraz nastala już noc, w którą obiecałam ją tam zabrać.

Czekamy, aż pod Mamy drzwiami zniknie smużka światła, ale nie ruszamy się nawet wtedy - chcemy, by poczuła się zmęczona, by przyszedł do niej sen. My też prawie zasypiamy - kiedy tak leżymy przy drzwiach naszego pokoju, przez moje ciało co jakiś czas przebiega gwałtowny dreszcz. W końcu uznaję, że jest bezpiecznie, The Magie Faraway Tree - seria książek dla dzieci napisanych przez angielską pisarkę Enid Blyton

(1897-1968) (przyp. red.).

The Secret Seven - seria książek dla dzieci autorstwa Enid Blyton (przyp. red.).

W języku angielskim oznacza to dosłownie „cuchnące drzewo”. Jest to nazwa nadana kilku gatun-

kom drzew, które wydzielają nieprzyjemny zapach, takim jak Ocotea bullata z Afryki Południowej

(przyp. tłum.).

24

otwieramy drzwi - zatrząsk skrzypi zdradziecko - i wyczołgujemy się na korytarz. Spowija go aksamitna ciemność, lecz my dobrze znamy jego długą, szeroką przestrzeń oraz wszystkie drzwi, jakie się z niego otwierają. Te od pokoju Mamy i Taty są na końcu, obok pustego pokój, naprzeciwko łazienka i ostatnia - nasza sypialnia. Bez przeszkód dochodzimy do podestu - nie musimy przy tym mijać drzwi Mamy - i przemykamy chyłkiem po spiralnych schodach. Ale gdy docieramy na dół i, mijając voorkamer, kierujemy się do hallu wejściowego w stronę drzwi zewnętrznych, nagle słyszymy, jak Oupa woła z sypialni na tyłach domu:

- Kto tam jest?

Zastygam w bezruchu. Cia głęboko wbija paznokcie w delikatną skórę na przegubie mojej dłoni, a ja próbuję wstrzymać oddech.

- Jislaaik! Jeśli nas złapią, to będziemy w tarapatach - ostrzegła Cia przed zapadnięciem nocy. Ze względu na Terrów i wszędobyłskie hieny nie wolno nam było włóczyć się za ogrodzeniem po zmroku. W hallu wtulamy się w siebie, pewne, że pod drzwiami Oupa zaraz pojawi się światło, ale nic takiego się nie dzieje. Zapewne pomyślał, że noc i sen zwiódły jego zmysły. Mija cały wiek i popycham Cię na przód. Ruszamy do drzwi frontowych i znowu żałuję, że nie ma innej drogi wyjścia, na przykład przez rosnące za oknem drzewo, jak u Braci Hardy4, ale nasze okna są okratowane i nie ma przez nie ucieczki. Otwieram zasuwkę jednego z okienek umieszczonych po obu stronach drzwi i powoli przesuwam górne skrzydło. Prześlizgujemy się przez szczelinę, najpierw ja, potem Cia, przechodzimy na paluszkach na tyły stoep, przebiegamy przez trawnik jak dwie zjawy odziane w koszule nocne i przeciskamy się przez tajemną dziurę w ogrodzeniu mającym chronić przed Terrami.

Kiedy wchodzimy do lasu, czuję dotknięcie lęku. Wydaje się, że wszystko uległo metamorfozie: kształty zmieniły się, słychać dziwne dźwięki i wyczuwam niewidzialną obecność czegoś, czego nie było tu nigdy wcześniej. Nie tak to sobie wyobrażałam. Muszę wykrzesać Bracia Hardy - bohaterowie opowieści kryminalnych dla młodzieży, powołani do życia w latach

20. XX wieku przez Edwarda L. Stratemeyera. W Polsce ukazał się pierwszy tom serii, zatytułowany

Bracia Hardy. Śmiertelne niebezpieczeństwo (przyp. red.).

z siebie każdy gram odwagi, by zanurzyć się w głębię lasu. Tylko wpatrzona we mnie z ufnością przestraszona twarzyczka Cii sprawia, że zbieram siły i chwyciwszy się za rękę, idziemy dalej.

Docieramy do kryjówki, ostrożnie unosimy zasłonę z bluszczu (żeby nie przeszkadzać jakiemuś nocnemu intruzowi) i wczołgujemy się do środka. Gdy chronią nas już ściany naszej nory, mój lęk ustępuje. Złe cienie zatrzymały się na progu i unoszą się tam, podczas gdy noc i las zaczynają rzucać inne zaklęcie. Chwila jest bliska i moje podniecenie się nasila. Zbieram się w sobie, zza gumki moich broekies wyciągam różdżkę zrobioną z chińskiej pałeczki do jedzenia i instruuje Cię, by przygotowała zaklęcie mające wywołać duchy.

Nauczyłyśmy się tego, podpatrując ceremonie ku czci przodków odprawiane przez A/s, i chociaż spieramy się o szczegóły, to wielogodzinne próby sprawiły, że potrafimy odegrać całkiem znośną imitację takiego obrzędu. Przyjmuję rolę głównego szamana i monotonicznie śpiewam modlitwę, w której częściowo naśladowuję afrykańskiego szamana, a częściowo cytuję naszą książkę braci Grimm. W tym czasie Cia zadowala się rolami drugoplanowymi - zawodzi, kiwa się i uderza w wyimaginowany bębenek.

- Bayede Nkosi!

- Bum ba-ba bum ba-ba bum!

Cia zamyka oczy.

- Abrakadabra! - macham różdżką i modłę się do ducha Angelique o boską interwencję. Angelique jest naszą zmarłą babką, żoną Oupa, niech spoczywa w pokoju, a ja otrzymałam po niej imię, przynajmniej to drugie, więc sędzę, że jest najlepszym spośród naszych przodków, do którego można się modlić. Poza tym obawiam się zwracać do Pradziadka, który się trudził i mozolił i miał takie puste oczy. Angelique jest bardzo tajemnicza, a jej sekrety pozostają zamknięte na strychu.

- Amen - mówię na zakończenie. - Pokój niech będzie z tobą.

Cia wykonuje znak krzyża.

- Idlozi liyabekwela - dodaję, co oznacza „duch przodka jest oczekiwany”.

Potem uroczyście kładę się na brzuchu na dużym granitowym bloku, Cia wdrapuje mi się na plecy, ciasno oplata ramionami moją talię i z nadzieją oczekujemy, aż wyrosną mi skrzydła.

26

Nagle wszystko się uspokaja, ciszy nie maći nawet przenikliwy pisk rudawki. Czekamy.

- Nyree?

-Cii!

Zewsząd otacza nas cisza.

- Nyree, dlaczego nic się nie dzieje? - Cia szepcze ciężko prosto w moje ucho.

- Nie wiem - syczę z irytacją. - To pewnie dlatego, że jesteś za ciężka.

-Och...

To wyraz najgłębszego zawodu.

Czuję się okropnie - nie zabrałam Cii do Baśniowej Krainy i, co gorsza, obarczyłam ją odpowiedzialnością za swoje niepowodzenie. Cia zsuwa się z moich pleców i siedzimy tak na skale w ponurej zadumie.

- Wiedziałam. Po prostu wiedziałam, że i tak tam nie dotrę - oznajmia w końcu, zwieszając nisko głowę.

- Ależ dotrzesz - mówię pocieszająco. - Wiesz, latam tam od niedawna i może moje skrzydła wzmocnią się na tyle, że za jakiś czas będę mogła wziąć cię ze sobą.

- Tak myślisz? - Na jej twarzy pojawia się promyk nadziei.

- Tak, jestem pewna, że cię tam zabiorę - mówię, teraz z większym przekonaniem. - Tak naprawdę może i tobie wyrosną skrzydła. Wstawię się za tobą. Wstawię się u Królowej, kiedy tylko znów się tam wybiorę. To może jeszcze potrwać, ale jestem pewna, że spełni ona moje życzenie.

Cia z wdzięcznością przyjmuje moje słowa i, pozostawiając za sobą naszą nieudaną próbę, jeszcze raz wyruszamy do lasu. Jednak czuję na sobie oczy śledzące nas w ciemnościach i wiem, że to oczy amadlozi.

Całe ich hordy unoszą się w cieniach: pustooki Pradziadek, Angelique z jej tajemnicami, Seamus z grzechami ciała oraz inne, czające się za nimi - czujne, głodne, cierpliwe.

Cia i ja przeszukujemy warzywnik Mamy. Jest późne popołudnie i przejrzałyśmy już najlepsze jego części. Teraz jesteśmy na grządkach zielonego groszku, poruszamy się zygzakiem raz w jedną, raz w drugą stronę. Zrywamy strączki, otwieramy je i wpychamy ziarenka do ust. Zanim tu przyszłyśmy, ogołociłyśmy krzak agrestu rosnący przy tylnym ogrodzeniu, granadillę za kuchennym oknem i objadłyśmy się fioletowymi owocami drzewa morwowego, posadzonego za sadem. Przez lata stałyśmy się lepsze od szarańczy w wyszukiwaniu takich dóbr i dopiero po dokładnym i fachowym zbadaniu, czy w ostatnim rządku są jeszcze strączki o odpowiedniej grubości, wleczeniśmy się do domu, cudownie poplamione i najedzone do syta.

Jednak gdy mijamy róg khaya należącego do A/s, zostajemy wyrwane z naszego rozleniwienia: wielka zwalista bestia rzuca się na nas z cieni. Cia krzyczy z radości. Bestia to nasz tata, który wrócił z buszu, a teraz przez cały ten czas, kiedy byliśmy szabrownikami, urządził na nas zasadzkę.

Jest zarośnięty, ma na sobie ubranie maskujące i śmierdzi - mieszaniną potu, dymu i oleju samochodowego. Z szorstką siatką pokrywającą kręcone włosy jeszcze bardziej przypomina bestię. Podnosi mnie w powietrze, jakbym była paczką chipsów Willards, i składa pocałunek na moim czole. Następnie sadza Cię na swoich szerokich ramionach i we troje ruszamy w kierunku domu, śpiewając głośno: "Pijemy shumba, pijemy tuzin butelek dziennie".

Tata jest jednocześnie bohaterem i kimś obcym. Odchodzi na bardzo długie okresy - prawie nie zauważamy, że odszedł, ponieważ przy-

28

zwyczałyśmy się do jego nieobecności - bo musi walczyć z Terrami. Nigdy nie widziałam żadnego Terra, chociaż kiedy dawno temu Cia zapytała mnie o to, powiedziałam jej, jak może go rozpoznać. Ze śladów wnioskuję, że Terr ma około półtora metra wzrostu, ślini się, a jego paznokcie u nóg są długie, postrzępione i brudne. Odrywa kończyny żywego koczkodana, by je obgryźć, a jeśli wpadnie mu w ręce szczeciniec, patroszy go krzywymi zębami i zlizuje jego wnętrzości z utyłanej brody. To właśnie dlatego jego zęby są ciemne i popsute - jeśli żywisz się żywymi zwierzętami, plamy z krwi pozostają na uzębieniu na zawsze. Cia skinęła głową z satysfakcją, tak jakbym potwierdziła to, co od dawna podejrzewała. Tak naprawdę wiem, że Terr to skrót od „terrorysty” i że Tata zawsze z nimi walczył, bo zawsze była wojna.

Dopiero gdy Tata wraca, zauważamy, że go nie było. Przychodzi zniecka, jak dawno zaginiony bojownik, i przewraca farmę do góry nogami. Kochamy popłoch, jaki wywołuje, kiedy kroczy dookoła,

dyrygując pracownikami, którzy niewątpliwie rozleniwili się podczas jego nieobecności, a teraz pierzchają na wszystkie strony na podobieństwo wystraszonych wildebees. Dreptamy za nim, gdy mocuje się z pompami przy zbiornikach wodnych rojących się od glonów i pijawek, potem mocuje się, by przepędzić stada mombies przez wielki bród w kolorze zupy grochowej, i mocuje się tak dalej, aż przywraca na farmie porządek. Temu mocowaniu się towarzyszy dużo przekleństw, gardłowe postękiwanie i prawienie kazań zgnuśniałej załodze.

- Hej, eiwel Co, do diabła, robili twoi munts, kiedy mnie nie było?

- tak przesłuchuje Jobe.

Nigdy jednak nie traktuje tak Mamy. Co, do diabła, robiła, kiedy jego nie było? Nie robiła niczego leniwie, zapewniam was, ale i tak wszystko zostało doprowadzone do kiepskiego stanu.

- Eish, Baas - to standardowa odpowiedź Jobe.

Tak naprawdę pozory szacunku, jaki Jobe okazuje baas, nie są bardzo przekonujące. To nie jest też brak szacunku, po prostu on nigdy nie wie, co, do diabła, munts robili. Nie jest mu bardzo przykro z tego powodu i całą tę sprawę uważa chyba za nieco zabawną. Tata prawie nie zwraca na to uwagi, tylko kiedy zasysa paliwo z zablokowanego zbiornika i je wypluwa, mamrocze jakieś symboliczne pouczenia.

Jeszcze lepsze, kiedy Tata jest w domu, są sobotnie wyprawy do Umtali Farmers' Co-op. Jest to wielka hurtownia przy stacji kolejowej w Umtali. Dojazd tam zabiera całe wieki - przy mijaniu farm i TTL musimy trzymać się mocno na tylnym siedzeniu landie.

Tribal Trust Lands to tereny, na których Afs mają swoje farmy. Mają tam również swoją szkołę, by nie przychodzili do naszej. Nie korzystają też z naszego bi-scope w mieście, chociaż nie wiem, gdzie mają własne. W ogrodzeniu wokół farmy jest dla nich specjalna furтка, tylko Jobe zawsze przemyka skrótem przez naszą, chociaż Oupa powtarza mu, że miewamy Ważnych Gości i czy Jobe myśli, że Ważni Goście chcą oglądać bandę munts, przechadzających się w tę i z powrotem? TTL, obok którego przejeżdżamy w drodze do Umtali, nazywa się Mutambara.

Szybkie obroty silnika landie wnoszą życie do małych kraal, położonych wzdłuż zrytej drogi. Półnagie piszczące dzieci i wychudzone psy biegną za tylnymi kołami, a zza zaciemnionych framug obserwują nas nieufne oczy. Są tam kurczaki i spętane kozy, które grzebią w łożdach mielies, kobiety niosące na głowach chybotliwe wiadra z wodą, a na plecach niemowlęta przytroczone kolorowymi kocami. Na spaza shop widnieją robione ręcznie znaki Coca-Coli i Lux Soap, obdrapane i przekrzywione.

W Farmers' Co-op Cia i ja gubimy się gdzieś w labiryncie zagród z kurczakami, kaczetami i prosiętami i kiedy dorośli odszukują nas wreszcie w biurze rzeczy znalezionych i prowadzą do samochodu, jemy kapiące na siedzenia lody, aż do chwili, gdy Cia zaczyna wymio-

tować, ponieważ wcześniej przejechała się na koniku mechanicznym. Nie wolno nam teraz będzie już nigdy postawić nogi w żadnym mieście w promieniu stu kilometrów, Bóg Tacie świadkiem.

Również Mama się przy nim zmienia. Nie kroczy już po farmie w rozszerzanych dżinsach ze strzelbą przewieszoną przez ramię, ignorując wygłupy kogoś takiego jak my, lecz rozpuszcza włosy, wślizguje się w satynową halkę i skrapia perfumami. Zmienia się również tembr jej śmiechu. Świat przechyla się wtedy niebezpiecznie i kręci mi się w głowie.

Kiedy Tata jest w domu, przypominam sobie mamę, jaka była kiedyś - bardziej nieśmiałą i łagodną. Nakładała na powieki błyszczący

30
zielony cień, robiła delikatne małe liliowe płatki z lukru, puszczała Ipi Ntombi z gramofonu i tańczyła z nami dookoła voorkamer, obracając się coraz szybciej i szybciej, tak że wszystkie miałyśmy zawroty głowy. Teraz nie ma czasu na takie głupstwa. Teraz ociera pot z brwi zwiniętym rękawem jednej z Taty koszul. Oupa mówi, że kiedy młoda kobieta nosi płaszcz wdowy wojennej, zanika w niej to, co delikatne. Nic mi o tym nie wiadomo. Tata przecież żyje, a jakkolwiek płaszcz wkłada Mama, którą znam, nie jest przez nią noszony, gdy on wraca. Cień jej przeszłego życia zaś nie może być tak delikatny, ponieważ wciąż wyziera spod spodu.

Zawsze kiedy Tata jest w domu, przesiaduje z Mamą długo w noc - na stoep w lecie, a przed kominkiem w zimie - i dyskutują o wojnie. Czasem Cia i ja okręcamy się wokół poręczy, by słuchać; teraz, gdy wiemy, że jest coraz gorzej, robimy to częściej.

Nie wiemy, na ile pogorszyła się sytuacja, ale Mama i Tata potrząsają głowami, a Tata gwizdże i mówi na przykład:

- Chryste, Amy, nic nie wiem, po prostu nic nie wiem.

Ostatnio dużo rozmawiają o czymś złym, co wydarzyło się w Afryce Południowej. Afryka Południowa jest zaraz obok naszego kraju.

Przecinają ją błyszczące autostrady, które prowadzą do morza oraz do miasta o nazwie Johannesburg, gdzie jest złoto, a całe rzędy półek w ogromnych supermarketach uginają się pod ciężarem takich słodczy, że nasze racje cukierków, landrynek i czekoladek Fredo Frogs wyglądają przy nich bardzo mizernie.

Południowi Afrykanie byli naszymi przyjaciółmi, ale przestali nimi być, ponieważ zrobili coś złego. Ja i Cia nie wiemy, jaką zbrodnię popełnili, ale to nie może być nic dobrego, skoro wszystkie inne narody ich o to oskarżyły. Ich wina wydawała się jeszcze większa, kiedy utrzymywali z nami przyjaźń, więc teraz ją zakończyli, i Tata sądzi, że bez następnej kropli paliwa i kolejnej kuli jesteśmy skazani na niepowodzenie. A my dobrze wiemy, co to znaczy.

Oupa i tak wiedział, że nigdy nie można wierzyć tym zdradzieckim łajdakom. Południowi Afrykanie. Ale przyjdzie i na nich czas.

- Biała Afryka jest mała, jej granice kurczą się z każdym dniem, a my tutaj stoimy na ostatnim bastionie, gotowi walczyć do śmierci, czego nie można powiedzieć o tchórzliwych, zahukanych Holendrach, którzy sprzedali nas jak Judasz Iskariota. Żałośni niewdzięcznicy. Ale przyjdzie i na nich czas.

To właśnie przez Terrów potrzebujemy kul. Są setki Terrów, z różnych grup, i potrzebujemy kul na nich wszystkich. Niektórzy Terrowie to Ndebele - jest to plemię z południa. Jobe jest Ndebele z Matabelelandu. Tata przeklina i nazywa ich Cholernymi Ndebele. Przywódcą Terrów Ndebele jest goryl nazywany Joshua Nkomo, chociaż kiedy widzieliśmy Joshuę Nkomo w telewizji, okazało się, że wcale nie jest gorylem, tylko zwyczajnym Af.

A teraz jesteśmy sami. Nikt nam nie pomoże.

Wiemy, że sytuacja się pogarsza także pod innymi względami. Oupa zaczął przesiadywać na stoep i skandować „Pamberi chongwe!”

„Pamberi chongwe!” to okrzyk wojenny Terrów. Oznacza „Naprzód, bracie!” W kuchni Jobe zaciska zęby, mówi: „Eish” i kiwa głową. Czasem Mama mija go w drodze do stajni i tylko wznosi oczy ku niebu. Potem Oupa krzyczy i zawodzi, przez co psy zaczynają wyć, a ja i Cia musimy ustawić się na trawniku i śpiewać refren „Będziemy walczyć za Rodezję, Rodezyjczycy nigdy nie zginą!”

Więc jesteśmy zmartwione. Jedyńm oprócz naszego krajem, jaki znamy, jest Anglia, ale tam nas nienawidzą z powodu UDI - deklaracji, w której Rodezja pozbyła się Królowej. Co roku Mama i Tata idą na Bal Niepodległości, by to uczcić.

Wszyscy jedziemy wtedy do Salisbury, przejeżdżamy tam alejami fioletowych aksamitnych drzew jakaranda i zatrzymujemy się we wspaniałym hotelu Monomotapa. Chłopak z naszej szkoły o imieniu Dell także mieszka w Monomotapie. Członkowie jego bandy, Psy Wojny, wyskakują przez okna i wpadają prosto do basenu, potem szybko zanurzają głowy, by nie przyłapali ich pilnujący terenu A/s. Ale my wiemy, kim oni są. Ja i Cia walczymy z Psami Wojny o automat z lodami znajdujący się w korytarzu. Tego wieczoru, kiedy ma się odbyć bal, Mama przeistacza się w Kopciuszka, a my wpatrujemy się w nią z otwartymi buziami i ogarnia nas dziwna nieśmiałość. W niedzielę możemy iść z dorosłymi na lunch w oficjalnej jadalni największego hotelu w mieście, Miekles. Jest tam bufet i sztywne lniane serwetki, złożone w korony, których nie wolno nam zakładać na głowy. Kelner dumnie nosi czerwony aksamitny fez, by wszy-

scy wiedzieli o wielkim znaczeniu UDI. Ale Anglia nienawidzi nas z powodu tej deklaracji, więc możemy być cholernie pewni, że nam teraz nie pomogą. Na szkolnym apelu zaczęłam się żarliwie modlić za naszych troopies.

Wizyty Taty nigdy nie trwają długo, więc zawsze, gdy przyjeżdża

do domu, czujemy się trochę tak, jakby były wakacje - we wszystko wkrada się zamęt - które kończą się, gdy tylko wraca do swojej jednostki w buszu. Kiedy siedzimy z Cią, obserwując Tatę, który wpycha swój ekwipunek wojenny do plecaka i jednocześnie wprowadza nas w tajniki pięknej sztuki biwakowania, czuję, że jego pobyt dobiega końca. Potem zarzuca plecak na ramiona i znowu znika z naszego życia, a jedyne znaki od niego to przesyłane pocztą lotniczą listy z marszczonego papieru, w których szkicuje specjalnie dla nas schematyczne figurki samego siebie w buszu, kiedy uzbrojony po zęby tropi Terrów.

- Sis\ To cuchnie.

Dell przyniósł do szkoły zdechłego szczura. Stoimy w gromadzie na skraju boiska - ja i Cia, i Psy Wojny w samym jej centrum - i gapimy się na niego. Leży na rozłożonym komiksie Spiderman należącym do Della. Dell znalazł szczura w zeszłym tygodniu i dał go swojemu psu, ale ten go nie chciał, więc Dell zakopał zdechłego zwierzaka. Potem znów go wykopał - jak to się stało, że szczur nie poszedł do nieba?

- Jego futro jest jakieś parszywe - mówi Cia.

Dell uważa, że i tak mógłby go obedrzeć ze skóry. Chciałby zastrzelić lwa i obedrzeć go ze skóry. Zrobi to kiedyś na pewno. Zamierza zastrzelić lwa i lamparta. Jeżeli Cia zechce, przywiezie jej ich skóry. Przywiezie jej mnóstwo skór, kłów i pazurów.

Cia się dąsa, ponieważ Dell nie pozwala jej grać z nami w branders1. Cia chodzi dopiero do pierwszej klasy i jest dziewczyną, i teraz nie może się pochwalić żadnymi śladami po uderzeniach mokrą piłką tenisową.

- Więc uważasz, że Spiderman jest prawdziwy?

- Ja, tak uważam.

- No to co by zrobił Terrowi, gdyby był prawdziwy?

To pytanie zadaje Dell. Zrzuca szczura na ziemię, zwija swój obszarpany komiks i wpycha go za koszulę. Nie rozumie, dlaczego Spiderman Gra zespołowa, w której zawodnicy próbują trafić w gracza drużyny przeciwnej mokrą piłką tenisową. Gra może prowadzić do poważnych uszkodzeń ciała i dlatego została zabroniona w szkołach (przyp.tłum.).

34

nie miałby być prawdziwy. Sam spróbuje być Spidermanem. Złapał nawet pająka ściennego, ale ten nie chce go ugryźć. Dell sądzi, że lepszy byłby pająk radioaktywny, ale nie wie, gdzie takiego znaleźć.

- Myślę, że jesteś wielkim strachajłem, który prędzej połknąłby osę, niż pozwolił się ugryźć radioaktywnemu pająkowi.

To Jeremiah uważa Della za strachajkę. Jeremiah należy do Psów Wojny i zawsze szydzi i drwi z Della.

- Nie jestem strachajłem - mówi Dell z pogardą - a ty jesteś płaksą.

Tylko Damian Gilchrist się w to nie miesza - kuca przy płocie, z dala od wszystkich. Wiem, że Dell się go boi. Wszyscy się go boimy. Ciągłe chodzi na wagary, na dużej przerwie wymaszerowuje po prostu przez bramę i za szopą na rowery pali papierosy, czasem mówi też „odpierdol się”, jakby mu na nikim nie zależało.

Ćwiczyłam to na Cii.

- Odpierdol się.

Stała bez ruchu i wpatrywała się we mnie. Prawie usłyszałam, jak te słowa uderzają ją w brzuch, ale nie brzmiały one tak, jak z ust Damiana Gilchrista - jak wzruszenie ramion. Ja też paliłam. Pewnego dnia ja i Cia ukradłyśmy Oupa jednego papierosa - chociaż gdyby nas przyłapali, trafiłybyśmy prosto do szkoły z internatem - i przeszmygnowałyśmy go do szkoły. Całą bandą kucnęliśmy wokół niego i kolejno wciągaliśmy dym i krzywiliśmy usta, by wypuszczany dym nie buchał po prostu kłębem, ale przybrał kształt cienkiego węża i stanowił potwierdzenie, że się zaciągnęliśmy. Byłam w tym dobra. Damian Gilchrist pali sam. My nigdy tak nie robimy. Kiedyś Dell i ja obeszlśmy szopę na rowery i zobaczyliśmy Damiana Gilchrista, który siedział tam samotnie i palił. Przycupnęliśmy obok niego. Nie mogliśmy się oprzeć - w jednej chwili go ujrzeliśmy, a w drugiej już siedzieliśmy przy nim. Damian Gilchrist wypuścił powietrze. Dym wydobywał się z jego ust w formie doskonałej cienkiej pętli.

- Chcecie się sztachnąć? - zapytał, podając papierosa.

Nie mogłam w to uwierzyć. Sądziłam, że będzie się z nas naśmiewał. Kiedy przyszła moja kolej, ręka mi zadrżała, ale nikt nic nie powiedział. To był camel. To najmocniejsze, a facet w reklamie Camela w bi-scope jest największym twardzielem. Dużo lepszym niż ludzie od Petera Stuyvesanta, którzy nic nie robią, tylko jeżdżą do Monte

35

Carlo, leniuchują i takie tam. Facet od Camela zawsze jest sam. Musi płynąć łodzią gdzieś w środku dżungli amazońskiej i wyciągać wodorosty, w które zaplątała się śruba napędowa. Potem zapala camela. Sztachnęłam się lekko i przekazałam fajkę Damianowi. Papieros był ohydny. Żołądek podszedł mi do góry i zaczęłam się pocić. Myślałam, że zaraz zwymiotuję. Przełknęłam jednak kluchę w gardle, a wraz z nią dym i zadrżałam. Potem złapałam powietrze, a dym wydostał się z moich ust długą i cienką strużką. Udało się.

- To było zajebiste - powiedział Dell. - Uwielbiam palić, a wy?

Dell mówił za dużo i wiedział o tym.

Żadne z nas nigdy nie wagarowało. Dell twierdzi, że to robi i to wkrótce. Kiedyś powiedział, że już wagarował, ale tak naprawdę ukrywał się tylko w chłopięcej toalecie, bo nie zrobił pracy domowej z matematyki. Pewnego dnia Damian wyciął scyzorykiem swoje imię na dużym drzewie przy bieżni, choć nie wolno przynosić scyzoryków do szkoły. Co więcej, kiedyś na apelu śpiewał nieprzyzwoite słowa

do melodii Amazing Grace, ma w domu małpkę galago, a na targach w Umtali splunął do fontanny z coca-coli, nie przejmując się tym, że ktoś może go zobaczyć, nigdy też nie powiedział nikomu, co zrobił. Dell i inne chłopaki starają się do niego zbliżyć. Damian Gilchrist. Naśladują nawet to, jak stoi. A raczej przyjmuje tę swoją niedbałą postawę. Jednak on nie ma przyjaciół. Mógłby stworzyć własną paczkę, gdyby tylko chciał, ale on nie należy do żadnej grupy i nikogo nie zaczepia. Jest ponad tym.

Potem rozbrzmiewa dzwonek i musimy wracać do klasy. Uczy nas - mnie, Della i Psy Wojny - pani Lovemore. Jest ładna i ładnie pachnie, a pod koniec lekcji czyta nam historie z wielkiej książki O Best Beloved, których akcja toczy się na brzegach szarozielonej rzeki Limpopo obrośniętych drzewami gorączkowymi. Myślę jednak, że nie za bardzo nas lubi. I bije nas linijką, jeśli spóźnimy się po przerwie.

Kiedy idziemy do sali, Dell odwraca się do mnie i mówi:

- Hej, Nyree, moja mama mówi, że przyjmiecie do siebie jakiegoś ladaco czy kogoś takiego. Słyszałem, jak rozmawiała o tym z tatą.
- Co to jest ladaco? - głupio mi, że muszę go o to pytać.
- Nie wiem, ale mama powiedziała to takim tonem, że to nie może oznaczać nic dobrego. „To straszne, biedna Amy O'Callohan" to były

36 jej słowa. I dodała, że twoja mama ma i tak dużo na głowie, farmę i ciebie, i Cię, biegające dookoła jak dzikie psy, a teraz jeszcze odziedziczyła jakiegoś ladaco od kuzynki. Czy myślisz, że to coś podobnego do psa? Zastanawiam się. Kilka dni temu, kiedy wracałyśmy ścieżką wijącą się od khaya aż na wzgórze, zobaczyłyśmy zaparkowanego przed domem starego datsuna. Cia była podekscytowana, sądząc, że ktoś nieznajomy przyjechał na farmę.

- No, Nyree, biegnijmy! - wykrzyknęła ochoczo.

Biegłyśmy wzdłuż ścieżki, lecz zanim zbliżyłyśmy się do Modjadji, kobieta w dużych ciemnych okularach i obcisłej bluzce wyszła przez frontowe drzwi, a za nią Mama i Oupa. Potknęła się na schodach, wsiadła do datsuna i odjechała z charkotem silnika. Cia zatrzymała się gwałtownie, wciąż machając rękami.

- Ach! Do diabła! - zaklęła.

Kiedy zapytałyśmy, kim była ta kobieta, Oupa wymruczał coś o owocach dawnych grzechów, a mama wyjaśniła, że to była kuzynka naszego ojca i że wytłumaczy nam to później. Popatrzyła na błoto, które naniósłszyśmy do hallu. Nie mam jednak czasu, by dłużej myśleć o pani w obcisłej bluzce - Cia musi precyzyjnie się pod płotem, aby wrócić na boisko pierwszoklasistów.

Po dużej przerwie jest historia. Pochylona nad ławką ignoruję Della, który strzela gumką w tył mojej głowy. Muchy sennie bzyczą na szymbach okiennych. Uczymy się, jak biali przybyli do Afryki. Przyplłynęli z Europy, z miejsca, skąd importowano towary, zanim pojawiły się

sankcje. Dlatego wciąż nazywamy się Europejczykami, chociaż ani CIA, ani ja nigdy nie widziałyśmy tego kontynentu. W Europie przyszli osadnicy byli biedni i brudni i w czasie rewolucji przemysłowej musieli ciężko pracować w fabrykach i innych takich miejscach. Dlatego łatwo było ich namówić na wyjazd do Afryki, oferując darmową podróż i obiecując ziemię na wschodniej granicy Kolonii Przylądkowej.

Oupa uważa, że byli oni głupimi łajdakami, a ich większość nie potrafiła odróżnić końca motyki od mauzera, i że wysyłano ich jako nieopłacanych żołnierzy Królestwa, mających bronić go przed wdzierającymi się przez bramy barbarzyńcami.

Kiedy dotarli do Afryki, zamienili się w pionierów. Przekroczyli Limpopo i Wódz Lobengula oddał Królowej Wiktorii Matabeleland.

37

W naszym podręczniku historii jest rysunek z wielkim tłustym Wodzem Lobengula, który kuca na ziemi, trzymając w ręku miotelkę do odganiania much. Obok rysunku umieszczono zdjęcie traktatu. Dobrze przyjrzałam się zabawnemu słoniowi wytłoczonemu na kropki czerwonego wosku na jego spodzie. Potem Lobengula cofnął swoje słowo i pionierzy go zabili. Zmarł na brzegu rzeki Shangani, opuszczony przez wszystkich oprócz garstki lojalnych impi, a w 1893 roku powstała Rodezja. Teraz w Dzień Rhodesa i Założycieli mamy dzień wolny od szkoły.

Nie powtarzam jednak pani Lovemore, co Oupa powiedział o pionierach.

Patrzy na moją pracę domową i mówi:

- Bardzo ładnie, Nyree.

Mieliśmy pokolorować wóz ciągnięty przez wołu. Mój pojazd ma pomarańczową budę i czerwone koła. Dell nie pokolorował rysunku, a pani Lovemore nie chce nawet słuchać jego usprawiedliwień. Ja jednak nie wykonałam mojej pracy bardzo starannie, niektóre z pociągnięć czerwoną kredką wybiegają poza szprychy kół. Rysowałam w pośpiechu, bo chciałam odejść od Oupa, który mówił, że ma wątpliwości, czy to odważne i chwalebne stać za lufami mauzerów i masakrować hordy impi, uzbrojonych po zęby, ale tylko w zaostrzone mango.

Po ostatnim dzwonku idziemy na specjalny apel. Ustawiamy się na zewnątrz auli, a prefekci chodzą tam i z powrotem wzdłuż rzędów, sprawdzając, kto nie ma na sobie mundurka i czapki. Dell nie podciągnął skarpetek w romby i jeśli to się powtórzy, będzie musiał zapukać do drzwi pana McCleary'ego. Potem w ciszy wchodzimy gęsiego do środka. Pan McCleary stoi za mównicą, na której leży Biblia. Chrząka i uroczystym tonem mówi nam o tym, że Terrowie zestrzelili samolot o nazwie Hunyani. Zastrzelili go rakieta przekazaną im specjalnie przez Rosjan. Kapitan nadawał przez radio: „Mayday! Mayday!”, a potem lądował awaryjnie, ponieważ był bardzo dzielny. Następnie pan McCleary prosi, byśmy pochylili głowy, podczas gdy on przeczyta

Modlitwę do Boga o błogosławieństwo dla wszystkich, którzy zginęli w Hunyani, zwłaszcza dla dzieci, które są niewinnymi owieczkami. Po apelu idę powoli do głównej bramy, by spotkać Jobe i Cię. Jobe Przyjeżdża po nas codziennie - jedzie na jednym koniu i prowadzi 38

drugiego dla nas. Dzisiaj przyjechał na Joe Soap i przyprowadził dla nas Fivela, ulubieńca Cii. Cia już uwiesiła się u jego szyi jak szmaciana lalka. Fivel nie pozwoliłby na to nikomu innemu, ale Cię kocha, więc stoi potulnie i skubie trawę.

- Jobe, dlaczego szczur Della nie poszedł do nieba? - pyta Cia z troską w głosie, kiedy jedziemy do domu.

Musiała martwić się o to przez cały czas od dużej przerwy.

- Był martwy i Dell go pochował, potem z powrotem go wykopał, a szczur nie poszedł do nieba.

- Och, to dlatego, że amadlozi nie potrzebują w niebie szczurów i dlatego, że n'anga potrzebuje szczurzych pazurów, by zrobić niezwykłe muti. Kiedy ukąsi cię wąż lub skorpion, drapiesz skórę pazurem szczura, aby wypuścić krew i pozbyć się trucizny.

- A Fivel? Czy on pójdzie do nieba?

- O tak. Fivel pójdzie do nieba, ingane. Nie będzie robienia muti z naszego Fivela.

Po wyjeździe Taty wszystko wraca do normalności. Kiedy Mama zarządza farmą, Oupa wykonuje swoją część, zarządzając A/s. To oznacza, że wędruje po farmie i wpaja pracownikom lęk przed Bogiem Wszzechmogącym, a ja i Cia wędrujemy za nim.

Oupa wyznacza sobie miejsce pracy, to znaczy wybiera dla siebie coś, co pełni funkcję pulpitu, i zwoluje pracowników. Nie wyglądają na zadowolonych, ale nie mają nic do powiedzenia w tej sprawie, więc przerywają pracę i wloką się w jego kierunku. Kiedy tylko się zatrzymują, z piersi Oupa wydobywa się głęboki pomruk. To wskazówka dla tłumu, który natychmiast milknie. Cia i ja stoimy sztywno wyprostowane. Oupa podnosi prawą rękę i przed tuzinem par oczu wyjmuje z oczodołu swoje lewe oko. Przerażeni patrzący wydają stłumiony okrzyk, a nad pustym wgłębieniem w twarzy Oupa marszczy się powieka. Oupa z nabożeństwem układa oko na kamieniu.

- To, moi przyjaciele, jest Złe Oko, właśnie tak - grzmi. - Będzie tu leżało i pilnowało was w moim imieniu, żeby żadnemu z was nie przyszło do głowy się obijać - ostatnią część zdania prawie syczy. Złe Oko jest zrobione ze szkła - to niewiarygodne, ale Oupa stracił stare na egipskich pustyniach z ręki szkopa, jednego z pachółków Rommela - i musi być wykorzystywane w walce z pojawiającym się niedbalstwem, bo na naszej farmie nie tolerujemy obiboków. Jak wiemy, to oko nie widzi, boimy się go tylko trochę i dlatego możemy gardzić lękiem A/s - chociaż biorąc pod uwagę oświadczenia Taty na temat niedbalstwa, jakie wygłasza zawsze, kiedy wraca do domu, lęk

jest niewątpliwie mniej skuteczną metodą, niż wyobraża sobie Oupa.
40

Jednak skuteczna czy nie, Oupa i tak nie ma pozwolenia, by ją stosować. Mama niejednokrotnie mówiła mu, by tego zaprzestał, ale jak dotąd bez skutku. Kiedyś wrócił i znalazł oko rozbite w drobny mak. Nie byliśmy tym zaskoczone. Za każdym razem, gdy Oupa rzuca oczne zaklęcie, przez zebrany tłum przebiega pomruk złości. To była kwestia czasu, by czyjaś uraza pokonała przesady i skłoniła do zniszczenia napiętnowanego oka. Jednak nawet ten incydent nie zniechęcił Oupa. Ku mojej i Cii wielkiej radości, nosił on przez jakiś czas przepaskę na oko, odpowiednią dla pirata, i uważał, że wygląda zawadiacko, ale kiedy tylko dostarczyli z Afryki Południowej nowe oko, zdjął zawadiacką przepaskę i powrócił do swoich czarów. Dzisiaj Oupa stoi przy szopach na traktorze udającym ambonę. Ja i Cia kucamy na naszym prowizorycznym biwaku w ogromnym kole i słuchamy, jak Oupa wygłasza płomienne kazanie na temat Śmiertelnego Grzechu Lenistwa. Nogi zaczynają mi cierpnąć, kiedy teatralnym gestem wyjmuje oko z oczodołu, wywołując tym satysfakcjonujące westchnienie tłumu. Potem ponad tym westchnieniem słyszę: „Patricku O'Callohan! Co ty, na Boga, wyprawiasz?” i widzę, jak Mama przepycha się na czoło tłumu. Nigdy wcześniej nie przyłapała Oupa na gorącym uczynku - zawsze musiała opierać się na relacjach świadków. Teraz zaczyna własną przemowę, ale Oupa tylko odwraca na nią groźnie jedno oko i klnie siarczyście. On udaje, że Mama nie jest szefem, kiedy Tata wyjeżdża. Ona zazwyczaj pozwala mu udawać, ale wiemy, że tym razem posunął się za daleko.

- Po prostu nie możesz się tak zachowywać, Patricku. Nawet twój syn by tego nie tolerował - informuje go z ponurą miną.

Przy obiedzie Mama mówi mi i Cii, że mamy kuzyna. Cia przestaje żuć. Nigdy dotąd nie miałyśmy kuzyna. Mamą tego kuzyna jest córka wuja Seamusa.

- Nieślubna córka - dodaje Oupa urywanym głosem.

- Poprosiła nas, byśmy przez jakiś czas zaopiekowali się jej synem.

- Raczej podrzuciła nam małego bękarta.

Mama sznuruje wargi.

- Na miłość Boską, Patricku, to krew z twojej krwi. Mamy obowiązek go tutaj przyjąć.

41

Po obiedzie Cia pyta mnie, co to znaczy nieślubny. Wyjaśniam, że to ktoś dotknięty chorobą, najprawdopodobniej zajzajerem. Nie wiem, co to jest mały bękart - kobieta w obcisłej bluzce nie miała ze sobą nikogo, kto mógłby nim być.

- Wszystko potoczyło się nie tak - lamentował Oupa na stoep tego wieczoru. - To ona ze swoim bękartem, a wasza mama niepłodna, jeśli

chodzi o syna i dziedzica - kiwa głową ze smutkiem. - Dziewczyny przyniosą zniszczenie całej tej rodzinie - wieszczy.

- Przepraszam, Oupa - kaja się Cia i wydaje się naprawdę skruszona.

Oupa patrzy na nią z góry jak gdyby po raz pierwszy zauważył jej drobną postać przykucniętą u swoich stóp. Jego twarz łagodnieje i drgają kąciki jego ust.

- Wszystko w porządku, dziewczynki - mówi łagodnie, mierząc jej i tak już zmierzwione jasne pukle.

Nasz kuzyn to chłopiec w wieku czternastu lat. Cia chce wiedzieć, kiedy go zobaczymy. Mama mówi, że teraz nie możemy, bo jest w szkole z internatem. Nie mogę się nadziwić - szkoła z internatem to miejsce, którym regularnie straszy nas Tata, kiedy się źle zachowujemy.

Tata sam jako chłopiec miał nieszczęście chodzić do takiej opuszczonej przez Boga piekielnej nory. Oupa, który także w swoim czasie się w takiej uczył, nazywa to czcigodną starą instytucją, ale za jego plecami Tata mówi, że była to raczej cholerna izba tortur.

Nie wiem, jak to możliwe, że Oupa powoli kiwa głową i uroczyście nazywa to czcigodną starą instytucją, jak gdyby było to wspaniałe miejsce. Tata nigdy nie powiedział nam, jakie tortury tam się odbywały, ale zrobił to Oupa. Siedzieliśmy na stoep, Oupa na swoim tronie, drobne czerwone żyłki przecinały jego szczęki, i wtedy opowiedział nam o tym, jak razem z bratem uciekli ze szkoły z internatem. I to nie tylko raz.

- Seamus miał ledwie pięć lat, kiedy go tam wysłali. Pamiętam, jak ojciec mówił mu, by przestał się mazać jak berbec, i odrywał go od piersi naszej niani. Potem uściskał mu rękę i pozostawił go w tym obcym miejscu, z długimi gotyckimi korytarzami, które cuchnęły rozmiękłą kapustą i pastą z woskiem, w miejscu, gdzie nikt nigdy nie okaże ci czułości.

~\

42

- Wiedziałem jednak, że sobie poradzi. Seamus był najtwardszym dzieciakiem, jakiego znałem. Potrafił gołymi rękami łapać węże, po prostu podkradał się do nich i chwycił za głowę, a potem je przynosił, wijące się jak demony wcielone. Zezował lewym okiem i nosił naszyjnik z kłów guźca. Nigdy nie płakał, naprawdę nigdy, nawet gdy go przezywali, opluwali, nawet jak kamieniami zgonili go z drzewa słoniowego na skraju placu zabaw, jak małego kaffirskiego kurczaka.

- Więc Seamus trzymał się całkiem nieźle, kiedy wezwali nas obu do gabinetu dyrektora, by powiedzieć nam, że nasza mama nie żyje. Kiedy padły te słowa, stał ze spuszczoną głową, jakby wpakował się w jakieś kłopoty. Nie byłem nawet pewien, czy słucha. Tej nocy uciekł.

- Znaleźli go po trzech dniach, kiedy próbował złapać okazję w drodze do domu. Wszyscy sądzili, że będzie bardziej wykończony

niz kaffirski pies, złapany z podwiniętym ogonem w kurniku, i że wyciągnie z tego lekcję. Przyciągnęli go z powrotem i sprawili mu lanie na oczach wszystkich uczniów. Oczywiście zasłużył na to. Miał tylko siedem lat, ale przyjął karę, jakby mu się należała. Jednak zanim jego siniaki zmieniły kolor na żółty, zwał jeszcze raz.

Oupa lekko pokiwał głową i zamknął oczy.

- Chcecie znać prawdę, dziewczęta? Prawda jest taka, że go podziwiałem. Jakaś część mnie dopingowała temu małemu gałganowi, miałem nadzieję, że go nie dopadną. Oficjalnie przynosił mi wstyd. W tym czasie doszedłem już wyżej w hierarchii. Osiągnąłem zawrotne wyżyny pozycji prefekta. Salutowano mi, udało mi się. Prawdziwy Tom Brown¹, zostałem kapitanem drużyny krykieta, obrzucałem nowych chłopców orzechami drzewa słoniowego, kiedy po kolacji wracali do sypialni, pisałem słowo „tradycja” wielką literą. Ucieczki mojego brata dużo mnie kosztowały. Ale w skrytości ducha mu zazdrościłem.

Informacja, że Oupa był prefektem, wywarła na nas ogromne wrażenie. Kiedy Oupa opowiedział nam o losach Seamusa w szkole z internatem, zaczęłyśmy się niepokoić o chłopaka bękarta, którego

1 Tom Brown-postać z powieści Tom Brown's Schooldays z roku 1857 autorstwa Thomasa Hughesa

- jako jedenastoletni chłopiec trafia do szkoły z internatem i przy pomocy kolegów radzi sobie

z dręczeniem przez jednego z łobuzów (przyp. tłum.).

43

tam wysłano. Ale niepokój nie pomaga i musimy wysłuchać naszej historii biblijnej.

To kara Oupa za oczne zakłęcie. Mama powiedziała mu, że jesteśmy wychowywane z wypaczonym obrazem religii. Rzeczywiście, nasza edukacja religijna pozostawia wiele do życzenia. Oupa ma odtąd czytać nam każdego wieczoru opowieści z Biblii. Kiedy próbował protestować, po prostu uciszyła go dłonią.

- Zasługują na to, by mieć wybór. I my go im zapewnimy.

Oupa skrzywił się z niezadowoleniem. Jeśli chodzi o mnie, jest to policzek. Sądzę, że Mama nawet nie odmawia modlitwy. Kiedy ja i Cia późno kładziemy się do łóżek, a Cia stara się znaleźć sposób, by siedzieć wieczorem jeszcze dłużej, mówi Mamie, że nie zdążyłyśmy się pomodlić. Ona odpowiada wówczas, że to nieważne, że mamy natychmiast umyć zęby i przebrać się w piżamy.

Oupa uważa, że jest pod obserwacją, więc nic się nie da zrobić i otrzymamy naszą dawkę Świętej Księgi, chociaż nie możemy go winić za swobodną interpretację w tym, czy w innym miejscu, nieprawdaż?

-I tak, dziewczynki, Jezus stoi na górze, cały świat u Jego stóp, a Lucyfer z boku łypie na niego okiem - mówi Oupa teatralnie. - „Dam ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon”². Próbuje jeszcze

raz skusić Jezusa.

- Ale Jezus, chociaż jest słaby i głodny po czterdziestu dniach i czterdziestu nocach na pustyni, przeciwstawia się - teraz głos Oupa lekko drży - i mówi do Księcia Ciemności „Idź precz, szatanie!”

Uderza Szatana prosto w brzuch i zrzuca go z góry, a Szatan leży na skale w dole roztrzaskany na krwawą miazgę.

- Fantastycznie! - krzyczy Cia z entuzjazmem.

Dopiero w szkole dowiadujemy się, że istnieją inne wersje tego wydarzenia. Kiedy któregoś dnia na apelu pewien jękający się chłopiec o czerwonej twarzy czyta historię o mądrości Salomona (o tym jak Król Salomon rozciął dziecko na połowę), Cia na zakończenie krzyczy ze złością z pierwszego rzędu:

Ewangelia według św. Mateusza 4,9, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo

Pallottinum, Poznań -Warszawa 1980 (przyp. tłum.).

44

- To nie było tak! - Potem śpiewa „Naprzód, żołnierze Chrystusa” na tyle głośno, że osoby z tego rzędu odwracają się i na nią gapią.

W następstwie telefonu od naszego dyrektora, który uważał wersję Cii za niestosowną i po prostu zatrwającą, nasza edukacja religijna zostaje zarzucona. Oupa wygląda na trochę rozczarowanego.

Teraz jest odsunięty od wszystkiego, co ma związek z religią, pogaństwem czy czymś podobnym - jeśli się nie podporządkuje, zostanie zesłany do domu starców i będzie miał przy sobie tylko sztuczną szczękę - a jego wkład w prowadzenie farmy zostaje ograniczony do prowadzenia wojny z wiecznie zarastającym afrykańskim zielskiem.

- Superważna misja, dziewczynki - informuje nas. - Jako jeden z ostatnich bastionów cywilizacji jesteśmy nieustannie oblegani przez afrykańskie dzikie hordy. Trzymanie ich na dystans nie pozwala na wytchnienie i wymaga nadludzkiej nieustępliwości, ale też - muszę dodać z żalem - pokory, by znieść najgorszą niewdzięczność - mówi Oupa, użalając się nad sobą. - Dlaczego potrzebujemy pokory, dziewczynki?

- By znieść najgorszą niewdzięczność, Oupa.

Oupa kiwa głową ze smutkiem.

Kiedy Oupa nie broni swojego przyczółku domu przed koczownikami, prowadzi kampanię przeciwko legionom atakujących bezkręgowców, od białych mrówek, które niepostrzeżenie zjadają drewno w domu i pozostawiają za sobą tylko trociny, poprzez roje wyglądającej jak w technikolorze szarańczy, która po prostu pożera wszystko, aż po roznoszące choroby pasożyty.

- Parujące tropiki Afryki wytworzyły najbogatszą roślinność na ziemi, dziewczynki. Ale jest taki szczególny rodzaj okropieństwa - okropieństwo prymitywne - życie, które ewoluowało jedynie po to, by żerować na ludzkim ciele - oznajmia Oupa, wymawiając z wibra-

cją literki „r”. Jednocześnie rozcina zainfekowany wrzód na stopie Blessing i delikatnie bada otwartą ranę za pomocą gałązki.

- Zarazy i choroby atakujące ludzi są wszędzie na tym zapomnianym przez Boga kontynencie, ale mówię wam, nie ma lepszej metafory tej groteskowej bujności życia w Afryce niż zamieszkujące nasze wnętrza pasożyty - kończy, chwytając za głowę odsłoniętego nitkowca, który zaatakował stopę Blessing, i wyciągając go.

- Czy wiecie, że kuzyn tego tutaj nitkowca, tęgoryjec, zakopuje się w skórze człowieka, płynie razem z krwią w jego żyłach, przez komory serca i do płuc, gdzie przebija się przez ściany i czołga do gardła, wydzielając substancję, która ma sprawić, że nosiciel nie wypłuje go z flegmą - dzięki czemu może zostać połknięty i trafić do jelit? A kiedy się tam dostaje, odsłania wielkie okropne kły i zatapia je w błonach jelita.

Blessing wzdraga się, kiedy Oupa zaczyna okręcać nitkowca wokół gałązki.

- Co więc robi z kłami, kiedy je odsłoni?

- Zatapia je w błonach jelita, Oupa.

- Tak jest. I sam wychodzi z tego bez szwanku - dodaje, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Wydziela muti, by osłabić twój system odpornościowy i wtedy może unosić się w kwasach żołądkowych, które rozpuściłyby ciało innej istoty, jakby się kąpał w mleku.

Na szczęście, Cia i ja nigdy nie zaraziłyśmy się nitkowcem ani tęgoryjcem, ale kłamałybyśmy jak z nut, gdybyśmy twierdziły, że udało nam się uniknąć robaków. Obie miałyśmy motylicę. Larwa motylicy atakuje małe ślimaczki, które wędrują po drogach wodnych, czekając na właściwy moment, kiedy ktoś zanurza się w wodzie, gdzie przebywają, albo się jej napije. Ponieważ larwy te są śmiertelne dla ślimaka, muszą się spieszyć, by znaleźć nowego żywiciela. Możesz być żywicielem dla tysięcy robaków i nawet o tym nie wiesz, chyba że przestaniesz wydalać wszystkie ich jajeczka. Wtedy giną i psują się w twoim wnętrzu, wywołując wzdęcia. Pod koniec każdego semestru wszyscy uczniowie ustawiają się w kolejce i każdy dostaje dwa zastrzyki w ramię. Każdy wyciąga szyję, by sprawdzić, czy u dziecka przed nim ramię puchnie po drugim zastrzyku, co oznacza, że ma ono robaki. W ostatnim semestrze zarówno moje, jak i Cii ramię napuchło.

Na robakach jednak się nie kończy. Jeżeli Philemon, pomocnik Jobe, nie wyprasuje pościeli piekielnie rozgrzanym żelazkiem, na naszych plecach rozwijają się larwy much putsi. Niski veld aż roi się od much tse-tse, które gryzą jak bestie i zarażają swoje ofiary - i bydło, i ludzi - śmiertelną śpiączką; są też pijawki i nadymające się od krwi kleszcze. Mama prawie umarła od gorączki wywołanej przez ukąszenie

kleszcza. Przez wiele dni leżała w swoim łóżku i się pociła, a nam nie

wolno było hałasować.

Oupa mówi, że nasi prześladowcy rozmnażają się tak szybko, iż próby ich zwalczania są z góry skazane na niepowodzenie. Zatem zawęża on swoją krucjatę do krwiożerczych moskitów, ponieważ tylko one przenoszą pasożyty malarii, zaliczane do najstarszych ludzkich, a nawet poprzedzających człowieka, pasożytów, co czyni moskity śmiertelnym i szlachetnym wrogiem. Oupa twierdzi, że tylko samice moskita, które przed złożeniem jaj muszą zjeść posiłek z krwi, zarażają ludzi malarią. Samce są wegetarianami, żywiącymi się nektarem z kwiatów. Samica moskita poluje w ciemności, kiedy jesteśmy najbardziej wrażliwi, przyciąga ją woń naszego oddechu, ciepło, pot i wilgoć. Dwoma cienkimi klujkami przebija skórę, za pomocą dwóch kolejnych otwiera ranę, a trzy dalsze służą do wysysania krwi, przy którym dochodzi do zarażenia śpiącej ofiary malarią - to jak trujący pocałunek z bajki.

Chociaż Oupa, podobnie jak reszta z nas, uległ kiedyś dziwnym, sennym gorączkom malarycznym, to jednak Cia i ja podejrzewamy, że motyw jego ataków na moskity jest bardziej błahy. On po prostu chce je wykończyć z powodu ich bezustannego wysokiego brzęczenia i wściekle swędzących obrzęków, jakie wywołuje pozostawiany przez nie antykoagulant krwi. Niezależnie od powodu, Oupa niezamordowanie oddaje się próbom uwarzenia śmiertelnego środka na komary. Jobe pełni funkcję aptekarza i zaopatruje go w składniki do eksperymentów.

- Ten środek, madala, jest silnym muti - stwierdza Jobe, podając kolejny gryzący okład, przygotowany przez miejscowego n'anga, który jest też zielarzem. Obie z Cią jesteśmy zarówno asystentkami, jak i królikami doświadczalnymi, co nigdy nie jest przyjemne, ponieważ bazą każdej mieszanki jest chinina.

Żadna z nich nie przynosi spodziewanych efektów. Moskity zbliżają się do nas każdego letniego wieczora, zanurzają swoje podobne do strzykawek trąbki w naszym ciele i piją jak wampiry, niezależnie od stężenia chininy w naszych żyłach. Mama powiedziała nam, że pewnego roku, kiedy fala malarii w naszym rejonie przybrała rozmiary

47
epidemii, rząd wysłał samoloty zalewające nas DDT3, które niszczyło plony i zatruwało rzeki, ryby oraz ptaki; pozostawiało za sobą śmierć, a jej wspomnienie zawsze będzie przywoływało koszmary. W końcu odór rozkładającego się mięsa przenikał całą dolinę. Oupa mówi, że to był holokaust.

Kiedy Cia usłyszała o koszmarach dręczących Mamę, podeszła do Oupa i zaczęła opowiadać mu kłamstwa na temat jego muti na moskity. Powiedziała, że działa ono znakomicie i namawiała, by przekazał rządowi, iż już nigdy nie musi tu wracać ze swoimi samolotami.

- Powiesz im, Oupa? Powiesz rządowi, że nie muszą tu wracać?

Nigdy więcej. Będziemy brali twoje muty i już nie zachorujemy, obiecuję - prawda, Nyree?

Któregoś popołudnia ja i Cia słyszymy, że Mama płacze w swoim pokoju. Dochodzi do nas łkanie tłumione przez ciężkie tekowe drzwi, za którymi stoimy, nie wiedząc, co zrobić. Cia patrzy na mnie zmartwiona. Mama nigdy nie zamyka drzwi na klucz. Wreszcie przekręcam gałkę i skradamy się do środka jak para intruzów. Mama leży skulona na łóżku z twarzą odwróconą do ściany. Wydaje się, że nas nie zauważa. Nigdy wcześniej nie widziałam, by Mama płakała, i jestem zaszokowana. Stoimy, obserwując ją, i nie mamy odwagi jej zawołać. Po długiej chwili Cia szepcze:

- Mamo?

Mama podnosi głowę i odwraca się w naszym kierunku. Jej twarz jest pokryta plamami, oczy opuchnięte.

- Chodźcie tutaj, kochane - mówi, wyciągając do nas ręce. Z ulgą ruszamy w jej stronę. - Po prostu rozczulam się nad sobą, nie martwcie się.

W dłoni trzyma pomięty list od Taty. Poznają jego wielkie bazgroły na niebieskiej bibule.

- No, chodźcie - mówi i kiedy wspinamy się do niej na łóżko, pokazuje nam ostatnią kartkę. Przyglądam się przeznaczonemu dla nas DDT- uniwersalny środek owadobójczy, stosowany do zwalczania stonki ziemniaczanej i innych szkodników; ze względu na toksyczność dla ssaków wycofany z użycia w wielu krajach (przyp. red.).

48

rysunkowi, szukając w nim czegoś szczególnego. Ale wygląda tak jak zwykle: Tata celuje ze strzelby. Jeszcze raz lustruję jej zaczerwienioną twarz, ale teraz widzę na niej uśmiech.

- Po prostu tęsknię za waszym tatą, to wszystko.

Otacza nas ramionami, każdą po swojej jednej stronie, i przyciąga blisko do siebie. Przez dłuższy czas leżymy tak oparte o poduszki. Mama głaszcze opuszkami palców bladą skórę na wewnętrznej części naszych rąk. Żadna z nas nic nie mówi. Nie chcę, by coś przerwało ten stan. Potem Cia wszystko niszczy. Drży od łaskotek i to wyrывa Mamę z zamyślenia. Wzdycha:

- Czasem, dziewczynki, zastanawiam się, czy to wszystko nie pójdzie na marne. Pewnie i tak skończymy jak Zambia, choćbyśmy nie wiem, co robili.

Mama urodziła się w Zambii, tylko wtedy nazywała się ona Północna Rodezja. Jej rodzice, a nasi dziadkowie, nadal tam mieszkają, w mieście o nazwie Kalalushi. Na święta Bożego Narodzenia jeździmy do nich w odwiedziny. Mama mówi, że w czasach jej dzieciństwa to było cudowne miejsce. Cia marszczy nos, ale nie mówi, że z pewno-

ścią nie jest już cudowne. Przez cały czas, gdy tam jesteśmy, Mama nie przestaje wdychać.

Kalalushi jest powoli zjadane przez zachłanne rośliny. Leży na skraju dorzecza Kongo, poniżej rdzewiejącej, opuszczonej kopalni miedzi. Jeden z szybów przewrócił się i w połowie zatonął w błocie. Wszędobyłskie korzenie afrykańskich drzew ognistych, które wciąż rosną wzdłuż alei, poprzerywały asfalt i jazda po zmroku jest tu zbyt niebezpieczna. Domy są w większości opuszczone, zrujnowane, ciemne i ponure, okna zieją pustką, jak oczy w popękanych okularach. Frontowe ogródki rosną dziko, choć można w nich jeszcze dostrzec rozmazane kontury dopieszczonych niegdyś rabatek. Dziadek i Babcia zajęli dom dyrektora kopalni i Mama mówi, że mieszkają w wyblakłym bogactwie i pożyczonej ważności, co brzmi jakby opisywała zniszczone ubrania i to jest akurat prawda, bo noszą stare rzeczy. Dziadek pracował kiedyś w kopalni.

- To jest odpowiednia praca - mawia.

Tata opowiada nam, że kopalnie miedzianożnego pasa należały niegdyś do najbogatszych na świecie i wciąż możemy zauważyć ich świetność - jest tu pole do krykieta z pawilonem zaduszonym pnączami, są zachwaszczone boiska do tenisa i klub rekreacyjny ze zjedzonymi przez mole aksamitnymi zasłonami, zaśniedziałym srebrem w szafce na trofea i wyblakłymi literami na tablicy kapitanów. Mama opowiadała nam o tańcach w sali balowej i stojąc teraz w jej udrapowanej zakurzonymi prześcieradłami ciszy, można niemal usłyszeć brzdąkanie na starym fortepianie, echa śmiechu, pobrzękiwanie kieliszków do szampana. To tutaj Tata spotkał Mamę, na jednej z potańcówek. Tata jechał autostopem z Południowej Rodezji. Mówi, że Mama natychmiast straciła dla niego głowę. Ostatnie nazwisko na tablicy kapitanów to nazwisko Dziadka. Zostało wygrawerowane w 1964 roku.

Mam wielką nadzieję, że nie skończymy jak Zambia. Dziadek i Babcia zawsze ściskają mnie i Cię na pożegnanie i mówią, jak bardzo by chcieli, byśmy zostali, ale ja trochę się cieszę, że wyjeżdżamy - tam jest strasznie.

- Chodźcie już, dziewczynki. Nie możemy się tak obijać cały dzień - mówi Mama swoim zwyczajnym tonem, potem wstaje i związuje rozpuszczone włosy w koński ogon.

- Oto - mówi Oupa ze smutkiem - ołtarz, na którym mordowali biedne, malutkie dzieci, poświęcając je wygłodniałym bogom. Zerkam przez krawędź skały, by zobaczyć ołtarz, na którym odbywała się rzeź. Oupa, Cia i ja stoimy na skraju skały, wznoszącej się ponad naturalnym amfiteatrem. Przyszliśmy zobaczyć ruiny Wielkiego Zimbabwe, usytuowane na zewnątrz Fortu Victoria na południe od nas. Kiedy Tata wrócił do domu po walce w buszu, powiedział, że nie chce widzieć żadnych mombies czy munts, ani też żadnych zepsutych

pomp, więc wyszliśmy i teraz jesteśmy tutaj, ale ja myślę, że Tata i nas nie chciał więcej widzieć, ponieważ razem z Mamą odszedł i mamy tylko Oupa za przewodnika.

Ruiny Wielkiego Zimbabwe stoją na równinie otoczonej górami o łysych wierzchołkach i są jak kamienne duchy, unoszące się z głębokich podziemi zwanych starożytnością. Ogromna kolistą kamienną ściana otacza wieżę, która przez setki metrów wznosi się spiralnie do nieba, niczym wieża Babel, a w dżungli porastającej strome zbocze pobliskiego wzgórza można znaleźć labirynt wielkich, ułożonych w jodełkę murów z zazębiających się kamieni.

Nikt nie wie, kto był autorem tej budowli - starożytni architekci zniknęli w przeszłości, nie pozostawiając po sobie śladów zapisanych w swoich konstrukcjach z kamienia. Setki lat temu, kiedy pierwsze szepty o kamiennym pałacu położonym głęboko w sercu Afryki dotarły do portów handlowych Mozambiku, portugalscy badacze wyruszyli na badania, ale niczego nie znaleźli, więc już nigdy nie będziemy wiedzieli, kto go wybudował - zwłaszcza po tym, jak an-

51
gielscy badacze w końcu odkryli go w ostatnim stuleciu. Oupa mówi, że przyszli i usunęli brud i nędzę pozostałe po okupacji kajfir. Cia wstrzymuje oddech - nie wolno nam wymawiać słowa na k.

- Wydaje się jednak, że to cholerni kajfir go zbudowali - Oupa chichocze, a potem z dezaprobatą marszczy brwi. - To wielka szkoda. Porządki Anglików pozostawiły tylko resztki śladów archeologicznych w murach.

Ale szczęśliwie Oupa zna wiele szczegółów o legendarnym Wielkim Zimbabwe, jakich nie zna nikt inny. Wielkie Zimbabwe było wspa-
niałym średniowiecznym królestwem dzikich, którzy zgromadzili wielkie bogactwa, handlując złotem, kością słoniową i niewolnikami z przybywającymi w długich karawanach handlarzami z Arabii.

Istnieje legenda, że tu właśnie królowa Saba znalazła złoto na świątynię Salomona. A jeżeli przyłożysz ucho do wilgotnej, pokrytej mchem ściany, usłyszysz pulsujące uderzenia starożytnych bębnow w labiryntach przejść, pobudzające do tańca tysiące nagich, rozgorączkowanych ludzi, którzy przewracają oczyma i wysuwają nabrzmiące języki.

Kiedy tak stoję powyżej ołtarza ofiarnego, docierają do mnie też echa krzyków dzieci. Cia jednak niczego nie słyszy.

- Oni nigdy nie mordowali malutkich dzieci - protestuje z oburzeniem, a potem dodaje już z wahaniem: - Prawda, Nyree?

Spoglądam w dół i z przerażeniem zauważam kamienne włócznie, nadające się do przebijania dzieci.

- O tak, mordowali - zapewnia ją Oupa ponuro. - Obrzydliwe dzikusy poświęcały własne dzieci krwiożerczym bożkom podziemia. Patrzycie na zboczony krwią ołtarz, na który rzucali swoje potomstwo.

Cia wpatruje się ze smutkiem w zbroczony krwią ołtarz.

Później błagamy Oupa, by pozwolił nam zobaczyć n'anga, który - jak mówi Oupa - z wyrachowaniem ulokował się tuż za ruinami, by wykorzystywać naiwność turystów, takich jak Cia i ja. Ale dla nas to wyrachowanie nie ma znaczenia. N'anga jest wróżbitą, który może przepowiedzieć twój los.

Cia i ja całkowicie ulegamy wpływowi tych ludzi magii. Oupa mawia, że n'anga jest po prostu sprytnym szarlatanem, żerującym na przesądach munts i ich przemożnej ignorancji i że on sam - Oupa - 52

przybije nasze skóry do ściany, jeśli przyłapie nas na zabawach w to oszukańcze wudu. Nawet Mama i Tata nie traktują czarów serio. Ale Cia i ja wiemy lepiej.

Przez lata Jobe dużo nauczył nas o mocy posiadanej przez n'anga, który jest jednocześnie uzdrowicielem, prorokiem i księdzem, egzorcystą i czarownikiem. Ponad wszystko jednak n'anga potrafi słyszeć głosy zmarłych.

N'anga został wybrany przez duchy do prowadzenia rozmów z ich potomnymi i to dzięki niemu modlitwy żyjących mogą zostać wysłuchane. Jobe mówi, że ten, który jest stwórcą, dawcą życia i który ma wiele imion - znany jako Lezer, w niektórych miejscach jako Oluwa, a czasami jako Jezus Chrystus - jest za daleko, by słyszeć nasze modlitwy. Ja w to wierzę. W żadnym razie Duch Święty nie mógł słuchać długiej listy rzeczy, o które prosiłam w moich modlitwach. Potrzebujemy więc naszych przodków, by się za nami wstawiali.

Ale n'anga nie siedzi beczynnie, modląc się przez cały długi dzień. Możesz od niego uzyskać właściwą pomoc i nie musisz prosić o pokój czy inne szlachetne rzeczy. N'anga z wioski leżącej niedaleko naszej farmy jest zajęty od świtu do zmierzchu. Przyrządza eliksiry miłości i chroniące przed złem talizmany, a także lekarstwa na wszelkiego rodzaju przypadłości. Jobe uważa, że n'anga jest taki ważny, że mógłby dowodzić armią, ale jest na to za stary. Może więc zajmie się tym jego syn.

Medykamenty są bardzo wymyślne. Na przykład tłuszcz lwa wsmarowany w twoją skórę da ci odwagę i wleje strach w serca twoich wrogów. Jobe sądzi jednak, że najlepsze są preparaty z krokodyla - silnego i magicznego zwierzęcia, z wciąż rosnącymi zębami i skórą, od której odbijają się kule.

Początkujący n'anga, najpierw od n'anga nauczyciela, a potem od duchów przodków - przewodników - dowiaduje się, gdzie można znaleźć poszczególne składniki lekarstw, takie jak tłuszcz jaszczurki i suszona wątroba pawiana. Ale ponieważ większość tych składników to po prostu korzonki, liście, kora i tego typu rzeczy, może zbierać je wszystkie na veld. Nawet Cia i ja mogłybyśmy je znaleźć bez żadnej

pomocy duchów przodków.

53

Jednak największy dar n'anga nie polega na umiejętności leczenia chorób, ale na wiedzy, dlaczego się na nie zapadło. Tylko szamani rozumieją, co kryje się za cierpieniem: gniew przodków czy złe czary.

Oczywiście przodkowie mogą wpaść w złość z wielu powodów - zaniechanie czy złamanie przykazań, takie na przykład jak walka pomiędzy krewnymi - a kiedy już są źli, mogą sprowadzić na nas choroby i nieszczęścia. Ale tak naprawdę to nie przodków ludzie boją się najbardziej, lecz dużo straszniejszej mocy czarownic.

Przy ognisku obok khaya, gdzie Afs sięgali do osmalonego garnka z sadzą i zanurzali grudki pożywienia w innym naczyniu z sosem, usłyszałyśmy opowieści o strasznych czynach czarownic. Kiedy Jobe był chłopcem, w jego wiosce mieszkała czarownica posiadająca wielką moc. Nocami jeździła całkiem naga na grzbiecie uskrzydłonej hieny, przez róg antylopy kudu rozsiewała magiczny pył na wiatr, rozprzestrzeniając szaleństwo, choroby i śmierć. Jeżeli spojrzalesz jej w oczy, widziałeś, w jaki sposób umrzesz.

- Och! - wykrzyknął pełen zachwytu tłum. Cia i ja gwałtownie wciągnęłyśmy powietrze.

Teraz chcemy po prostu zobaczyć szamana, który ma moc zaglądania w przeszłość oraz przewidywania, co cię jeszcze czeka.

- Proszę, Oupa, proszę, proszę - błaga Cia bezwstydnie.

W końcu Oupa chrząka, grzebie w kieszeni spodni w poszukiwaniu kilku monet i za chwilę milczący usłużny uczeń n'anga wprowadza nas nerwowo do małej chaty z trawy przypominającej kształtem ul.

Jej wnętrze jest ponure, słabo oświetlone - ledwie możemy coś dostrzec przez dym wydobywający się kłębamii z żaru niewielkiego ogniska umiejscowionego na środku pomieszczenia. Powietrze gryzie w oczy, dominuje w nim słodkawa woń starej zwierzęcej krwi, kwaśnego mleka i źle wyprawionej skóry, przebijająca się przez zapach mocnego naparu z suszonych ziół, które przyozdabiają ściany. Moje nozdrza się rozszerzają. Pomarszczony stary n'anga kuca na środku pomieszczenia, jak makabryczna główna ozdoba tej makabrycznej apteki. Sznury koralików i strączków szeleszczą przy jego gołych stopach, nakrycie głowy z rogów i sękatych gałęzi leży obok niego. Jest przerażający i wspaniały.

54

- Jestem Jabulani - przedstawia się uroczyście, a białka jego oczu wyglądają w mroku bardzo niepokojąco.

Potem wyciąga swoją skózaną torebkę zawierającą narzędzia wróżebne - zbiór małych kości, muszelek i kamieni. Wrzucam moje monety do środka i dmucham na nie. Jabulani potrząsa torebką energicznie i wysypuje jej zawartość na leżącą przed nim skórę. Pochylamy się

do przodu, przyglądając się uważnie, jak rozszyfrowuje wiadomości przesłane przez naszych przodków.

- Ehe - mówi, kiwając głową z poważnym wyrazem twarzy i potrącając rozsypane przedmioty. - Ehe.

- Urodzisz dużo dzieci - obwieszcza w końcu. - Trzech chłopców, jedną dziewczynkę. Zdobędziesz wielkie bogactwa. Twój mąż będzie miał stada tłustego bydła, dobre plony. Ale jedno z twoich dzieci umrze. Nie spotkają cię żadne problemy z policją.

Jestem rozczarowana, że czeka mnie takie zwyczajne życie. Wzruszam ramionami z niezadowolaniem:

-Och.

Teraz przychodzi kolej Cii. Dmucha teatralnie na magiczne przedmioty w torebce, a Jabulani wysypuje je z rozmachem i pochyla się nad nimi z rozbudzoną na nowo ciekawością. N'anga przykrywa kamieniem dłońmi, mrucząc coś do siebie niezrozumiale, a potem, nagle, jego ręka nieruchomieje. Zapada długotrwała złowieszcza cisza. Wreszcie Jabulani głęboko zaciąga się dymem z długiej fajki pozostawionej w rozżarzonych węgielkach u jego boku. Z fascynacją i strachem przyglądamy się, jak jego oczy obracają się do tyłu głowy i mleczonebieskie białka wpatrują się niewidząco w nasze postacie stojące w mroku.

- Widzę nadejście ciemności - mówi zachrypniętym głosem. - Jest ktoś, kto do was dołączy i przyniesie cierpienie, kto będzie szakalem. Tobie, mała, nie wolno walczyć z szakalem. Jesteś jak myszka - musisz uciekać przed wrogiem, mała myszko, biegnij, biegnij do kryjówki - i ciemne tęczęwki Jabulaniego znów znikają gdzieś w oczodołach. Po kręgosłupie przebiega mi dreszcz przerażenia.

Potem szepcze coś do ucznia, który przesuwa się na kolanach na tyły ulla, grzebie w zardzewiałych puszkach po dżemie i wydrążonych tykwach i wraca do nas. Jabulani bierze coś od niego i odwraca się, by podać to Cii.

Pochylam się jak najbliżej w jej stronę, by dobrze zobaczyć, co leży na jego różowej, pobrużdżonej dłoni. Jest to wysuszona skorupa skarabeusza z malutkim patyczkiem przymocowanym do jego rogów.

- Dmuchnij w to, ingane - mówi Jabulani, wyciągając patyczek z malutkiej dziurki przewierconej przez róg. „Ingane” to specjalne imię Jobe dla Cii. Oznacza ono „mała” w języku Jobe, Ndebele.

Cia patrzy na mnie - nie jest pewna, czy ma poświęcić swój oddech.

- Shesha! Shesha! - pogania ją Jabulani i zanim Cia ma czas znowu się nad tym zastanowić, pochyla się do przodu i dmucha w dziurkę w wysuszonym skarabeuszu. Jabulani szybko zatyka dziurkę małym patyczkiem. Teraz, mówi, Cia nigdy nie umrze. Za każdym razem, gdy zacznie się przygotowywać do śmierci, jej dusza po prostu odleci w tym właśnie momencie do miejsca jej amadłoz i będzie bezpieczna, i nic, ani cienie, ani sowa, ani nic innego, nie może zjeść jej duszy.

A Jabulani wie wszystko o zmarłych. Wciska skarabeusza w dłoń Cii i mówi jej, by zawsze go chroniła.

- Życzę wam wielu błogosławieństw i dobrych deszczy.

Stoimy na zewnątrz, mrugając oczyma, a słońce przepędza z naszej pamięci niesamowite wrażenia. Oupa kuca nieopodal na granitowym głazie i pali skręconego przez siebie papierosa.

- No i co ten stary handlujący przyszłością oszust ma do powiedzenia na swoją obronę? - pyta cierpko.

Cia instynktownie odwraca się od niego i otwiera dłoń. Jestem chora z zazdrości. Pochylam się do niej, lecz kiedy sięgam po skarabeusza, ona zaciska dłoń w pięść i wrywa ją z mojej ręki. Mam ochotę ją uderzyć. Potem przypominam sobie ostrzeżenie Jabulaniego o nadejściu ciemności i moja złość się rozwiewa.

- Cia - mówię żarliwie - nie zgub tego i pamiętaj, strzeż się szakala.

- Dobrze, nie zgubię. Ale nie boję się jakiegoś starego szakala - wiesz, to tylko sommer dzikiego psa.

- Ja, wiem, ale bądź ostrożna, tak na wszelki wypadek. Po powrocie do domu powiedzmy o tym Jobe. On będzie wiedział, co robić.

Kiedy wracamy na farmę przez starą przełęcz w górach Vumba, ciemne, ponure korony drzew pochylają się złowróżbnie nad szo-

56
są. Wczesnym wieczorem zatrzymujemy się w małej zatoczce przy drodze. Gdy Tata pochyla się nad chłodnicą landie, a my kręcimy się bez celu w pobliżu, z głębi lasu dociera do nas niezwykle dźwięk. Dochodzi skądś z góry poprzez cienie i delikatne światło - eteryczny dźwięk głosów złączonych w pieśni, którą niesie przez zabarwione nocą powietrze. Milkniemy, starając się lepiej go usłyszeć. W końcu Mama kieruje się w górę jednej z ledwo widocznych ścieżek wychodzących na zatoczkę.

- Chodźcie - woła, odwracając się. - Zobaczmy, skąd te głosy.

Obie z Cią ruszamy za nią. Nie musimy iść daleko. Kilkaset metrów w głąb lasu, na polanie, u stóp okazałych drzew, przycupnął skromny kościół. Jego świętość objawia się tylko białym wapnem na ścianach z plecionki i surowym drewnianym krzyżem wznoszącym się nad portalami. Zbieramy się na przykościelnym cmentarzu i zerkamy w ciemne wnętrze, z którego sączy się muzyka. Przed grubo ciosanymi drewnianymi ławkami około pięćdziesięciu wiernych zjednoczyło się w uwielbieniu Boga.

Dźwięk jest nieznośnie piękny. Wywołuje tęsknotę. Kiedy głosy podnoszą się i opadają w potoku chwały, czuję wilgotny oddech Cii na swoim policzku.

- Och, Nyree - szepcze Cia - to takie smutne.

7

Właśnie zaczął się sezon deszczowy i noce, ponure i obrzmiałe, przecinane są ciemnymi, kolczastymi kurtynami deszczu. Pada także

tego dnia, kiedy on przyjeżdża do Vumby.

Cia i ja jesteśmy w ogrodzie, brodzimy w głębokiej na dwa centymetry wodzie, zbieramy ślimaki i wkładamy je do dużego ocynkowanego wiadra, a za każdego zarobimy centa. Tak można zdobyć fortunę - wiadro wypełnione jest więcej niż do połowy - i właśnie dlatego nie zniechęca nas deszcz, nawet kiedy naprawdę leje. W pewnej chwili ponad hałasem przebija się głos Mamy, która woła nas z tylnych drzwi, a ponieważ nie mamy innej możliwości, jak jej posłuchać - bo zignorowanie jej byłoby ryzykowne - porzucamy nasze polowanie i wlecemy się do kuchni, taszcząc wiadro pomiędzy sobą. Jobe już na nas czeka. Kiedy tylko przekraczamy próg, chwytą nas i z grubsza wyciera ręcznikiem przed żeliwnym piecem. Potem, choć jesteśmy lepkie i potargane, Mama bez dalszych ceregieli prowadzi nas do voorkamer. Wchodzimy tam i zatrzymujemy się jak na komendę, gdy nasze oczy napotykalają kogoś obcego.

Stoi w środku pokoju, prawie na baczność, przed Oupa, który rozsiadł się na starym fotelu z uszakami. To Królewicz z bajek o Roszponce, Kopciuszku i Królewnie Śnieżce.

- Dziewczęta - mówi Oupa swoim najbardziej oficjalnym tonem - to jest wasz kuzyn, Ronin. Przez jakiś czas będzie z nami mieszkał - Oupa nie zadbał o to, by zapoznać go z naszymi imionami.

Cia jest oczarowana. Uśmiecha się nieśmiało z za moich pleców - obce osoby pośród nas wywołują jej nieśmiałość. Ja tylko się gapię.

58

To musi być ten bękart, który w jakiś sposób znalazł się w naszym voorkamer, tylko że ten Książę z Bajki nie wygląda ani trochę jak bękart z naszych wyobrażeń - mieszanka Oliviera Twista i Dennisa Rozrabiaki z roczników Beano, wyobrażeń zrodzonych z powodu jego dziadka - drania i kanalii. Królewicz Ronin patrzy na nas z nieprze-niknionym wyrazem twarzy.

- Bardzo mi miło - mówi w końcu, także bardzo oficjalnie. Cia chichocze i Oupa oznajmia, że możemy już iść.

Mimo to zwlekamy z odejściem. Niewiele jest rzeczy na farmie tak interesujących jak ktoś obcy, a w ogóle nie zdarzają się tak interesujące jak Książę z Bajki, otoczony atmosferą skandalu i potępienia, będący prawdziwym potomkiem Wujka Seamusa.

Kręcimy się w hallu, starając się podsłuchać, co Oupa mówi do Ronina. Jego mruczenie jest zupełnie niesłyszalne, ale z wysokiego tonu głosu Mamy wnoszę, że jest dla chłopaka wyjątkowo miła. Po krótkiej chwili drzwi otwierają się i Mama prowadzi go na górę.

Idziemy za Jobe, który niesie kufer Ronina do pustej sypialni za pokojem Mamy i Taty. Mama pokazuje Roninowi jego pokój i zostawia go, przymykając za sobą drzwi. Przelotnie zauważam, że przed wyjściem dotyka jego złotych włosów. Przywołuje nas do siebie, kiedy tak guzdramy się w przejściu, prowadzi do swojej sypialni i zamyka

drzwi.

Przyciszonym głosem tłumaczy nam, że to nasz kuzyn, który spędził pierwszy semestr w szkole z internatem i przyjechał do nas na wakacje, i już zawsze tak będzie. Cia i ja chcemy wiedzieć, dlaczego w ogóle został wysłany do takiej szkoły. Zgaduję, że zachowywał się bardzo źle i jego mama musiała odesłać go do sali tortur, gdzie prawie cały czas jest się przykutym łańcuchami, ale Mama mówi, że tak nie było i że czasem karze się kogoś za złe zachowanie innych. Cia pyta, czy Tata wie, że Ronina wysłano do szkoły z internatem, chociaż nie był zły. Mama odpowiada twierdząco, ale dodaje, że on jest zajęty walką z Terrami i mamy być miłe dla naszego kuzyna.

Od tej chwili nie odstępujemy go na krok.

Ronin wydaje się raczej powściągliwy i konsekwentnie nas ignoruje, kiedy tak badamy jego zachowanie. Okazuje się jednak wdzięcznym obiektem badań. Odrywa gałęzie z drzew i nacina pnie. Przesiaduje

59

przy rzece z rękami wsadzonymi głęboko w kieszenie, chodzi po polnych drogach, powłócząc nogami. Nie mija dużo czasu, zanim obie zaczynamy się wałęsać z rękami wbitymi głęboko w kieszenie, odważnie powłóczymy nogami, brnąc przez błoto, co jest rażącym naruszeniem zasad Mamy.

Czas obiadu przyciąga Ronina z powrotem do domu, gdzie na chwilę wraca do roli Księcia z Bajki. Gapimy się na niego z rozdziawionymi buziami, aż Mama zwraca nam uwagę, że nieuprzejmie jest tak się w kogoś wpatrywać, więc gapimy się z zamkniętymi buziami. Marzymy o tym, by go zapytać o Wujka Seamusa, ale żadna z nas nie ośmieliła się jeszcze poruszyć tego tematu. Tak naprawdę wszystkie nasze rozmowy kuleją. Od pierwszego dnia, kiedy zobaczyłyśmy go, jak rozpakowuje swój bagaż w pokoju leżącym naprzeciwko naszego, nic nie szło za dobrze.

Oparłam się o framugę drzwi, Cia tuż za mną.

- Jestem Nyree Angelique O'Callohan - powiedziałam, starając się zrekompensować szorstkość Oupa - A to jest Cia.

Cia nie ma drugiego imienia. Jej prawdziwe imię brzmi Ciaran, ale nikt nigdy o tym nie pamięta.

Ronin nie odpowiedział.

- Mam osiem lat i dziewięć miesięcy i potrafię strzelać z procy.

Nawet do koczokodanów...

- I co z tego?

- Po prostu myślałam, że chciałbyś to wiedzieć. Jeżeli będziesz chciał strzelić do czegoś z procy, mogę to zrobić za ciebie.

- Wyglądasz trochę karzełkowato jak na osiem lat.

- Ja, ale teraz rosnę sterek.

Ronin wzruszył ramionami.

- Chcesz zobaczyć dom? Ja i Cia pokażemy ci go, jeśli chcesz.

Nazywa się Modjadji.

Ronin jeszcze raz wzruszył ramionami, ale wstał z kolan, by iść za nami. Zeszliśmy ze schodów, by zacząć od najbardziej okazałych pokoi - hallu, jadalni, biblioteki - ale w miarę jak przechodziliśmy z jednego do drugiego, wydawało się, że Ronin jest pod coraz mniejszym wrażeniem. Wydał usta, oceniając ściany, wybrzuszone i pozapadane od wilgoci, rdzawe wzory wykwitłe na obrazach, zamglone zegary, biały łupież osypujący się z belek obrośniętych grzybem i drżących od termitów.

W końcu, podejmując rozpaczliwą próbę zaimponowania mu, Cia wskazała na gablotę w voorkamer, gdzie za grubym matowym szkłem spoczywa pokryta kurzem Biblia, zamknięta na klucz z powodu swej świętości.

- Wiesz, tutaj jest strzelba - powiedziała z dumą.

Ronin tylko na nią spojrzał, ale to napełniło ją nadzieją. Sięgnęła po omacku za ruszt, gdzie ukryty jest klucz. Strzelba schowana jest za opartą o pulpit Biblią, bardzo starą i świętą, ze złotymi literami połyskującymi na ciemnej, zużytej skórze. Najpierw należała do Christiaana de Beera, który był protestantem. Przybył do Afryki z innymi protestantami, ponieważ bezlitośni katoliccy księża w okrutnych szkarłatnych szatach palili ich na stosach za to, że nie wierzyli, że chleb i wino w Komunii Świętej magicznie zamienia się w ciało i krew Chrystusa. Oupa mówi, że powietrze było przesycone wonią zwęglonych protestantów, więc, tak jak w Księdze Rodzaju, doszło do exodusu do Afryki, która stała się Ziemią Obiecaną.

W 1692 roku Christiaan dobił do Przylądka Sztormów na pokładzie statku Vryburg, należącym do Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. To, że żył i umarł, kryje się w poważnych, wykutych matowymi literami słowach: „In den Naamen God" i „Soo waarlyk helpen my God Almagtig Amen" 1.

Oupa mówi, że Christiaan leży pochowany na starym przykościelnym cmentarzu w winnicach Franschoek, gdzie mieszkali Afrykanerzy, zanim wyruszyli na Wielką Wędrówkę. Musieli wypuścić się do ciemnego serca Afryki, nie mając nic poza swoimi wozami, Hartem Ducha i Wiarą w Boga Wszechmogącego. Chociaż Oupa uważa, że było to po prostu kilku skundlonych Holendrów, uciekających przed morderczym uściskiem brytyjskiego imperializmu i ciągnących za sobą grupy niewolników, przywiązanych do wozów razem z ich Hartem Ducha i Wiarą.

Zastanawiam się, czy Christiaan ma zapadający się, zjadany przez mech nagrobek i czy są na nim wyryte słowa: „Soo waarlyk helpen my „W imię Boga", „Więc naprawdę pomóż mi Boże Wszechmogący, Amen" (przyp. aut.).

God Almagtig Amen". Ale ponieważ Ronina wcale nie interesowała strzelba, wiem, że możemy też nie pokazywać mu Biblii.

Marzę o tym, byśmy mogły wejść na strych, gdzie ukryte są rzeczy naszej zmarłej prababci. Ale Oupa uważa je za świętość, a ponieważ podejrzewa, że nie możemy się doczekać, kiedy, nie mając krzty przyzwoitości, położymy na nich nasze małe brudne łapy rabujące groby, nie wolno nam się zbliżać do tego miejsca - więc strych jest sanktuarium, sanktuarium, którego nie odwiedzają żadni pielgrzymi.

Od tamtej pory stosunki z Roninem niewiele się poprawiły. W swoich próbach nawiązania z nim rozmowy nie wychodzimy zazwyczaj poza pierwsze słowa.

- Cześć, Ronin. Co porabiasz?

-Nic.

-Aha.

Pauza.

- Chcesz zobaczyć zagrody dla kur? Właśnie wykluły się małe kurczaczki.

-Nie.

- Och. Aaa. No dobrze.

Dłuższa pauza.

Teraz dzielimy z nim łazienkę. Musimy pukać, zanim otworzymy drzwi. Ronin ma szczoteczkę do zębów, pastę i grzebień. Ułożone są o jedną półkę wyżej od naszej w toalecie zawieszanej nad umywalką - wszystko w rzędki. Nawet tubkę pasty zwija równo od końca, nie ściska w środku, zostawiając pastę na wierzchu, jak my. Pewnie nie podoba mu się, że zostawiamy pastę rozsmarowaną po całej umywalce. Tacy łazienkowi żołnierze wydają nam się jednak trochę dziwni.

Po bliższym przyjrzeniu się Książę z Bajki trochę traci. Pozostaje bajkowy, owszem, ale jest jak jasnowłosa chłopięca wersja lalki Barbie, jest coś lekko dziewczęcego w jego brodzie, a wrażenie to pogłębiane jest jeszcze przez jego próżność. Sposób, w jaki odgarnia jasny lok z brwi, Oupa w swojej złośliwości nazwałby pretensjonalnym. Tylko jego oczy naprawdę się wyróżniają. Ich błękit jest tak blady, że staje się szary, prawie przezroczysty, i kiedy patrzy prosto na mnie, co nie zdarza się często, zaczynam czuć się nieswojo. Przywodzą mi na myśl

62

Nosferatu, którego oglądałam z Cią pewnego wieczoru w naszej czarno-białej telewizji, dopóki nie zostałyśmy przyłapane na ukrywaniu się za kanapą i wysłane do łóżek. Są to bezbarwne, uprzejme oczy Pradziadka.

Jednak w oczach Cii to, co Ronin stracił na bajkowości, zostało zrekompensowane tym, że był godny współczucia. Jeśli o nią chodzi, Ronin -jako porzucona półsierota, wygnana do sali tortur - naprawdę jest ucieleśnieniem postaci z opowieści Dickensa, i chociaż jest dużo starszy i większy od nas, ona szczerze się nad nim lituje i uśmiecha się do niego gorąco, kiedy tylko ma okazję. Wiem, że dużo ją to kosz-

tuje, jest raczej nieśmiała, ale bardzo się dla niego stara. Nie dostaje nic w zamian.

Chociaż Ronin nigdy otwarcie jej nie obraża, to jednak nigdy też nie uśmiecha się w odpowiedzi i wydaje mi się, że nie można całkowicie przypisać tego zakłopotaniu. Patrzy na nią przez chwilę. Nie czerwieni się, nie okazuje zaskoczenia, tylko patrzy. Tak naprawdę kiedy znajduje się z dala od rzeki, wszystko w nim wydaje się wyra- chowane. Przy dorosłych jest uprzejmy. To nijakie słowo i on właśnie tak się zachowuje - zawsze uprzejmy, ale nic więcej, jakby nosił maskę uprzejmości. To sprawia, że czuję się niepewnie. I jego jedwabisty głos, nawet jego postawa, wydają się tak nienaturalne, jak wyraz jego twarzy. W miarę upływu dni jakoś zamyka się w sobie. Kończy się łamanie gałęzi i nigdy już nie dostrzegamy u niego czegoś podobnie żywiołowego.

Aby oddać mu sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że jego uprzej- mość wobec Mamy wydaje się szczerą, tak jakby chciał sprawić jej przyjemność, ale wobec Oupa na pewno jest udawana. Przed wszystkim udaje, że nie marzy o niczym innym, jak o wysłuchiwanie napędzanych ginem kazań na stoep, popełnia też błąd, kiedy stara się to okazać, bez ustanku przerywając Oupa drobnymi komplementami i zgadzając się z nim zbyt ochoczo.

- Nasz pradziadek był niewątpliwie wspaniałym człowiekiem, sir, i jeśli wolno mi powiedzieć, sir, z pewnością był dumny z syna. To bez wątpienia nie zaskarbia mu sympatii Oupa. Oupa każdego dnia coraz wcześniej mówi mu, że jego pedziowata kokieteria - czym- kolwiek jest pedziowata kokieteria - przyprawia go o mdłości, aż

63
wreszcie Ronin w ogóle rezygnuje z wieczornych posiedzeń. Prawie mu zazdrościmy. Nadal jednak nie unika Oupa całkowicie.

Pewnego późnego popołudnia, kiedy Ronin na wpół przemyka, na wpół maszeruje za róg domu, Oupa na niego naskakuje:

- Hej, chłopcze! Wykonałeś już swoje obowiązki?

Ronin płoszy się, ale szybko odzyskuje rezon. Nerwowo odgarnia z czoła kosmyk włosów.

- Tak, sir, wszystko skończyłem.

Nie kłamie. Ronin wykonuje swoje obowiązki jak świętoszek. To jednak nie dla Oupa to robi, lecz dla Mamy.

Ona przydzieliła mu obowiązki, powiedziała, że jest dość duży, by więcej pomagać na farmie, i że się cieszy, mając przy sobie chłopca. Ronin uważa, że odgrywa tu rolę mężczyzny, o czym świadczy spo- sób, w jaki maszeruje wokół, żując źdźbło trawy, tak jak robi to Tata. Jednak zachowuje się tak tylko wtedy, gdy Taty nie ma.

Wykonuje je wszystkie naprawdę starannie, te obowiązki, nawet dziewczynskie, jak szycie worków na mielies, zamykanych specjalną igłą. Siedział tam ze zmarszczonymi brwiami i z językiem wysta-

wionym z boku ust, szyjąc tak dokładnie, jakby cerował skarpetki. Potem, tak jak zawsze, pokazał Mamie swoje dzieło, udając, że chce sprawdzić, czy dobrze wszystko wykonał, i zaróżowił się, kiedy mu powiedziała, że dobrze się spisał. Czasem Mama nawet mierzwi mu włosy albo klepie go po ramieniu. Cia także nie lubi na to patrzeć. Obserwuję ją, kiedy przygląda mu się spod zmrużonych powiek. Jednak Oupa ignoruje fakt, że Ronin uporał się z obowiązkami.

- Nie tolerujemy tu nicponi i obiboków. Musisz zarabiać na swoje utrzymanie, jak wszyscy inni.

- Tak, sir. Nie przyłapie mnie pan na lenistwie, sir. Czy ma pan dla mnie jeszcze coś do zrobienia? - jego głos jest przymilny.

Nie wiem dlaczego, ale to Oupa rozwściecza. Jego dolna szczęka sterczy jeszcze bardziej niż zwykle, przez chwilę taksuje Ronina wzrokiem z tą swoją dziedziczną łacińską władczością, potem dodaje:

- Nie. Ale pasożyty, które włożą w tyłek, to nadal pasożyty, tylko bardziej brązowe.

Przez chwilę Ronin wygląda na urażonego, zanim udaje mu się °dzyskać kontrolę nad wyrazem twarzy. Słowo „pasożyt” tnie jak nóż przecinający jakąś miękką rzecz. Cia spogląda na zaczerwienionego teraz pasożyta z wyraźnym współczuciem. W tym momencie nadchodzi Mama. Wdycha powietrze przesycone trucizną i żąda wyjaśnienia, co się dzieje. Nikt nie odpowiada, więc natychmiast rozgania zebranych.

- Nie zwracaj na niego najmniejszej uwagi - dodaje, patrząc zagadkowo na Ronina i wskazując głową w kierunku Oupa. Wydaje się, że nas też miała na myśli.

Po tym incydencie Ronin nie stara się już zdobyć aprobaty Oupa, ale połyka jego słowne złośliwości, którymi ten regularnie go raczy. Nie wiem, dlaczego Oupa delektuje się dezaprobowaniem Ronina, przeżuwając i obracając je językiem jak prymkę tytoniu. Pewnego wieczoru słyszałyśmy, jak Mama krzyczy na niego z tego powodu. Zapytała go, jaki sadystyczny sukinsyn przejawia wobec dziecka takie okrucieństwo, i dodała, że nie powinien winić za wszystko Seamusa i że już czas dorosnąć, co - powiedziane do starego człowieka - było bardzo zabawne. Ale Oupa zawsze powtarza nam, że O'Callohan „nigdy nic od nikogo nie pożycza, nigdy o nic nie prosi” i że przymilność Ronina jest dla niego za trudna do zniesienia.

Zupełnie nie rozumiemy, dlaczego Ronin poddaje się temu tak potulnie. Zarazem jednak okazuje nam wyraźną pogardę. Nadal niewiele mówi do Cii czy do mnie, czy też tak naprawdę do kogokolwiek innego, ale kiedy jesteśmy sami, jego wyraz twarzy, normalnie tak starannie opanowany, zaczyna bardziej przypominać szyderstwo.

Także wobec Afrykanów. Powoli Cia przestaje się do niego uśmiechać i na jego widok staje się nieufna. Nadal opanowują ją fale współczucia, kiedy Oupa go poniża, ale i jej, i moje uczucia wobec niego stają się

bardziej ambiwalentne.

8

Jesteśmy obie na trawniku przed domem i z zaangażowaniem wykonujemy piosenkę Baby Makes Her Blue Jeans Talk. Znamy jednak tylko refren, musimy więc śpiewać go wciąż od nowa, co tak denerwuje Oupa, że jeżeli każemy mu wysłuchiwać naszej obrzydliwej interpretacji chociaż jeden raz więcej, zejdzie ze stoep i wyśle nasze nieochrzczone, spuchnięte od grzechów tyłki prosto do piekła.

- „Ona nic nie mówi, ale sprawia, że jej dzinsy mówią” - wykrzykuje Cia za mną, energicznie kręcąc pupą.

Oupa pyta, czy ona ma świadomość, że piekło aż roi się od diabłów, które przez cały dzień nie mają nic lepszego do roboty, niż dźgać ją w tyłek gorącymi widłami. Jeżeli Cia nawet zdaje sobie z tego sprawę, to nic ją to nie obchodzi, ponieważ Baby Makes Her Blue Jeans Talk jest o niebo lepsze niż Lone Ranger, które odgrywałyśmy, dopóki Cia nie oznajmiła, że ma szczerze dosyć roli Tonto, i odmówiła udziału w zabawie, chociaż proponowałam jej w zamian Hi Ho Silvera. Jednak szczęśliwie dla jej tyłka, Jobe woła z kuchni, byśmy weszły do środka i się umyły. Ruszamy do tylnego wyjścia i łazimy wokół buntowniczo.

- Dlaczego musimy się myć? - pyskuje Cia bezczelnie.

- Bo będziecie spały w mieście i nie możecie przynieść wstydu waszej Mamie z powodu brudu, jaki macie na sobie - wyjaśnia Jobe. Natychmiast się ożywiamy. Spać w mieście? Mush.

Okazuje się, że odbywa się aukcja. Aukcje same w sobie są mushi sterek, odbywają się w wielkim kurzu i hałasie wewnątrz ogromnych aren, na które patrzysz z balkonów, wznoszących się spiralnie na ścianach ponad podłogą areny. Obserwujesz, jak wielkie mombies pędzą w popłochu do środka i na zewnątrz - ale najbardziej mush jest wieczór w mieście.

Nie przestajemy wiercić się i wyrywać, kiedy Jobe brutalnie nas wyciera. Następnie Tata wpycha grzebień w jedną ze swoich długich skarpet i każe nam i Roninowi siadać na tylnym siedzeniu landie na długą podróż do Umtali. Obie jesteśmy podekscytowane, ale nie mogę dać się ponieść emocjom, bo jeżeli albo ja, albo Cia choć raz zrobimy coś karygodnego, to - Boże, miej ją w swojej opiece - Mama zabije nas na miejscu i będziemy przez całą wieczność zgarniać węgiel łopatami.

Zatrzymujemy się w domu przyjaciół - choć trzeba wyraźnie powiedzieć, że to tylko rodzice się przyjaźnią. Louis jest o rok starszy ode mnie, a jego brat Andre - od Cii. Ich mama nie żyje. Zginęła z powodu wojny. Nazywała się pani Schalkwyk.

- Nyree, myślisz, że muszą chodzić na jej grób?

- Ja. Myślę, że muszą tam chodzić i modlić się za jej nieśmiertelną duszę i takie tam.

Wyobrażam sobie Louisa i Andre, jak w szarej mżawce stoją z pochylonymi głowami przy grobie mamy. Wiem, że to grzech, ale Niebo wydaje mi się nudne, z nudnymi starymi cherubinami, które unoszą się na chmurach, grają na harfach, trąbkach i nie wiem, czym jeszcze. Nie chcę tam iść.

Teraz Louis i Andre mają macochę (ale nie taką jak w Kopciuszku - ta wygląda jak zwyczajna matka) i są mieszcuchami, nie tak jak my. Nasza znajomość z nimi trwa już od dawna, a jej jedynym celem - celem, o którym żadne z nas nie zapomina - jest stałe przypominanie nam o dzielącej nas przepaści.

Przez lata w czasie tych krótkich wypadów do miasta Cia i ja ze smutkiem uświadamialiśmy sobie, że istnieją pewne wstydlive aspekty życia w bundu. Najlepiej wyjaśnić to na przykładzie ubikacji. Kibel na farmie przyprawia o gęsią skórę (jest odrażający) - wilgotny, roi się od gogos, a ze zbiornika zawieszzonego wysoko na ścianie dyn-da za krótki zardzewiały łańcuch. To miejsce gości też pod okapami kolonię nietoperzy, a papier toaletowy to strony z Farmers' Weekly, pocięte na kwadraty i zawieszzone na gwoździu. Wcześniej jednak nie zauważaliśmy całego okropieństwa tego miejsca. Jednak u Louisa i Andre nie używa się nawet słowa „ubikacja”. Mówi się „klozet” i jest to pomieszczenie całe białe i błyszczące, a w nim znajduje się robiony na drutach różowy pudel z ogonem z pomponów, przycupnięty na zapasowej rolce papieru toaletowego Fairy. Kłapa toalety przykryta jest pasującym do niego różowym pokrowcem z falbankami, a po ścianach wspinają się syreny i złote rybki z kaylite. Cia i ja udajemy, że musimy skorzystać z toalety, by móc znów tam iść. I teraz wiemy, że nasz kibel jest absolutnie żenujący.

Jest też mnóstwo innych rzeczy, z kategorii wytwornych, których mieszkańcy bundu są pozbawieni, ale poznanie ich wiąże się z koniecznością znoszenia szyderczych uśmieszków i drwin ze strony Louisa i Andre, którymi nas raczą, kiedy tylko dostrzegą naszą ignorancję. Jednak warto się na to narażać.

Ostatnio, kiedy przyjechaliśmy do miasta, dowiedzieliśmy się o chłopcu z lodami. Pewnego popołudnia śmigaliśmy z terkotem na naszych rowerach przekształconych w motocykle za pomocą przy-mocowanych do szprych tekturek, nad nami unosiła się fioletowa mgiełka kwiatów jakarandy, kiedy tak podążaliśmy za Louisem, Andre i paczką mieszcuchów. Pozwalali nam jechać za sobą tylko wtedy, gdy pozostawialiśmy przynajmniej dwie jakarandy za Andre, który musiał jechać ostatni. Moja koszulka właśnie zaczęła przylepiać mi się do pleców, kiedy usłyszeliśmy dźwięk dzwonka. Do czasu gdy Cia i ja dołączyliśmy do wszystkich, miejscy chłopcy stłoczyli się wokół niego - dużego chłopaka w mundurze Dairy Maid w środku tłumu. Trzymałyśmy się blisko, by wiedzieć, jak ich naśladować, kiedy nadejdzie nasza kolej. I wreszcie nadeszła.

- Mogę prosić o loda na patyku za dwa i pół centa? - zapytałam nieśmiało.

- Czy ja także mogę prosić o loda na patyku za dwa i pół centa? - Cia prawie szepnęła.

Uśmiechnął się jak dzin, jego zęby zabłyśły na tle hebanowej skóry, kiedy podniósł pokrywkę pudełka. Ze środka buchnęła chmura dymu z suchego lodu i miałam wrażenie, że czuję na twarzy arktyczne powietrze. Zaglądaliśmy przez tę chmurę do ukrytych w środku skarbów. Kiedy tylko każda z nas chwyciła swojego loda na patyku,

68
wówczas - znów imitując technikę mieszczuchów - dmuchnęliśmy w opakowanie, by je poluzować. Napęczniało satysfakcjonująco i chwilę później hałaśliwie lizaliśmy neonowopomarańczowe lody.

Opowiadamy tę historię raz za razem innym żałośnie nieświadomym mieszkańcom bundu z naszej szkoły.

- Więc w każdej chwili, na przykład w drodze ze szkoły do domu, potykasz się o niego, jak przechadza się wzdłuż drogi z lodówką turystyczną wypełnioną po brzegi lodami? - pyta Dell po raz tysięczny i potrząsa głową z niedowierzaniem.

- Ja\ Jest też bi-scope, gdzie możesz iść, kiedy tylko zechcesz.

Widziałyśmy tam Lone Rangera, który jest milion razy lepszy niż Jezus pokazywany nam w szkolnej auli - wtrąca się Cia.

- Ale! Zwyczajnie kłamiesz! - krzyczy z tyłu tłumu Jeremiaś, nasz sceptyk.

- Nie kłamie! - odparowuje Cia z oburzeniem. - Jesteś zwykłym plaas-jaapie, który śmierdzi łajnem, nigdy nie był w mieście i który nie ma o niczym pojęcia.

Jednak będąc u Louisa i Andre, cały czas odczuwamy wstyd jako mieszkanki gammadoolah.

Kiedy Cia traci równowagę i po raz kolejny spada ze sprężyny pogo, Andre mówi jej, że jest dla niego zupełnie oczywiste, iż nigdy nawet nie widziała ona takiej sprężyny w całym swoim typowym dla plaas-jaapie życiu. Ale nawet gdy Cia gramoli się do góry, udając, że się nie potłukła, to nie jest tak źle jak zwykle, ponieważ tym razem przywiozłyśmy ze sobą Ronina, który bez wątplenia ma czternaście lat, a to jest lepsze od każdej sprężyny pogo. I kiedy im mówię - po tym, jak przysięgli, że nigdy nikomu nie pisną ani słowa - że Ronin jest sierotą, a jego ojciec został zastrzelony w potyczce z kaffir, i że wcześniej uciekł z domu poprawczego, gdzie przykuwają cię łańcuchem do ściany w piwnicy i torturują przez długie godziny, to ta rewelacja sprawia, że Louis patrzy na nas prawie z szacunkiem.

To, że Ronin nie zauważa ich istnienia, wywiera na nich jeszcze większe wrażenie i starają się znaleźć sposoby na wyciągnięcie go w miejsce publiczne, gdzie będą mogli go zobaczyć ich przyjaciele.

- To trochę jak próby nakłonienia kreta do wyjścia z jego korytarza

- mówi Louis.

69

- Jak to? - pytam.

- Wciskasz do takiego korytarza wąż połączony z rurą wydechową i włączasz silnik - wyjaśnia Andre, pełen dobrych chęci.

- Jeżeli wciskasz cokolwiek od rury wydechowej i podtruwasz tak krety, to mówię ci - odzywa się Cia - to jest podłe.

- Jakie tam podłe, to tylko przekonuje go, by robił swoje kopce w jakimś innym ogrodzie, głupia - szydzi Andre.

- Nie, jeśli drugi koniec jego tunelu jest zablokowany. Ciekawe, czy chciałbyś być kretem, którego zatruwają na śmierć, co?

- Rany, mówię tylko, że musimy go wywabić, to wszystko.

Ale Mama oszczędza Louisowi jakiegokolwiek wywabiania - co do którego i tak miałam wątpliwości - proponując, że Ronin weźmie nas następnego dnia na pływalnię. „Pływalnia” brzmi tak wytwornie, że wyobrażam sobie hollywoodzkie pływaczki synchroniczne w falbaniastych czepkach. Tak naprawdę trochę się denerwuję z powodu tego wyjścia, ale już delektuję się perspektywą opowiedzenia wszystkiego Dellowi, Jeremiahowi i reszcie. Zatem w drodze, gdy mijamy miejskie aleje i schludne trawniki, graniczące z żywopłotami z hibiskusa, którego pokryły zwisające kwiaty, jestem także podekscytowana, pomimo wyraźnej opryskliwości Ronina.

Zanim docieramy do bram, nad którymi wznoszą się imponujące łuki, Louis i Andre nie omieszkają poinstruować nas, że na basenie nie mamy z nimi rozmawiać, ani nawet do nich podchodzić. Nie mamy namawiać ich na grę Springboks1 przeciwko Lions2 czy na coś równie obciachowego, co jest dozwolone tylko w zaciszu ogrodu na tyłach ich domu. Cierpliwie stoimy w kolejce razem z chmarą innych małych pływaków, czekających na piętnastą - pływalnia jest zamknięta między dwunastą a piętnastą, w najgorętszych godzinach dnia. Louis i Andre wykrzykują powitania w każdą stronę kolejki, Cia i ja milczymy lękliwie, a Ronin ponuro patrzy przed siebie. W końcu brama się otwiera, wręczamy nasze pięć centów i tracę głowę, próbując od niechcienia przepchnąć się przez bramkę obrotową.

Narodowa reprezentacja RPA w rugby (przyp. red.).

Reprezentacja Wysp Brytyjskich (Wielkiej Brytanii wraz z Irlandią) w rugby (przyp. red.).

70

Ze szczytu schodów Cia i ja lustrujemy olśniewające turkusowe baseny, rozciągające się przed naszymi oczyma. Budzący pogardę brodzik dla maluchów mieści się bezpośrednio przed nami, główny basen olimpijski za nami, a wieża do skoków na samym końcu. Palmy i soczyste trawniki otaczają teren z dwóch stron. Czuję się onieśmielona, ale staram się to ukryć i współczuję Cii, która drży ze strachu jak osika. Louis i Andre prowadzą nas do „ich” drzewa, gdzie już czekają

na nich przyjaciele.

- To jest Ronin. Ma czternaście lat! - przedstawiają naszego kuzyna z dumą. Cała paczka wpatruje się z podziwem w Ronina, którego twarz wyraża pogardę.

- Musieliśmy je przyprowadzić - mówi Louis, wskazując na nas kciukiem.

Potem, dopełniwszy konwenansów, cała paczka biegnie, by skakać na bombę do basenu i z całych sił krzyczeć „Geronimo!”

Głęboko wciągamy powietrze, chwytam Cię mocno za rękę i podążam w stronę płytkiego końca basenu - brodzik dla małych dzieci niestety nie wchodzi w grę. Co zawstydzające, płytszy koniec jest okupowany przez mniejsze dzieci, głównie dziewczynki, niektóre nawet w towarzystwie swoich mam. Szczęśliwie jednak nigdzie nie widać nurków Geronimo. Niepewnie zsuwamy się z krawędzi basenu w chłodne głębie i mój lęk ulatnia się w jednej chwili. Cia przypomina sobie nagle, że jest prawie jak żaba, i wkrótce mkniemy jak torpedy przez cudowną niebieską wodę. Docieramy coraz głębiej, aż spotykamy chłopców, zajętych konkursem na wstrzymywanie oddechu. Louis pozwala nam nawet się do nich przyłączyć.

W końcu, gdy opuszki naszych palców są już całkiem pomarszczone, gramolimy się na brzeg basenu i zmierzamy do herbaciarni. Jej podłoga - podobnie jak niemal wszystkie pozostałe podłogi - to wygładzony czerwony cement, który teraz jest mokry i zaprasza do ślizgania się po nim. Stoimy w kolejce za ociekającymi wodą chłopcami o zaczerwienionych oczach i włosach przyklejonych do czaszek. Chcą kupić różowe ryby lub żółte banany z pianki żelowej, lub paczkę oranżady w proszku z lukrecjową słomką. Potem wolno nam poleżeć z chłopcami na trawie w słońcu, pić waniliową lemoniadę przez słomkę i odrywać zębami kawałki różowej żelowej ryby. Następnie

71
chłopcy rozgrywają mecz krykieta, w którym ci odziani w koszulki grają przeciwko tym w kąpielówkach.

Cienie wydłużają się, a popołudniowe światło traci ostrość, więc Louis stwierdza, że powinniśmy przepłynąć się po raz ostatni przed powrotem do domu. Cia i ja wstajemy i tym razem kierujemy się do środkowej części basenu. Stoję chwiejnie na krawędzi, pokryta gęsią skórą i niepewna, czy zanurzyć się w chłodne teraz głębie, ale Cia bez wahania unosi się na palcach i z precyzją nurkuje w wodzie. Na chwilę znika pod powierzchnią. Przez wszystkie te chemikalia, zanieczyszczenia i cienie, woda wydaje się mętniejsza, a setki dzieciaków mącą ją jeszcze bardziej. Potem widzę, jak Cia się wynurza, z włosami przyklejonymi do twarzy, strzepuje wodę z oczu i się śmieje. Nagle jednak wyraz jej twarzy się zmienia, odmalowuje się na niej zaskoczenie i strach i potem coś szarpnięciem wciąga Cię w głąb.

Stoję oszołomiona z sercem w gardle, potem rzucam się za nią. Pod powierzchnią otwieram oczy na szczypiący chlor i patrzę przez matową wodę. Nie dostrzegam nic poza wierzgającymi nogami, przebijam się pomiędzy nimi. Ktoś kopie mnie prosto w twarz. Połykam hektolitry wody, która pali moje nozdrza, a przed oczami wykwitają mi czarne plamy, ale brnę tam, gdzie Cia poszła w dół. Widzę coś, co wygląda jak miotające się powykręcane ciała, ale nie jestem pewna. Potem wyciągam rękę i czuję znajomy uścisk Cii.

Szybko wznosimy się, by wydostać się na powierzchnię. Cia krztusi się i łapie oddech, jej oczy są wielkie, a źrenice rozszerzone. Gwałtownie rozglądam się dookoła. Jestem zdezorientowana i spanielowana, a potem, nie wiem dlaczego, spoglądam po przekątnej na daleką stronę basenu. Stoi tam Ronin, bezpośrednio w linii mojego wzroku, patrzy prosto na nas. Wytrzymuje mój wzrok przez dłuższą chwilę, potem odwraca się i równym krokiem oddala się od basenu. W tej chwili już wiem, że to był on.

Cia i ja z trudem docieramy na boczną krawędź i wyciągam ją z wody. Siedzimy przez jakiś czas, aż jej piersi przestają falować tak gwałtownie.

- Nie wiem, co się stało, Nyree. Nie wiem. Ktoś pociągnął mnie w dół i tam przytrzymał. Trzymał mi ręce na głowie, nie mogłam

72
oddychać. - Jej oczy napływają łzami. Otaczam ją ramieniem, by ją pocieszyć, ale sama jestem wystraszona.

Potem zaczynam wątpić w to, co widziałam na własne oczy. Trwało to tak krótko, że nie mogę nawet być pewna ani tego, że widziałam Ronina w wodzie, ani też tego momentu, gdy wyskakiwał z niej jak z procy. Ten obraz tkwił we mnie jak jakiś surrealistyczny element mojej paniki. Potem wydawało się, jakby go nigdy tam nie było, a nawet jeśli był, to nie znaczy, że zrobił to Cii. Dlaczego miałby to zrobić? Próbuję odepchnąć od siebie tę myśl.

W drodze do domu Cia jest przygaszona. Ja czuję niepokój, ale Ronin prezentuje swoje zwyczajne, lekko wyniosłe Ja. Z niczym się nie zdradza i w końcu żywiołowość Louisa i Andre trochę poprawia nam nastrój. Idziemy dalej, starając się podcinać sobie nawzajem nogi. Nie dzielę się z Cią moimi podejrzeniami i wydaje się, że ona szybko o wszystkim zapomina. Tak naprawdę, gdy wracamy do domu, na farmę, ze szczególną przyjemnością opowiada tę historię - tylko trochę ubarwioną - Dellowi i innym dzieciom z naszej okolicy.

- Nigdy nie widzieliście takiego głębokiego basenu - jest głębszy niż Atlantyk. Jest tak głęboki, że jeśli weźmiesz oddech i płyniesz w dół na kilometr, wciąż nie docierasz do dna. Prawda, Nyree? Ale ja nie zapominam. Nie potrafię całkowicie siebie oszukać.

Nie minęło wiele czasu od naszej zabawy na pływalni - tak napraw-

dę nadal eksploatujemy tamtą wyprawę w naszych opowieściach - gdy ja i Cia siedzimy na schodach przy tylnym wejściu, rozdzielając i liżąc albo ściskając kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Jobe stoi trochę dalej, w drzwiach do pralni z rękami zanurzonymi po łokcie w obracającej się pralce, wypełnionej spienioną wodą.

Mama mówi, że to relikwiarz, który poprzedza pralkę z dwoma bębniami, i nazywa go wielkim gadatliwym zbiornikiem. Wielki gadatliwy zbiornik już wiele lat temu stracił pokrywę, więc kiedy się trzęsie, obracając pranie, rozlewa mydliny po całej podłodze. Cia i ja lubimy wkładać do niego ręce, ale dzisiaj nie wolno nam tego robić, gdyż lepimy się od masła orzechowego i dżemu. Jobe wspaniałomyślnie zgodził się jednak przelać do flakonika trochę mętnej zielonej mydlanej mikstury - chcemy jej użyć w zbliżającej się próbie latania w Baśniowej Krainie. W zbiorniku znajdują się wody szaro-zielonej rzeki Limpopo, całej obrośniętej drzewami gorączkowymi - wody te muszą więc być magiczne.

Jobe często ulega nam, tak jak nikt inny, na przykład w sprawie mydlinowej mikstury, spełnia nasze niemądre fantazje o wrózkach i innych głupstwach, jak nazywa to Oupa. Podejrzewam, że Jobe jest dla nas taki dobry, ponieważ my także sprawiamy mu przyjemność, słuchając historii jego życia, którą lubi ze szczegółami opowiadać przy pracy. Ma on jednak nie tylko jedną historię życia, przeżył życie wiele, wiele razy. Ja i Cia przykucamy na podłodze, słuchamy i klaszczemy po zapoznaniu się z ciekawszymi fragmentami. Najlepsza opowieść jest o tym, jak Jobe był Jobe Górnikiem w Kopalni Złota.

74

Jako młody człowiek, który mieszkał jeszcze ze swoim plemieniem w miejscu swojego urodzenia nieopodal Kwa Bulawayo - Miejsca Masakry - dał się namówić do pracy w wielkich kopalniach w Johannesburgu, daleko na południu. W tamtych czasach, mówi Jobe, kopalnie były głodne ludzi. Afryka zaspokajała ten głód. Niczym kolumna mrówek mężczyźni przybywali do eGoli - Miasta Złota - a tu połykało ich rozdziawione gardło kopalni.

Kolumny mrówek maszerowały tak przez wiele lat, od czasów dziadka Jobe, kiedy to ktoś o nazwisku Wenela przybył do ich wioski w roku, w którym dziadek osiągnął pełnoletniość. Oupa uważa, że słowo „Wenela” powstało, kiedy na północ od Limpopo połączono pierwsze litery nazwy Witwatersrand Native Labour Association¹. Jobe opowiada, jak młodzi mężczyźni z wioski, którzy poszli za Wenelą wcześniej niż on, wrócili do domu pod koniec roku obładowani wielkimi kuframi ze scyzorykami lustrami, kocami, gotowymi mielies-meal i rowerami, które pochodziły z miejsca o nazwie Jew Stores w kopalniach - myślę, że to jakaś jaskinia Aladyna - oraz historiami, dzięki którym zamieniali się w bohaterów, wielbionych przez mniejszych chłopców. Mieli też więcej pieniędzy, niż potrzeba na zapłacenie lobola za pannę młodą.

- O tak, pragnąłem Jew Stores i tych historii, i lobola, tak, tak -

przyznaje Jobe.

Podpisał kontrakt Weneli.

- Potem zaoferowali nam WF.

Jak wywnioskowałyśmy, WF to była para białych szortów i biały podkoszulek.

- Po WF-ie Oom Gert nas zamknął - mówi Jobe z oburzeniem.

Cia i ja także jesteśmy oburzone. Oom Gert i jego syn byli Afrykanerami. Zabrali papier, na którym Jobe postawił swój znaczek, i kiedy był na WF-ie, zwabili go do swojej ciężarówki, przykuli kajdankami do barierki na wypadek, gdyby strach złapał go za gardło i skłonił do zmiany zdania. Nie mogło tam dojść do niedotrzymania słowa.

Następnej nocy, pod osłoną ciemności, on i inni młodzi ludzie, którzy postawili znak na papierze, wyruszyli w swoją podróż do eGoli

1 Witwatersrand Native Labour Association (popularnie nazywana Wenelą) - organizacja rekrutują-

ca czarnych robotników do pracy w kopalniach złota w krajach Afryki Południowej (przyp. red.).

75

- potajemną, gdyż rekrutowanie w Rodezji było wówczas dla Weneli Sprzeczne z Prawem. Kiedy ciężarówka przyjechała do centralnej zajezdni w Matabelelandzie, on i inni zwerbowani zostali wepchnięci do wielkiego wojskowego namiotu w maskujących kolorach, gdzie stali w długich kolejkach, czekając na to, aż na ich sercach zostanie umieszczona dziwna metaliczna moneta.

- Jeśli twoje serce, twój oddech nie są dobre, to się nie nadajesz.

A umlungu udokotela wie. He, He! Ma umshini, które może słuchać twojego serca, twojego oddechu, i wie, co może się zdarzyć. I jeżeli udokotela powie, że coś jest nie tak, oni mówią: „Hamba\” - „Idź!” i musisz wracać do domu.

Coś nie tak z twoim oddechem oznacza TB2. Cia i ja wiemy wszystko o TB od Oupa, który jest ekspertem od tej choroby. Moneta wykrywała objawy choroby, gdy jeszcze kryła się ona w miękkich polipach w płucach.

Jednak Jobe przeszedł test i nie został wyrzucony. Podróżował dalej, najpierw po drogach, potem rzeką i wreszcie koleją, a wszystko dookoła było oznaczone „WNLA”. Liczba młodych mężczyzn wokół niego rosła na każdej stacji.

- Nocami śpiewaliśmy „Wenela jest naszym ojcem i naszą matką.

Wszystkowiedzący Wenela zabierze nas tam”.

Kiedy wreszcie na horyzoncie ukazało się jak fatamorgana wielkie miasto, Jobe poznał uczucie lęku. Miejsce, które nazywają Reef, jest niekończącym się czarnym wyrobiskiem, zarzuconym żelaznymi bestiami - to umshini, które warczą i syczą, i wypluwają dym i wściekłość. Przez ich żyły pompowana jest czarna krew, ich ścięgna przystosowane są do wojny, a szczęki mogą zmiażdżyć kości człowieka

tak, jak szkielet kurczaka. Milkną tylko w nocy. Chociaż tak naprawdę i wtedy nie są zupełnie cicho - jeżeli słuchasz uważnie na zewnątrz fabryk, w których stoją zakute w łańcuchy, usłyszysz je - tyle że nie warczą teraz, ale łkają.

Jobe został natychmiast przewieziony przez Wenełę do kopalni Rand Central Deep oraz do Kompleksu. W Kompleksie, gdzie on i setki innych górników jedli, spali i żyli jak bracia przez czas wiążących TB - skrót od tuberculosis, oznacza tuberkulozę, czyli gruźlicę (przyp. red.) ich kontraktów, znalazł induna z ludu Ndebele. Ucieszył się - induna z pewnością się nim zaopiekuje. Biały baas Kompleksu znany był w całej okolicy jako najpotężniejszy baas we wszystkich izimayini. Jobe słyszał o ludziach z innych kompleksów, którzy próbowali kwestionować jego honor, ale byli po prostu kłamcami.

Wydano Jobe boty, hełm oraz dziwny strój, mający go chronić na dole w ciemnościach kopalni, i zaczęła się jego inicjacja. Polegała ona na nauczaniu się „Fanagolo”, znanego także jako „Chilapalapa”, „Kopalniany Kaffir”, „Pidgin Bantu” oraz pod innymi takimi nazwami. Jest to mieszany slang, składający się z mowy Zulusów, ze slangu afrykanerskiego, z języka angielskiego, portugalskiego i kilku innych. Dzięki niemu legiony robotników z plemienia Shangaan z portugalskiej Afryki Wschodniej, Tonga z Malawi, Basotho z Lesoto i pozostałych pięćdziesięciu plemion pracujących w kopalniach mogły się porozumiewać.

- To był kurs - informuje nas Jobe grobowym głosem. Skanduje z pamięci - Hamba lusa! Hamba fasa! Eish! - potrząsa głową. - Przez cały dzień powtarzaliśmy „Hamba lusa! Hamba fasa!”

I wszyscy troje stoimy w rzędzie na trawniku i jednym głosem recytujemy uroczyście „Hamba lusa! Hamba fasa!”, udając, że poruszamy wielkie wymyślane dźwignie, jakbyśmy włączali i wyłączali umshini.

A potem szkolenie się skończyło. Pierwszego i każdego następnego dnia o drugiej w nocy w osiedlu rozlegała się syrena i wtedy zaczynała się szychta Jobe. Syrena zawodziła w ciemnościach i wdzieriała się w jego marzenia senne. On i tysiące współtowarzyszy opuszczali chwiejnie swoje sny, ustawiały się w długie kolejki przed szybami, w cieniu górujących nad nimi stalowych wież, i szurały powoli naprzód w przenikliwym chłodzie zimowej nocy.

- Hau! Tu jest lodowato! - Była tak niska temperatura, że ubudoda - męskość - zamieniała się w taką, jak u małego chłopca.

Jobe powłóczył nogami w ostrym zimnie, dopóki nie nadeszła jego kolej, by wejść do kabiny windy, i biały operator windy opuszczał go w dół, do gardła kopalni.

Jobe pracował na poziomie dwudziestym trzecim, a opuszczająca się kabina terkotała obok dwudziestu dwóch innych wielkich zięjących dziur, pozostawionych przez tych, którzy byli tu przed nim.

Stare opuszczone tunele, podpierane przez stemple, rozciągały się w ciemność, budząc przerażenie. Miejsce na głównym chodniku, tysiąc metrów pod powierzchnią ziemi, Jobe opisywał tak, jak Oupa opisywał Piekło. Królestwo Potępionych.

Głęboko we wnętrzościach ziemi jest wściekle gorąco, a przez twoje nozdrza przechodzi gęste i cuchnące powietrze. Panują prawie całkowite ciemności, słabe kręgi światła z lamp, wiszących wzdłuż chropowatego tunelu, są atakowane na skrajach przez gęstą i kleistą ciemność, a w tle słychać niesłabnące pulsowanie i wycie wiertarek udarowych, wwiercających się w skalną ścianę, pomp, pracujących gorączkowo, by powstrzymać podnoszenie się poziomu wody, oraz bicie łopatek masywnych wentylatorów. Jak odgłosy torturowanych zwierząt.

Ponieważ pokłady złota mają grubość zaledwie kilku cali, górnicy otrzymywali premie za wczolgiwanie się w wąskie, strome wykopy, które odchodziły od głównych chodników, i całodzienną pracę w takich zamknięciach przy wycinaniu żył i rzucaniu złota do wózków, które terkotały poniżej. Pierwszy raz, kiedy Jobe wcisnął się do takiej szczeliny, zaczął się dusić - nie mógł oddychać z powodu ciemności, ogromu skały, która zdawała się go przygniatać i wyciskać powietrze z jego płuc. Jakby został pogrzebany za życia. Weterani wiedzieli, jak sobie z tym radzić, i z czasem Jobe także się tego nauczył - zaczął nawet uważać, że przebywanie w takiej wąskiej szczelinie poprawia mu nastrój. A przez cały czas biali brygadziści patrolowali teren, smagając górników na oślep swoimi sjambok.

O drugiej po południu syreny obwieszczały koniec szychty i Jobe włókł się noga za nogą z powrotem do windy, gdzie stał w kolejce, czasem przez dwie godziny, żeby wywieziono go na powierzchnię. W nocy, zabarykadowany w Kompleksie, dołączał do tłumów tancerzy w gumowcach. Jobe był w swoim czasie mistrzem tańca w gumowcach i lubi się tym chwalić. Kiedy się tak chełpi, ja i Cia mlóćimy rękami powietrze, tupiąc i kłapiąc na trawniku wyimaginowanymi gumowcami. Jobe mówi, że jesteśmy najgorszymi tancerzami w gumowcach, jakich kiedykolwiek widział, ale sądzę, że gdybyśmy miały prawdziwe gumowce, szłoby nam całkiem nieźle.

W inne noce, kiedy był zbyt zmęczony, by tańczyć, po prostu siedział w kucki z innymi chłopcami z kopalni, palił papierosy i rozmawiał. Niekiedy zdarzały się szalone noce w shebeen, ale nieczęsto - jeśli zostałeś złapany po godzinie policyjnej przez amaphoyisa, te świnię, a nie miałeś przepustki, ciągnęli cię prosto do ijele. Jobe unikał tych gniazd rozpusty, ponieważ wizyty w nich często pechowo się kończyły. Były tam kości i kobiety, które sprawiały, że twoje pieniądze znikają, a nawet jeśli wychodziłeś z jakimś groszem w kieszeni, w drodze do domu mogłeś wpaść w zasadzkę, zostać obrabowany i zбитy na krwawą miazgę.

Czasem organizowali w kompleksie pokazy filmów. Jobe lubił wypełnione walką i jazdą konną westerny, ale filmy edukacyjne o bezpieczeństwie w kopalni, gdzie występował mampara - co w języku Fanagalo oznacza półgłówka - który robił wszystko źle, były bardzo zabawne. A potem, w środku nocy, znowu rozbrzmiewała syrena. Ale to było dawno temu. Od tamtej pory w kącikach oczu Jobe wyźłobiły się kurze łapki, a on jest tak stary, jak w chwili śmierci był najstarszy umkhulu z jego plemienia. Teraz Jobe śpiewa, obracając pranie. Ma głęboki, melodyjny głos, a jego dźwięk dopływa do naszych uszu, gdy siedzimy na kamiennym stopniu, kołysząc się we wszystkie strony. Jego pieśń nie jest ani hymnem, ani okrzykiem wojennym, tylko rytmiczną, hipnotyczną melorecytacją.

Coś skłania mnie, by spojrzeć w górę, i widzę Ronina, przykucniętego na rogu stoep, jak szczur, który instynktownie wie, że jest szkodnikiem, i przyglądającego się nam ukradkiem. Już wcześniej zauważyłam w nim tę samą upiorną ostrożność, umiejętność pozostawiania bez ruchu i w ciszy. Nie wie, że sam jest obserwowany, i - pewny swojej prywatności - ma przebiegły wyraz twarzy. Potem chyba czuje na sobie mój wzrok, bo obraca się i nasze spojrzenia się spotykają. W pierwszej chwili odruchowo odwraca wzrok z malującym się w oczach poczuciem winy, ale potem z jego szczwanej twarzy wyczytać można tylko lekceważenie. Obserwuję te obrzydliwe, zmieniające się na jego twarzy emocje jakby z oddalenia. Jego postawa, która zawsze balansuje pomiędzy służalczym kuleniem się a dumnym marszem, zdradza teraz butę. Cia i Jobe dostrzegają, że się zbliża, i sztywnieją zdenerwowani. Ronin podchodzi prosto do drzwi od pralni.

- Znowu wykonujesz babską pracę, co, Jobe? - szydzi.

To śmiertelna obraza. Jestem zażenowana i oniemiała, ale Jobe jest starszy i pozostaje niewzruszony, jak przystało na człowieka w jego wieku, i nie zamierza reagować na drobną prowokację. Prycha lekceważąco.

Ronin nie daje się jednak tak łatwo zniechęcić. Wpatruje się w Jobe niewzruszenie. Następnie opiera obcas buta na dole zbiornika i celowo go kopie. Wiekowa maszyna przewraca się z łoskotem na ziemię, wyrzucając z siebie przemoczone brudne ubrania i litry zanieczyszczonej wody.

- Teraz na kolana, gogo - podkreśla to słowo, które oznacza starą kobietę - i sprzątaj ten cholerny bałagan.

Jobe patrzy na niego, patrzy mu prosto w oczy. Woda kaskadami spływa wokół nich i w dół stopni. Maszyna nadal trzęsie się w agonalnych męczarniach. Ronin przestępuje z nogi na nogę prawie z zakłopotaniem. Nikt nic nie mówi. W końcu Jobe potrząsa głową, prawie niezauważalnie, jego oczy gasną i klęka, by ratować pranie.

Ronin triumfuje.

-I następnym razem kiedy zadam ci pytanie - jego głos ocieka pogardą - ty głupi, stary kaffir, odpowiesz „Tak, panie” albo będziemy mieli kolejną małą lekcję pokory.

Pochyla się nad klęczącym Jobe, spluwa na podłogę i odchodzi. Jego ślina tworzy małą kałużę, spienioną, obrzydliwą.

Cia i ja siedzimy przez chwilę przerażone, aż wściekłość Cii przywraca ją do życia. Gdy klęka obok Jobe, próbując niezdarnie zagarnąć pranie z powrotem do pralki, do oczu napływają jej łzy.

- Nie martw się, Jobe. Ja to zrobię. Nie martw się - zajakuje się na tych słowach, spiesząc się, by wszystko naprawić.

- Zostaw to, ingane. Ja sobie ze wszystkim poradzę - Jobe delikatnie odrzuca jej pomoc.

Patrzy na niego z niepokojem, ale poddaje się z obawy, że jeszcze pogorszy sytuację. Klęczy bezradnie obok niego i raczej tylko mu przeszkadza, gdy on stara się przywrócić pralkę do życia.

- Przykro mi, Jobe. Przykro mi z powodu prania - mówię niezręcznie.

80

- Zmusimy go, by powiedział przepraszam! - mówi Cia z pasją. - Prawda, Nyree? Nie wolno mu mówić do Jobe w ten sposób, prawda, Nyree? Nie wolno mu do nikogo tak mówić!

- Nie, nie zmuszaj go - mówi Jobe z namaszczeniem. - Zostaw to. Nic dobrego by z tego nie było.

Widzę, że nie zniechęcił Cii. W jej mniemaniu nic dobrego nie wyniknie także z zostawienia tej sprawy.

- Niektórzy czują nienawiść, bo przede wszystkim nienawidzą żyć we własnej skórze - dodaje. Potem mówi nam, że nie potrzebuje już pomocy i nas odsyła.

Jednak gniew Cii jest niepohamowany, podobnie jak jej determinacja, by zawstydzić Ronina. Kierujemy się prosto do naszej leśnej kryjówki, by planować, jak pomścić krzywdę Jobe. Głęboki cień nieco uspokaja Cię. Wciąż jest zła, ale dzięki swojej niepodważalnej wierze w moją umiejętność wyrównywania rachunków wpatruje się we mnie z zadowoleniem.

Jeżeli to czas nauczył Jobe, że karanie nienawiści zrodzonej z nienawidzenia życia we własnej skórze jest daremne, podobnie jak próby bronienia się z pozycji słabszego, to Cia jeszcze nie przyswoiła sobie tej lekcji. Przemyślałam to jednak i nie mogę znaleźć nic lepszego niż poskarżenie na Ronina. Wiem, że to oznaka tchórzostwa, ale na myśl o tym, by stawić mu czoło, cała drzę - zresztą, po co to robić? Smutna prawda jest taka, że ja i Cia stoimy najniżej w domowej hierarchii - i on to wie. Zatem chociaż skarżenie jest aktem zdrady, uznajemy, że skoro Ronin stał się wrogiem, w tym wypadku to nas nie dotyczy. Kiedy znajdujemy Mamę przy magazynie paszy, Cia już nie może się doczekać, żeby go sypnąć. Staram się powiedzieć Mamie, co się

stało, ale Cia wciąż przerywa, chcąc potwierdzić lub podsumować najokropniejsze fragmenty. Nasza historia wylewa się z nas głosami pomieszanymi jak na wieży Babel.

- Mamo, Ronin kopnął pralkę i ją przewrócił.

- Tak, mamo, kopnął! Specjalnie. I przeżywał Jobe - wtrąca Cia.

-I przeklinał, Mamo.

- Powiedział słowo „kaffir” - syczy Cia i przerywa, by osiągnąć lepszy efekt dramatyczny.

Obie patrzymy na Mamę wyczekująco.

- Co takiego? - tylko tyle udaje jej się powiedzieć. Kiedy kilkakrotnie powtarzamy całą historię, Mama przepytuje nas, czy mówimy prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak nam, Boże, dopomóż, i każe nam odejść mówiąc: - To wystarczy. Idźcie już, obie. To nie ma z wami nic wspólnego i nie chcę słyszeć nic więcej o tej strasznej sprawie.

Ale Cia jest zadowolona. To, co mama klasyfikuje jako „straszne sprawy”, spotyka się z poważnymi konsekwencjami. Sprawiedliwość z pewnością zostanie wymierzona, więc odchodzimy.

Później tego wieczoru, kiedy po spędzeniu kojącego popołudnia na zbieraniu kijanek przy rzece Cia i ja przechadzamy się po ścieżce prowadzącej do domu, znowu spotykamy Ronina. Wątpię, by było to przypadkowe. Jego twarz wykrzywiona jest pogardą. Mama najwyraźniej uczyła go, jakich strasznych spraw nie chce tu widzieć, i wyczuwam, że zapłacimy za tę jego lekcję. Wiedziałam to już, gdy na niego skarżyłyśmy; to była lekkomyślna przyjemność. Teraz skalałyśmy go w oczach tej osoby, której miłości najbardziej pragnie. W skrytości ducha wiem, że częściowo właśnie dlatego to zrobiłam - nie chcę, by Mama go pokochała. Obserwuję, jak na nią patrzy, jak nie odrywa od niej oczu, w których głębi kryje się głód, i wcale mi się to nie podoba. Teraz przypieczętowaliśmy naszą wrogość.

Ronin nie traci czasu.

- Wiecie, co przydarza się małym dziewczynkom, które okłamują swoje mamy? - pyta.

Moje zmysły są wyostrzone jak u zwierzęcia. Czuję niebezpieczeństwo.

- To nie było kłamstwo - odparowuje Cia.

Ronin wykonuje krok w naszym kierunku, podnosi rękę i prawie od niechcienia uderza Cię w tył głowy. Ona przewraca się bez protestu. Słoik z kijankami wysuwa się z jej ręki i roztrzaskuje na kamienistym gruncie. Malutkie kijanki trzepocą się słabo dookoła miejsca, gdzie Cia leży na brzuchu. Upadając, musiała uderzyć o kamień, bo z nosa leci jej krew.

- To właśnie przydarza się małym dziewczynkom, które kłamią - rzuca.

Przepelnia mnie wściekłość i strach. Desperacko rzucam się w jego kierunku, ale on po prostu robi unik, potem chwyta mnie za ramię

i wykręca je za moimi plecami, aż myślę, że zaraz wyskoczy ze stawu.

- A jeszcze gorsze rzeczy przydarzą się małym dziewczynkom, jeśli powiedzą swoim mamom więcej kłamstw.

Po raz ostatni szarpie moje ramię - z bólu gwałtownie łapię powietrze - potem przechodzi nad skuloną ze strachu Cią i znika w zapadającej ciemności.

- Cia? Cia? Jesteś cała?

Cia lka cichutko i pluje krwią na kamienie. Nie mogę oddychać.

Żołądek zaciska mi się, kiedy klęczę przy niej na ziemi, ocierając krew z jej twarzy. Łzy pieką mnie w oczy.

Tego wieczoru, kiedy przychodzimy na obiad, opowiadamy Mamie nieprawdziwą historię o tym, jak Cia odniosła rany. Ronin siedzi przy stole jadalnym i uważnie się nam przygląda.

10

Krew, łzy i strach. Wyżywa się na nas. Czy Oupa to widzi? Mama widzi tylko maskę, przyspawaną do jego twarzy. Właśnie dlatego jest to dla nas takie niepokojące.

Dużo czasu spędzamy teraz, kręcąc się przy khaya. Picanin kucają obok nas na ziemi i szeroko się do nas uśmiechają. Dziewczynka w fioletowej sukience z lamowanym stanikiem, rozdartym szeroko, siedzi obok Cii i głaszcze jej rękę, by zobaczyć, jak jeżą się od tego krótkie złote włoski. Jest nimi zauroczona, bo sama nie ma żadnych. Wszyscy picanin mają tylko po jednym ubraniu. Jeden z naszych przyjaciół chodzi w pozbawionej guzików szkolnej koszuli w kolorze ziemi, drugi - w złachmanionych spodniach z podwiniętymi nogawkami i wywróconymi na lewą stronę kieszeniami, a kolejny - w dziadkowej koszuli zwisającej mu do kolan, bez spodni i z nosem chropowatym od zaschniętych smarków. Młodsze nie mają nic na swojej czarnej skórze.

Jobe też czasem tu jest. Najpierw Cia zachowywała się, jakby to ona zrobiła coś złego - nie mogła spojrzeć mu w oczy. Sądzę, że Jobe zauważył, jak źle się czuła, ponieważ pewnego razu przysiadł obok nas i powiedział nam, że jest starym człowiekiem, który widział wiele rzeczy, i słowa zwykłego umfana go nie ranią. Kiedyś był w więzieniu i uważa, że jeśli ktoś wyszedł na wolność z więzienia białego człowieka, to jego szczęście nie ma końca. Potem, chcąc, by Cia zapomniała o sprawie z pralką, opowiedział nam pewną historię.

To wydarzyło się, kiedy skończył pracować w kopalniach złota.

Skierował się na zachód i zdobył pracę na kolei w małym miasteczku

84

tuż przy Johannesburgu. Na głównej ulicy o nazwie President Kruger muzyka z szaf grających, której ryk dobywał się z kawiarni, mieszała się z brzękaniem dochodzącym z kolejowych hangarów napraw-

czych. Były tam też hotel i bank, towarzystwo budowlane i kino. Biali mieszkali w domkach z czerwonej cegły z krzakami róż w ogrodach i wszystko było ładne i czyste.

Ale to nie tam znajdował się dom Jobe. On mieszkał w Kolonii. Do Kolonii nie prowadziły żadne drogowskazy. Aby ją znaleźć, trzeba było podążać za wózkami ciągniętymi przez osły, za rowerami oraz za kobietami niosącymi tobołki na głowach, trzeba było mijać fabryki, iść wzdłuż płotu terenu kolejowego i przekroczyć linię kolejową. I tam właśnie była - otoczona ogrodzeniem z drutu kolczastego, z bramą umieszczoną od strony najbardziej oddalonej od miasta. Wzdłuż ogrodzenia biegła polna droga, z której widoczne były wszystkie części Kolonii.

Pierwsze, najbliżej linii kolejowej, stały pokryte strzechą chaty z plecionki. Tłoczyły się razem za trzcinowymi płotkami w miejscu, gdzie stare makhulu ucierały w móżdziejach kukurydzą. Były to najstarsze siedziby, zbudowane jeszcze zanim powstało ogrodzenie. Za nimi rozciągała się strefa kwadratowych cementowych domów z dachami z blachy, przyciskanej kamieniami. Dzieci bawiły się ospale przy drzwiach kuchennych, psy spały w cieniu ścian.

I tu kończył się porządek, a reszta była bezładnym skupiskiem spłaszczonych puszek po oleju, zardzewiałej blachy falistej i powiewającej na wietrze tkaniny workowej. Rano dym z nocnych ognisk obejmował to jak koc i nadawał słońcu ziemisty kolor.

Ale nie wszystko było tam smutne i brzydkie. Po wejściu do środka dostrzegało się malowane na żywe kolory ramy okienne, bramy ozdobione kradzionymi treliżami, rabatki kwiatowe, a cały teren rozbrzmiewał odgłosami kłótni i muzyki, pracy krawców i fryzjerów, którzy golili klientów na odwróconych pudłach po świecach, oraz postukujących na wietrze emaliowanych reklam Joko Tea i rowerów Triumph. Można tam było dostrzec kościoły w barakach i kina reklamujące western W samo południe, spotkać kobiety w tanich sukienkach, sprzedawanych na indyjskim targu, z miedzianymi drucikami owiniętymi wokół kostek, z warkoczykami oblepionymi czerwoną gliną, oraz mężczyzn z kocami oplatającymi ich nagie torsy i z malowanymi pudełkami na tabakę, zwisającymi z przekłutych płatków uszu. Jobe mieszkał z przyjacielem Nzimande, ale i tak musiał płacić czynsz, bo gospodyni nie podobał się jego wygląd.

Kolonią kierował Zarządca Kolonii. Nazywał się de la Rey. Jobe musiał dać mu do podpieczętowania swoje żółte zaświadczenie o zatrudnieniu. Poszedł do właściwego budynku i stanął w długiej kolejce, która ciągnęła się od biurka de la Reya, poprzez drzwi pokoju, gdzie siedział, i aż do końca stoep. Każdy człowiek w kolejce trzymał w ręce jakieś dokumenty. W tym miejscu istniały dokumenty na wszystko. Różowe dokumenty i żółte dokumenty, dokumenty pozwalające przebywać w Kolonii, pozwalające wyjechać albo podjąć pracę, a pie-

czątką de la Reya na twoich dokumentach była wszystkim. Policjanci przemierzali ulice jak hycle i jeśli na twoich dokumentach brakowało odpowiedniej pieczętki, to zanim zdążyłeś pomyśleć o ucieczce, pakowano cię na tył furgonetki.

Brak przepustki nie był jednak jedynym powodem aresztowania. Można było trafić do aresztu nieomal za wszystko - za posiadanie naostrzonego kija, za siedzenie na nieodpowiedniej ławce przy Court of Native Affairs, za nieposłuszeństwo, naruszenie własności, zakłócenie porządku, zuchwałość. Jeżeli w mieście panował za duży spokój, organizowany był nalot na Kolonię i mogłeś zostać aresztowany za posiadanie kradzionych rzeczy.

Ludzie podchodzili do de la Reya jeden za drugim. On prawie nigdy nie spoglądał w górę. Następny. Pytanie. Odpowiedź. Bum. Szuranie. Ale kolejka nigdy się nie skracala. Śmierdziało tam potem i środkami owadobójczymi, atramentem i kurzem z podłogi.

Ludzie obmyślali, jak uczcić jego przyszłe odejście. Nikt nie wiedział, kiedy ono nastąpi, ale lubili to sobie wyobrażać i planować święto. Pewien człowiek obiecał zabić cztery woły i wydać przyjęcie dla całej Kolonii. Król jednego z shebeen powiedział, że przez cały tydzień będzie wydawać darmowe piwo. Pomysłów było bardzo wiele.

Pojawiały się też plany, by przyspieszyć jego odejście. Zastanawiano się, jak doprowadzić do jego wypadku samochodowego albo do ukąszenia go przez węża. Opracowywano te strategie do 86

późna w nocy. Sangoma zamierzali wywołać u niego jakąś chorobę. Rzucali kości i przeklinali go, ale tokoloshe bały się go tak samo, jak wszyscy inni.

Były też koncepcje pogrzebu. Kto zorganizuje procesję, kto będzie niósł trumnę, co zaśpiewa chór i tak dalej. Jeżeli kiedykolwiek założyliby fundusz na trumnę dla de la Reya, zebraliby tyle, że mogliby kupić taką z litego złota.

Jobe ze smutkiem potrząsnął głową i mlasnął.

- Nie sądzę, by on kiedykolwiek miał stamtąd odejść.

Potem przeszedł do omawiania planów na pozbycie się de la Reya.

- Ludzie mieli tam dziwne sny. Szli do sangoma i mówili: „Tej nocy widziałem zarządcę w roju pszczół. Co to oznacza?”

Dzień, w którym Jobe poszedł do więzienia, był dniem buntu.

- Wiadomo było, że wywołają jakieś kłopoty. Nie wiedziałem jakie, ale nocami słyszałem ich w shebeen, jak gadali bez końca. Nzimande mówił: „Możemy liczyć na przynajmniej osiemdziesięciu sześciu z chat”. Wiem, że Nzimande liczył ich każdego dnia. Ale myślę, że nie chcieli spowodować takich problemów, jakie nastąpiły.

Kłopoty zaczęły się na publicznym zebraniu, które odbywało

się na placu przed budynkiem Zarządcy Kolonii. Wszyscy musieli przyjść. Najpierw główny urzędnik i tłumacz powiedział im, że całe to przechodzenie przez płot przy torach musi natychmiast się skończyć. Potem wstał de la Rey i poinformował ich o nowym prawie. Stanowiło ono, że Kolonię musi dzielić od miasta, któremu służyła, pas ziemi szeroki na przynajmniej pół kilometra. Aby podporządkować się nowemu prawu, stare zabudowania zostaną zrównane z ziemią, a nowe ogrodzenie powstanie w odpowiedniej odległości od miasta. To przykre, ale konieczne, aby zapobiec zgubnym skutkom szerzącego się wszędzie blood-vermenging.

I to właśnie była iskra zapalna. A zamieszanie wszczęły kobiety. Po tym, jak de la Rey poinformował o nowym prawie, ludzie wpadli w złość. Nie poszli do domów, jak kazali im posterunkowi. Kręcili się na placu i nagle jedna z kobiet plunęła na de la Reya.

De la Rey stał tam na stoep rządowego budynku. Nie wiedział, co robić. Nic podobnego się dotąd w Kolonii nie zdarzyło.

Ludzie tupali nogami, bijąc nimi mocno o ziemię w narastającym rytmie tańca. Wtedy właśnie de la Rey zorientował się, że trzeba się bać. Odwrócił się i uciekł do budynku.

Jobe zachichotał.

- O rany, wciąż widzę tego starego legotlo, jak pędzi z powrotem do swojego biura, cuchnącego potem i atramentem z gumowej pieczątki.

Potem buntownicy biegli ulicami, demolowali i palili co się tylko dało. Mały, gruby właściciel spaza shop, który był bardzo bogaty i jeździł morrisem oxfordem, został dźgnięty w brzuch szklaną butelką. Zmarł na ulicy w kałuży ciemnej, skrzepniętej krwi.

Po dłuższym czasie ludzie przestali być buntownikami i wrócili do swoich ruder, by siedzieć w nich i czekać na nalot. Wszyscy wiedzieli, że nastąpi. Wraz z zapadnięciem nocy cała Kolonia ucichła i czekała. Jobe był w swoim pokoju u Mamy Mabaso, gdy usłyszał pierwsze syreny.

W końcu do niego przyszli. Wyciągnęli go na ulicę i kopali w krocze, a reszta przetrząsała jego pokój. Znaleźli dokumenty i sprawdzili jego nazwisko na Listach. Znaleźli je na liście Rzucających Kamieniami i liście Podpalaczy Klinik, ale nie na liście Wymachujących Bronią. Wrzucili go na tył furgonetki policyjnej.

Na więziennym dziedzińcu Jobe przykucnął przy ścianie.

- Śpiewaliśmy Vukani, Mzontsundu - „Obudźcie się, czarne serca”.

Potem recytowaliśmy Africa, Mayibuye - „Niech nadejdzie”.

Wiele tygodni później, gdy już było po wszystkim, Jobe musiał stawić się przed Zarządcą Kolonii. Jego baas na kolei wylali go, ponieważ był rozrabiaką, i musiał zdobyć pozwolenie na dwutygodniowy okres poszukiwania pracy. Stał w długiej kolejce przed biurem, powoli szurając nogami do przodu, aż wreszcie nadeszła jego kolej, by stanąć przed de la Reyem. Jednak zamiast pozwolenia de la Rey podstem-

plował nakaz eksmisji. Nawet nie spojrzął w górę. I dlatego właśnie Jobe wrócił do Rodezji.

Jobe powiedział Cii, że po tym, jak człowiek wyjdzie wolno z więzienia białych, wie, że otrzymał Boskie Błogosławieństwo, i słowa małego chłopca go nie dotkną.

Po chwili picanin wracają do gry w piłkę nożną, w której funkcję piłki pełni butelka po coca-coli, i pozwalają mi i Cii przyłączyć się,
88

więc kopujemy butelkę po zakurzonym placu. Nie możemy jednak tak kopać bez końca. Kiedy robi się ciemno, musimy iść do domu, a wtedy on zawsze tam jest, jak pajak - czeka. Jedyna rzecz, która przynosi nam choć trochę ponurej satysfakcji, to narastająca wrogość pomiędzy nim a Oupa.

- Interesująca lektura, nie sądzisz, Amy?

- Patricku, to chyba nie jest odpowiednia chwila.

Mama ostrzega Oupa. Ale to go nie powstrzymuje. Wyciąga list i zaczyna go czytać przy stole jadalnym, choć wie, że zgodnie z zasadami nie wolno tutaj robić nic innego, jak jeść, nie wolno też trzymać łokci na stole ani zagarniać groszku widelcem obróconym do góry jak łyżką, a jeżeli rozmawia się z pełną buzią, trzeba wyjść z jadalni i jeść jak okropna mała świnka gdzie indziej. Przestaję gryźć kotlet i wy czekuję, co robi Mama. Ronin nie wie, jakie to straszne wykroczenie czytać przy stole listy czy gazety, czy cokolwiek innego, i zachowuje się, jakby nie działo się nic złego.

- Ciociu Amy, jeżeli potrzebujesz kogoś, kto pojechałby z tobą jutro sprawdzić ogrodzenie, mogę to zrobić. Potrzebujesz kogoś?

- Dziękuję ci, Ronin.

- To musi być jakiś raport ze szkoły. Same D - mówi Oupa, nawet nie spoglądając w górę.

Ronin upuszcza widelec, który z głośnym brzękiem uderza o podłogę. On jednak nie schyla się, by go podnieść. Obserwuje Oupa.

- Patricku. Już o tym rozmawialiśmy. To jego pierwszy semestr w nowej szkole, a on wiele przeszedł. Jego matka... Nie dyskutujmy o tym teraz. - Nieco podnosi głos. - Proszę, daj temu spokój, Patricku. Przepraszam, Ronin. To twoje wyniki semestralne z Peterhouse, ale porozmawiamy o nich później. Nie martw się - dodaje.

- Udało mu się zdobyć D nawet z religii i WF-u, na miłość Boską! Najbardziej intryguje mnie to, co jego wychowawca pisze w uwagach: „Ronin jeszcze się dobrze nie zaaklimatyzował. Miejmy nadzieję, że w nowym semestrze jego oceny się poprawią, a on znajdzie jakichś przyjaciół”. Pewnie inni chłopcy przez cały dzień wpychają ci głowę do toalety.

Oupa rechocze. Ronin wygląda, jakby był chory. Jego twarz wciąż przypomina maskę, ale przez chwilę prawie coś zdradzała.

Potem Oupa przytomnieje.

- Nie płacimy tego cholernego chesnego po to, abyś ledwie sobie radził, chłopcze!

- Patricku! Dostyc tego! - mówi Mama ostro.

Po kolacji Ronin zamyka się w swoim pokoju na klucz. Cia i ja słyszymy, jak w jadalni Mama prowadzi z Oupa poważną rozmowę. Zamknęła drzwi, ale przewieszamy się przez balustradę podestu, więc ich słyszymy.

- Patricku, nie możesz karać dziecka za to, co Seamus i... - zawieszają głos.

- Mylisz się, Amy. W żyłach tego chłopca płynie krew zdrajcy.

- Na Miłość Boską, Patricku.

I na tym się nie kończy. Oupa zwerbował całą siatkę domowych szpiegów w wojnie przeciwko Roninowi. Jest Jobe, jego żona, Blessing, i jego pomocnicy: Philemon, który prasuje, oraz Washington, pracujący w ogrodzie. I chociaż Ronin bardzo się pilnuje, by przy Oupa wyglądać cnotliwie, to za jego plecami szpiedzy o długich językach szepczą Oupa do ucha różne rzeczy. Kiedy litania drobnych wykroczeń - kłamstw, podkradania i podobnych czynów - dostaje się do jego wiadomości, Oupa, który jest człowiekiem niezwykle uczciwym, nigdy nie kłamał ani nie oszukiwał, gromadzi arsenał do uzasadnionych prześladowań. Karze Ronina bezlitośnie. Cia i ja jesteśmy świadkami tych kar, mających miejsce u stóp Oupa na stoep - ławie sędziowskiej.

- Co chciałeś znaleźć?

To dodatkowe słowa, które miały przyprzeć szczura do muru.

- Nic - powiedziane instynktownie, po czym pospiesznie dodane:

- Co pan ma na myśli, sir?

- Po prostu się zastanawiałem, to wszystko - Oupa duma, a my czekamy, aż uderzy. Ronin, któremu słońce świeci prosto w twarz, podnosi zmrużone oczy na Oupa, siedzącego na stoep w aureoli światła. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

- To na nic, chłopcze. Blessing znalazła to w twoim pokoju - Oupa triumfuje teraz brzydko, rozkoszując się chwilą.

90

Ronin wyczuwa, że wpadł, i kręci się nerwowo.

- Tak, znalazła twój mały skarbczyk, upchnięty starannie pod szafą. Jak to się stało, że listy przeznaczone dla czyichś oczu - nie twoich, zauważ, ale innych - zostały tam ukryte?

Skrywane przez Ronina sekrety szybko zamieniają się w kłamstwa.

- Nie wiem. To znaczy, jakie... jakie listy? - Ronin przetyka ślinę.

Oupa go ignoruje.

- Powiem ci, co myślę. Ukradłeś je i to właśnie tak tutaj dotarły - bo jesteś podstępna małą gnidą. Widziałem, jak skradasz się dookoła - przechodziły mi wtedy po plecach ciarki. Czy i was przechodzą ciarki, dziewczynki? Jednak pytanie brzmi: „Dlaczego?”

Oupa zatrzymuje się na słowie „dlaczego”. Ronin wierci się nie-

spokojnie.

- Może zakochałeś się we właścicielce tych listów, prywatnych listów, co? Dlaczego chcesz wiedzieć, co mężczyzna ma do powiedzenia swojej żonie? Dlaczego ich szpiegujesz?

Ronin nie mówi ani słowa. Chociaż my nie mamy pojęcia, co sugeruje Oupa, on dobrze to wie i nie ma śmiałości nic powiedzieć.

- Mój brat umarłby ze wstydu, wiesz. - Potem obraca sztylet, który przystawił między ściśnięte łopatki Ronina. - Oczywiście muszę powiedzieć Amy. Pewnie zauważyła brak swojej własności.

Ronin wyraźnie cierpi.

- Proszę, sir. - Widzę, że takie błaganie wiele go kosztuje - Proszę, sir, niech pan jej nie mówi. Proszę.

Czuję na swojej twarzy jego spojrzenie zaszczutego zwierzęcia.

Jednak nadal nie znajduję w moim sercu współczucia dla niego.

A w tle stale słychać nosowe chrypienie Oupa, świadczące o jego dezaprobachie.

Wydaje się, że w swoich często niczym niesprowokowanych atakach na Ronina Oupa czerpie z jakiejś bezdennej kadzi goryczy. Coś głęboko w jego wnętrzu uległo spustoszeniu, przesączającemu się teraz wszędzie i zatruwającemu powietrze wokół nas. Oupa czyni nas współwinnymi jego złośliwości - chce, byśmy śledziły sytuację, były po jego stronie. To sprawia, że czuję się wykorzystywana. Gorycz pochodzi z przeszłości Oupa, może z ukradzionej wolności jego brata - i jest lekarstwem na wściekłość.

W końcu jego prześladowanie Ronina wywołuje u mnie niepokój.

Siedzę i pod skruchą Ronina widzę to, czego nie może lub nie chce dostrzec Oupa. Z każdą rozprawą spuszczone oczy Ronina coraz bardziej rozżarzają się gniewem. Wiem, że nie wróży to nic dobrego mnie i Cii i że musimy milczeć.

11

- Einal

Cia wykręciła kostkę, potykając się o suchą gałąź wystającą z mierzwy.

- Cii! Obudzisz go - syczę. Jesteśmy blisko jej drzewa.

- Przepraszam, Nyree.

Ledwie widzę ją w mroku, jak kuśtyka o krok za mną. Jest późno w nocy i tutaj na poszyciu panuje większa ciemność niż gdzie indziej, bo nie dociera tu światło gwiazd. Z przerażenia czuję mrowienie w opuszkach palców, ale nadal brnę do przodu, potykając się w labiryncie korzeni. Nie mamy wyboru, musimy złożyć ofiarę.

Przy każdym kroku czuję na sobie oczy wrózek, a powietrze naderżone jest magią. Jestem teraz wdzięczna, że udało nam się wymknąć z domu - ta noc wiele obiecuje. I znowu prawie zostałyśmy przyłapane, tym razem przez Ronina. Uchyliłyśmy drzwi naszego pokoju i sprawdzałyśmy, czy nigdzie nie palą się światła. Nie za-

uważywszy żadnego, zaczęłyśmy skradać się w kierunku podestu. Jednak gdy byłyśmy już w połowie drogi, drzwi do pokoju Ronina otworzyły się za nami ze skrzypnięciem. Zamarłyśmy bez ruchu, obie zbyt ogłupione strachem, by się ukryć. Perspektywa, że Ronin schwyta nas w ciemnościach, wydawała się przerażająca. Wszystko pozostało ciemne, nie zapalił światła, ale wyczuwałam jego obecność w drzwiach, kiedy próbował przeniknąć ciemność wzrokiem. Nie mógł jednak tego zrobić - było bardzo późno, a czerń panująca na długich, pozbawionych okien korytarzach Modjadji stała się całkowita. Minął cały wiek, zanim usłyszałyśmy skrzypnięcie zamykanych

93

powoli drzwi i trzeszczenie łóżka za nimi. Natychmiast pobiegłyśmy na dół, potem wyskoczyłyśmy przez okno na zewnątrz i ruszyłyśmy do lasu wznoszącego się za Modjadji.

Nasza euforia minęła, kiedy weszłyśmy między drzewa. Magia to niebezpieczna rzecz i otrzeźwia cię jak policzek.

Obmacuję palcami sękaty pień i zastanawiam się, czy zobaczymy tej nocy jakieś wróżki. W połowie mam nadzieję, że tak się stanie, ale w połowie - że nie. Wróżki to dziwne stworzenia. Żywią się zapachem kwiatów. Tam, gdzie stawiały stopy, wyrastają muchomory i rzucają białe cienie. Są wróżki ziemskie i wróżki powietrzne, a także wodne, mieszkające w jeziorach, rzekach, stawach, źródłach, studniach, fontannach, a nawet kroplach deszczu i łzach. Są skrzaty i chochliki oraz mały goblin, zwany Boon, który strzeże dzieci przed złymi snami, a za każdym razem, gdy ktoś mówi, że nie wierzy we wróżki, jedna z nich umiera.

Ale nie wszystkie wróżki są dobre. Są też złe wróżki. Czerpią siłę z ciemnej strony księżyca. Jak Water Fay. Mieszka ona na zarośniętych trzciną brzegach samotnych stawów. Wabi cię swoimi pieśniami i oczyma, które są jak fragmenty duszy ziemi. Pieści cię i pociąga w dół, w swoje wodne objęcia. I tam spoczniesz na zawsze, twe oczy nie będą widziały chwastów zapychających ci usta.

Przyszłyśmy złożyć hołd jednej z wróżek ciemności. Dostrzegam tuż przed sobą jej drzewo i coś ściska mi wnętrzności.

- Cia. Tutaj jest. - Wskazuję na drzewo, które nawet w mroku kontrastuje z otoczeniem.

Cia wyraźnie się boi i jej strach może nas zdradzić.

- Idź - szepcze.

Nazywa się Darkling. Umościła się gdzieś w szarych korzeniach drzewa, ale w tym nasyconym lękiem powietrzu swędzi ją nos. Mruga powiekami. Słysząc burczenie w jej pustym brzuchu. Liże ciemność i na języku czuje lęk. Ja także się boję. Cia i ja bardzo dobrze wiemy, że niemądrze iść ścieżką do miejsca, gdzie śpi wróżka, że tylko dziurawiec i bicie kościelnych dzwonów mogą przed nią chronić. Ale dziś w nocy, właśnie dziś, jej szukamy. Jesteśmy pierwsze od dawna.

Darkling została zapomniana. Nikt nie pamięta tej złodziejki dusz, nikt już jej nie karmi, by siebie chronić. Stare dusze w jej wnętrznościach skwaśniały i wyją z głodu. Och, jakże chciałyby dotknąć ustami innych ust i wyssać umoya, lepka od jęków. Wynurza się z martwego drzewa, do którego już nigdy nie przyjdzie wiosna, i rzuca się z pazurami na wyrosły na nim pień.

Nie widzę jej, ale wiem, że przykucnęła w korzeniach i czeka.

- Dobrze, Nyree, daj jej to - szepcze Cia ponagłajaco.

Klękam i kładę pod drzewem naszą ofiarę. Cia klęka obok mnie. Na posłaniu z gnijących liści leży nasz skarabeusz. Tak naprawdę jest to tylko znaleziony przez nas pancerz martwego rohatyńca, ale wygląda tak jak ten, który ma Cia, i mam nadzieję, że Darkling nie zauważy. Potem wciskam świeczkę w mały kopczyk ziemi przed nim i próbuję zapalić zapalkę firmy Lion, ale cała się trzęsę i z każdą chwilą stos drzazg wyrasta pod moimi rękami. W końcu zapalam jedną zapalkę i przystawiam ogień do knota świeczki. Migocze upiornie.

- O, Darkling, proszę, przyjmij tę ofiarę i nie pozwól, by on ukradł nam mamę. Dziękuję.

- Ach men - mówi Cia.

Powiedziałam, co miałyśmy do powiedzenia. Nie mam już dla niej żadnych słów.

- Dobrze, chodźmy.

- Myślisz, że to zadziała? - szepcze Cia z niepokojem, wstając z kolan.

Nie odpowiadam.

- Chodź. Pospiesz się. Uciekajmy stąd.

Za mną Darkling mruga powoli.

12

Nadchodzi późne lato i nasz obserwator musi wrócić do szkoły.

Wygląda na przestraszonego, ale nie czuję dla niego współczucia, wcale nie, i gdy w ponurej aurze wywożą go przez bramę, znacznie poprawia mi się humor.

- Mam nadzieję, że przykują go łańcuchami w piwnicy na cały semestr - mówi z uczuciem Cia, która stoi obok mnie na stoep.

- Tak, ja też - w egipskich ciemnościach bez jedzenia i wody, aż zagłodzi się na śmierć. (

- Ja\ I żeby go gryzły szczury roznoszące dzumę.

- A on będzie błagał, by go wypuścili.

- Mam nadzieję - mam nadzieję, że złapie dzumę i cały będzie pokryty czyrakami! - wtrąca Cia, z trudem łapiąc oddech w obliczu naszego sadyzmu.

Dwiema rękami ściska moją dłoń i stoimy tak jeszcze długo po ucichnięciu silnika, Cia wykręca skórę na moich przegubach i wygląda na zadowoloną. Ściągną domu rozluźniają się prawie namacalnie, tak jak byśmy wcześniej byli skazańcami w celi śmierci, którzy teraz

otrzymali ułaskawienie. Cia i ja nie musimy wracać do szkoły jeszcze przez następne dwa tygodnie i w pełni cieszymy się wolnością.

Ogarnia nas rozleniwienie dojrzałego lata. Spędzamy dni, pływając się jak krokodyle w stawie, który Tata zbudował dla nas na jednym z niższych tarasów ponad domem, trwonimy czas na wpół zanurzone w wodzie nieopodal włochatych drzew mango i wygrzewamy się jak wzdęte hipopotamy na skałach, a potem, kiedy leżąc na słońcu, zaczynamy gotować się od środka, zdieramy z siebie skórę, która schodzi

96

z satysfakcjonującym szelestem, i zagłębiając się ponownie w letnią wodę. Kiedy już przywraca nam ona energię, nurkujemy i płynie jak torpedy poprzez wodny lazur, promienie słoneczne łamią się na pierzastych liściach wodorostów.

Nasze przesiąknięte słońcem odurzenie zostaje jednak czasem zakłócone. Kiedy Cia przykładła usta do rurki wystającej z wody na brzegu stawu, żądli ją osa, a mnie załęga się na plecach larwa muchy putsi i trzeba to miejsce smarować wazeliną, by ją zadusić. Przez wiele dni nie wolno mi wchodzić do wody, a Oupa czeka, aż larwa wyjdzie bardziej na wierzch i będzie mógł ją wtedy wycisnąć. Pewnego popołudnia, gdy obie kłęczymy przy małej toaletce naszej Mamy, grzebiemy w jej szufladach, wpinamy we włosy szylkretowe grzebienie i okręcamy wokół szyi sznurki koralików z polerowanego tygrysięgo oka i z różanego kwarcu, znajdujemy list do niej napisany przez Ronina. W nagłówku czytamy „Droga Amy”, nie ma tam wzmianki o nikim innym. Ronin pisze, że czuje się dobrze, ale ma nadzieję, że ona do niego napisze, i dodaje, że często o niej myśli. Cia rwie list na strzępy. Martwię się, że Mama zauważy jego brak, ale już nic nie możemy zrobić. Poza tym czas płynie delikatnym nurtem, dopóki nie zaczyna kłębić się wokół nas i wirować oczekiwanie na kolejną podróż samochodem.

W dzień tej podróży zostajemy wraz z Oupa zapakowane na tył starego peugeota kombi, z pyszniącym się na desce rozdzielczej pomarańczowym futrem. Mama i Tata, który wrócił do domu z akcji, siedzą z przodu i ruszamy na miejsce spotkania konwoju. To jest oczywiście najwspanialszy sposób podróżowania przez kraj - jak na paradzie wojskowej, ze strzelbą wystawioną kontrolnie przez okno od strony kierowcy. Na miejscu spotkania dołączamy do zbieraniny samochodów, na których zderzakach widnieją nalepki: „Nie przejeżdżaj przez Rodezję o suchym pysku”, „Rodezja jest super” i „Schronisko dla dzikich zwierząt w Chipingali”, do setek ludzi, psów, strzelb, do kakofonii hałasów i wielu owsię, wędrujących wzdłuż długiego sznura samochodów i sprzedających tacki koeksusters, wyrabianych przez afrykańskie kobiety.

Opierając się o siebie ramionami, Cia i ja stoimy na poboczu drogi pod drzewem akacji, osłaniającej nas przed lepkiem gorącym, sok ścieka

z naszych koeksusters, a my wpatrujemy się w uzbrojonych przewoźników. Jest ich trzech - jeden ma jechać z przodu, drugi w środku, a trzeci, który osłania tyły konwoju, uważa, że Rodezja jest super i nie przejedzie przez nią o suchym pysku. Mają na sobie ubrania w maskujących kolorach, by pasować do żołnierzy wyglądających z górnych luków wielkich obrotowych wieżyczek strzelniczych. Dell sądzi, że takie coś rozbiłoby Terra w proch w jednej sekundzie. Potem wydaje z siebie głośnie: „Tru-tu-tu” i szarpiąc się spazmatycznie, z szerokim zamachem opróżnia magazynek podniesionej wyimaginowanej strzelby i rozbija w proch Terra w jednej sekundzie. Cia wznosi oczu ku niebu. Teraz miggie kłębią się wokół jej twarzy całą chmurą, a ona prycha i pluje, by je rozpędzić. Strumyczki syropu spływają po mojej brodzie.

Smakołyki nie kończą się jednak na koeksusters. Choć wcześniej zjadłyśmy już cały padkos z lodówki turystycznej, to jednak teraz, przyklejone do siedzenia z tyłu samochodu, możemy złapać butelki waniliowej wody sodowej, jeść lody na patyku i czekoladki Fredo Frogs przy każdym wysadzonym jakarandami i drzewami ognistymi miasteczku od Gatoomy poprzez Que Que, aż do Gwelo, gdzie czuję mdłości i Cia czuje mdłości tak straszne, że chce jej się krzyżeć, a nasze oczy wyglądają jak skrzące się cukrowe kulki. Rozpoczynamy gorączkową walkę na klapsy za przekraczanie niewidzialnej linii na siedzeniu pomiędzy nami, ale jeżeli nie przerwiemy jej w tej chwili, to Mama wyrzuci nas obie i odjedzie, a my będziemy musiały radzić sobie w dziczy. Oupa uważa, że to wątpliwe, byśmy przeżyły tam choćby jedną noc, takie tępe głupki jak my. Od przydrożnych picanin kupujemy dla każdej z nas czerwono-czarny naszyjnik z modligroszka, wychylamy się przez okno i śpiewamy: „Ta ziemia jest twoją ziemią, ta ziemia jest moją ziemią”.

- „Jeżeli powiedzą ci, że powinienes ją opuścić, nie wierz w to, to nieprawda” - fałszuje Cia, ale w miarę jak przesuwają się obok nas niekończąca się leśna sawanna, wiatr porywa jej głos donikąd.

Tę noc spędzamy niedaleko Que Que, w motelu składającym się z okrągłych, krytych strzechą chat w kolorze khaki, z wnętrzami zdobionymi kwiecistymi zasłonami i narzutami na łóżka. Taplamy się w głębokiej emaliowanej wannie i zamawiamy z karty jajka w majonezie oraz sałatkę z owoców puszkowych w syropie.

Kiedy docieramy do miejsca przeznaczenia, hotelu Victoria Falls, który wygląda na opuszczony ze swoją podziurawioną kulami fasadą, Cia i ja nie możemy wyjść z podziwu, gdyż za nią kryje się luksusowe wnętrze z aksamitnymi zasłonami. Hotel położony jest w wiszących ogrodach Babilonu, które przechodzą w las tropikalny okalający wodospady, gdzie smugi mgły wiją się nad trawnikami. Herbata podawana jest na werandzie przez kelnerów w wykrochmalonych lnianych

uniformach. Na każdym stole pojawiają się ułożone w stożek tace z kanapkami na dole, babeczkami nieco wyżej i malutkimi lukrowanymi kwadratowymi ciasteczkami na najmniejszej tacy na samej górze. Mama mówi, że to relikwiny minionej epoki. Kiedy wdrapujemy się jak pantery po balustradach wspaniałych szerokich schodów, wdycham woń zatechłych duchów przeszłości, które spływają z okapów jak kurz. Spod stołów Pokoju Livingstone'a, wypełnionego podstarzałym płótnem, srebrami i kryształami, docierają do mnie echa balów wydawanych przed wielu laty.

- Słyszysz je, Cia?

-Cii!

-Co?

- Nie chcę, żeby nas usłyszały.

Jesteśmy tu, bo Tata wystąpi w telewizji. Wstąpił do Rhodesian Action Party, bo ta partia wie, że Smith zamierza nas sprzedać. To tylko kwestia czasu. Rhodesian Action Party musi ostrzec ludzi. Oupa twierdzi, że już jest za późno i każdy sakramencki dupek potrafi to dostrzec. I chyba jesteśmy nie tylko ślepi, ale i głusi, jeżeli nie słyszymy powracających motywów piekielnych tańców zwycięstwa, dochodzących z wiosek dzikusów - on nie wstydzi się przyznać, że leży tutaj, naciągając kołdrę na głowę, słuchając dudnienia bębnow i tupania bosych stóp w kurzu - i gwarantuje, że piekielne dzikusy w tej właśnie chwili ostrzą swoje fanga, by upuścić trochę krwi murungu. Ma zszarpane nerwy i z tego powodu musi dostać dodatkową porcję ginu z tonikiem.

Jednak, mówi Oupa, to dobrze, że nasz ojciec wreszcie walczy za Rodezję, skoro nasi przodkowie przelewali krew przy jej narodzinach. Oupa zawsze rozwodzi się nad tym, jak nasze drzewo genealogiczne sięga czasów powstawania Rodezji. To matka naszej babki, opowiada,

99
musiała walczyć z żądnymi krwi dzikusami, by zdobyć Rodezję dla królowej. Na imię miała Erin i Oupa oczekuje, że ja i Cia okażemy się jej godne. Erin i jej rodzina byli osadnikami przybyłymi jako pionierzy, by stworzyć Rodezję. Osiedlali się w niej z powodzeniem, ale potem wybuchła wojna.

W tamtym czasie ludzie z Mashonalandu walczyli ramię w ramię ze swoimi starymi wrogami, plemieniem Matabele. Działo się tak dzięki marzeniu wielkiego i potężnego n'anga, Ambuyi Nehandy. Przy blasku ogniska Jobe opowiadał nam o słowach tej, której duch pochodzi z początków czasu:

- Wsłuchujcie się w głosy zmarłych. W nocy rozprzestrzeniajcie się po kraju jak ciemność i walczcie, dopóki obcy nie odejdą. Jest to jedyny czas i musimy walczyć.

- Kim byli obcy, Jobe, kim byli?

- To wy, mała, to wy, abelungu. Ludzie pragnęli wolności w swoim

kraju, gdzie się urodzili i gdzie żyli ich przodkowie.

- Och. - Cisza. - Ale my nie odejdziemy, Jobe, prawda, Nyree? - powiedziała Cia śmiało i potem, jakby po namyśle - Czy możemy tu mieszkać, Jobe?

Jobe uważa, że wielu A/s już sprzecza się o to, kto przejmie ziemię, kiedy biali odejdą albo będą martwi, i rzuca klątwy na podstępnych sąsiadów, próbujących przejąć ich kawałek ziemi. Zapytałam:

- Dlaczego wszyscy biali będą martwi? - a Jobe odparł, że nie wie.

Oupa mówi, że Erin i jej rodzina byli zdani na własne siły na swojej dalekiej farmie z hordami morderczych dzikusów pomiędzy nimi a obozem w Bulawayo, a Cia i ja mogłybyśmy każdej nocy padać na kolana i dziękować Bogu, że przetrwali oni wycieńczającą ucieczkę do bezpiecznego obozu, w przeciwnym razie nie byłoby go teraz tutaj i nie opowiadałby nam tej historii. Cia i ja możemy też każdej nocy padać na kolana i dziękować Bogu, że nie urodziłyśmy się jako munts albo Anglosaski.

Przy schodach na werandę, pod rozłożystymi drzewami mango, z ich ciężkimi spódniczkami trzepoczącymi delikatnie na wietrze, stoją przykryte drapowanym lnem stoły, a wokół nich mnóstwo kamer umieszczonych na trójnogach i skierowanych na stoły. Możemy dziś do późna nie kłaść się spać, by oglądać w telewizji Wiadomości o ósmej.

W oczekiwaniu na program biegamy jak chochliki wśród mgieł lasów deszczowych przy wodospadach, pływamy w rzymskim basenie, dajemy ujście naszym eterycznym Ja, tańcząc dziko, miotając się i kopiąc w rytm prymitywnych uderzeń afrykańskich bębnow, pulsujących w nocnych ciemnościach ku uciesze kilkorga zafascynowanych obcokrajowców, którzy ośmielili się wkroczyć na tę cudowną, opuszczoną ziemię. Tej nocy Cia zasypia przed Wiadomościami o ósmej, zwinięta na twardym fotelu ze skórzanym oparciem w hotelowym holu, i nie ogląda na czarno-białym ekranie Taty, który siedzi na skraju ozdobionego płótnem stołu i ostrzega wszystkich, zanim będzie za późno.

Potem odwiedzamy dziwny księżycowy krajobraz Matopos, tworzony przez ogromne granitowe kopuły, zdobione osobliwymi formacjami skał, które stanowią dla nich przeciwwagę, i zasypane kulami giganta tam, gdzie przewróciła się iglica skalna.

Na szczycie Malindidzimu, gdzie rozpościera się pod nami sawanna, pozujemy nieśmiało do fotografii przy grobie Rhodesa, Cia stara się pięknie uśmiechać do obiektywu, ale bezwiednie przyjmuje niezapomniany wyraz szelmowskiej, zadufanej w sobie chińskiej małpki.

W drodze do domu Cia i ja prowadzimy cichą zaciętą walkę na naszej stronie tylnego siedzenia. Celowo wysuwam rękę za linię, z palcem wskazującym wystającym z mojej zwiniętej dłoni. Przekraczam

granicę. Cia spokojnie obserwuje moje poczynania. Potem wciskam palec w jej udo, koniuszek palca zagłębia się w jej miękkie ciało.

- Mamo, ona mnie dotknęła! - Cia woła z wycięsko.

W tym momencie coś strzela w silniku peugeota. Słyszymy złowróżbną stłumioną eksplozję, a po chwili spod maski wydobywa się dym. Samochód szarpie i zjeżdża na skraj drogi, gdzie umiera, próbując złapać powietrze.

Kucamy nieruchomo na poboczu wśród wystających korzeni starego baobabu, wsłuchując się w ciszę, rozdieraną przenikliwym zawodzeniem cykad, i czekamy na powrót Taty. Pobiegł do najbliższej wioski po pomoc, ale ponieważ znajduje się ona w odległości kilku kilometrów, nie wróci przed zapadnięciem nocy. Kiedy cienie wydłużają

101
się, Mama każe nam wsiąść z powrotem do samochodu i nie pozwala nam wychodzić nawet wtedy, gdy Cia chce siusiu - musi wówczas otworzyć okno, wystawić przez nie tyłek i sikać tak, zawieszona w powietrzu, jej siuski spływają po bocznych drzwiach martwego peugeota. Chichoczę nietaktownie.

Potem atmosfera ulega zmianie. Powolny, zabarwiony odgłosami cykad letarg dnia staje się napięty. Mama jest zdenerwowana, pełna niepokoju. Na podłodze pomiędzy nami rozprzestrzenił się lęk, jak wilgotny, usmarkany kawałek papieru toaletowego, niezauważony przez nikogo. Nikt nie chce powiedzieć tego słowa. Terrowie. Ale oni tam są. Oupa podpira strzelbę, trzymając ją między kolanami.

Wokół samochodu przemykają milcząco różne historie. Ataki na odludnych drogach, matki przyszpilone bagnetami do swoich dzieci, po tym, jak chciały osłonić je swoimi ciałami, mężczyźni zastrzeleni, gdy klękali błagalnie. O zmroku siedzimy i czekamy, aż nas znajdą. Ja i Cia przestajemy walczyć. Czuję się, jakbym była do czegoś przydrutowana.

Nagle zauważamy jakiś ruch w pobliskich krzakach. Wszyscy wstrzymujemy oddech, kiedy staramy się lepiej słyszeć. Słyszymy jakiś szelest i coś małego i futrzastego wypada z poszycia i pędzi w stronę samochodu. Rzuca się z kilku metrów i wali w okno. Cia krzyczy, czy to ze strachu, czy z bólu, a Mama szarpnięciem przyciąga nas do siebie. Zapada chwilowa cisza, gdy ogłuszone zwierzę zsuwa się na ziemię, ale nie mija wiele czasu, zanim się otrząsa i ponownie rzuca na okno. Po drugiej bolesnej kolizji zadowala się podskakiwaniem w górę i w dół i próbami zobaczenia czegoś przez szybę. Mnie i Cię ogarnia ciekawość i oswobadzamy się z uścisku Mamy, wychylamy przez okno i zerkamy na trzepoczące na zewnątrz uszy.

- To szczeniak! - krzyczy Cia.

Po tym oświadczeniu jeszcze przez minutę przyglądamy się intruzowi i wtedy Cia wyciąga bezdyskusyjny wniosek:

- On chce wejść do środka, Mamo! Mamo, proszę, możemy go

wpuścić?

Oupa kategorycznie odmawia, a Mama go popiera. Ani Cii, ani mnie, ani psa to nie zniechęca. On nie przestaje nas prosić, a my nie przestajemy prosić Mamy, jednak bezskutecznie. W końcu jednak na-

102
sze wstawiennictwo staje się niepotrzebne. Kiedy pies, wyczerpany, kładzie się przy samochodzie, piszcząc do siebie żałośnie, Mama nie może już tego wytrzymać. Ustępuje i sięga do tylnych drzwi kombi, by je otworzyć. Oupa nazywa ją idiotką o miękkim sercu.

Już kiedy obraca się klamka, pies, wyczuwając swoją szansę, staje na baczność. Wystarczy, że w drzwiach pojawia się ledwie szpara, a on skacze radośnie, rzuca się na swoich wybawców i gorączkowo wyraża wdzięczność lizaniem. Ale tutaj mama stawia granice. Chwyciwszy go mocno, mówi mu, że już dosyć i że tylko dlatego go wpuściliśmy, że nie dał nam w tej kwestii żadnego wyboru.

Potem Mama wygląda na zmartwioną tym, że nie postawiła granic wcześniej. Pies to mały terier wątpliwego rodowodu, parchaty, pogryziony przez pchły i wychudzony. Dajemy mu resztki kurzych udek z naszego ukrytego, a nieco uszczuplonego zapasu padkos, a on pożera je jak wilk, nie czekając, aż odwinimy całą folię aluminiową.

Po tym, jak zjadł dwie pozostałe paczki chipsów Willards i połowę kanapek z serem i dżemem, siedzimy, obserwując się nawzajem. Słyszymy delikatne pukanie w okno. Wrzeszczymy, nawet Oupa i pies. W zapadającym zmroku za oknem majaczy twarz Taty. Ma już potrzebne części.

Nawet kiedy Tata i Oupa mocują się z silnikiem przy słabym świetle latarki, ulga Mamy, że skończyło się czekanie, obserwowanie i paniczny lęk, udziela się i nam. W następstwie tego na tylnym siedzeniu samochodu nastrój staje się raczej świąteczny, chociaż zabarwiony histerią. Na wiadomość o adoptowaniu psa Tata tylko kręci głową, i kręci nią ponownie, kiedy musimy przyznać, że pewne bezdomne zwierzę zjadło ostatnie kawałki udek, które zamówił. Rzeczone bezdomne zwierzę zwija się w najmniejszą możliwą kulkę pomiędzy Cią i mną i zasypia.

13

Nazywa się Moosejaw. Oupa uważa, że powinno się go ochrzcić Morus, ponieważ to zupełnie oczywiste, że jest to terier kaffirski. Potem Oupa chichocze. Ale Moosejaw lepiej pasuje. W każdym razie Moosejaw o to nie dba. Jego oddanie dla Cii i dla mnie pozostaje niezmiennie, niezależnie od tego, jak go nazywamy.

Żaden z innych psów na farmie nie jest nam tak oddany. Oczywiście żaden z nich nie jest gotowy znosić poniżającego płoszenia wrózek w lesie z diademem na głowie. Kiedyś podczas zawodów Moosejaw zjadł shongololo i dostał od Cii burę za to, że została przez niego zdyskwalifikowana, a potem wypluł shongololo z pyska razem z pianą. Był bardzo

skruszony - przemykał wokół nas przez resztę dnia z podkulonym pod siebie ogonem. Teraz tylko przygląda się shongololo, jak w swoich czarnych pancerzach surfują przed jego śliniącymi się szczękami na falach ruchliwych nóg.

Vumba, Smiler i Digby, trzej muszkietierowie w skórze wilczurów, znudziły się nami już przed laty. Teraz Digby wpatruje się w nas groźnie, kiedy próbujemy ustroić jego włochaty wilczurzy pysk wyszywanym cekinami welonem ślubnym z pudełka ze strojami do przebieranek, potem ziewa i odmaszerowuje zde gustowany, a jego przybocznicy, Vumba i Smiler, idą tuż za nim.

Moosejaw potrafi narzucić sobie wojskową dyscyplinę w obliczu nieomal każdego zakłócenia spokoju. Nie dla niego radości polowania i gonienia za stadami zwierząt. Nawet kiedy muszkietierowie pędzą za stadem perliczek, Moosejaw stoicko trzyma się nas, tylko drżenie jego stęsknionych za ruchem mięśni na pośladkach zdradza, ile go to

104 kosztuje. Oddanie Moosejawa bardzo obniża też jego pozycję w hierarchii sfory.

Na początku Vumba, Smiler i Digby każdego dnia walczyli z Moosejawem z coraz to nową energią. Digby przechadzał się w jego pobliżu, udając, że zajmuje się własnymi sprawami. Potem, bez ostrzeżenia, obracał się i skakał na niego z mrozącym krew w żyłach wyciem - wskazówką dla innych, by się dołączyli. Moosejaw paradował potem z poranionymi bokami i obszarpanymi uszami. Ale po jakimś czasie jego uniżone zachowanie zrobiło na nich wrażenie i zostawiły go w spokoju. Teraz udają, że go tu nie ma, a dla żalosego, adoptowanego psa jest to najlepsze, co może się zdarzyć. Na szczęście lojalność Moosejawa odnosi się nie do psich, ale do ludzkich członków jego rodziny zastępczej. I tak, kiedy zdobył dla siebie własne miejsce w naszym domostwie, jego jedyne dziwactwo przejawia się w czasie posiłków.

Moosejaw potrafi z odległości wielu kilometrów wychwycić brzęczący odgłos emaliowanych misek zdejmowanych z półek kuchennych. Na ten dźwięk natychmiast przerywa swoje zajęcia i pędzi w kierunku kuchni, jak mówi Oupa, jakby gonił go sam czart. Kiedy Jobe przelewa sadza do rozstawionych na blacie misek, Moosejaw przysiadła przy jego nogach, gotowy do skoku, skoncentrowany na prowadzonych ponad nim przygotowaniach. Po kilku minutach traci jednak wiarę i cierpliwość i zaczyna niespokojnie skomleć. W końcu, ostatecznie zdesperowany, ucieka się do gorączkowego naskakiwania na blat. Do chwili, gdy Jobe woła pozostałe zwierzęta na obiad, on zamienia się w drżący, ociekający śliną wrak psa.

Kiedy w końcu otrzymuje swoje jedzenie, rzuca się na nie z dziką zaciekłością, krztusząc się wielkimi kęsami, potem próbuje kraść z misek towarzyszy, a ma na to naprawdę niewielkie szanse. Ponieważ

nie zniechęca go głębokie warczenie i szczyrzenie kłów przez psy dwukrotnie od niego większe, każdy posiłek kończy się w szaleństwie zgrzytających zębów i fruwającego futra.

Na początku sądziliśmy, że jego nienasycony apetyt z czasem się zmniejszy, ale nawet długo po tym, jak czas głodowania powinien zamienić się w dalekie wspomnienie, Moosejaw nadal zachowuje się tak, jakby każdy posiłek miał być ostatni. Wreszcie postanawiamy

105
zatrzymywać go na czas posiłków. Zamykamy go w pralni, by jadł posiłki w samotności, i wolno mu wyjść dopiero, kiedy wszystkie inne psy miały dość czasu, by pochłonąć swoje porcje.

Kiedyś wszedł na stół kuchenny, gdzie stała miska podrobów, i do powrotu Jobe zdążył zjeść górę żołądków, języków i flaków i leżał na boku w samym środku pozostałości po uczcie, jego rozdęty żołądek był bliski wybuchu, a on nadal jadł. Oupa nazwał go żarłocznym sępem i poradził, byśmy pozwolili mu obezreć się na śmierć.

Użyteczność Moosejawa nie kończy się na płoszeniu wrózek.

Mamy nadzieję, że pomoże nam też w dostaniu się na strych, gdzie przechowywane są rzeczy Angelique. Cia i ja nigdy nie poznałyśmy naszej babki - umarła, gdy ojciec był małym chłopcem - więc otacza ją aura tajemniczości.

Ukąsił ją wąż. Nie jest to napisane na jej grobie, ale Jobe powiedział nam, że tak właśnie umarła. Poszliśmy tam z Moosejawem, na jej grób, zaraz po tym, jak z nami zamieszkał. Był tam wyszlifowany łańcuch, zwieszający się z kamiennych narożnych słupków, nad którym trzeba było przejść, aby się dostać do środka. Potem obejrzałyśmy każdy z nagrobków. Było ich cztery. Moosejaw oglądał je z nami, obwąchiwał, drapał ziemię przy każdym z nich i machał ogonem we wszystkie strony. Napis na nagrobku Angelique mówił: „Ukochana żona i matka”. Jobe twierdzi, że to mamba ją ukąsiła, a nawet ja i Cia wiemy, co oznacza takie ukąszenie. Jobe widział kiedyś pastuska ukąszonego przez to zwierzę. Pastuszek szedł przez krzaki, gdy wąż go zaatakował. Jobe zauważył promień słońca na grzbiecie węża, gdy ten odpełzał. Podbiegł do pastuska, który upadł na ziemię, ale nic nie mógł już zrobić. Każdy człowiek w górach Vumba wie, że niewiele można zdziałać, gdy ktoś umiera.

Jobe słyszał, że wąż ukąsił Angelique w rękę. Mówią, że to najgorsze miejsce na ukąszenie węża. Jeżeli mamba ukąsi cię w rękę, jesteś martwy, zanim zdążysz upaść na ziemię. Na ukąszenie boomsłanga, rinkhalsa albo żmii sykliwej prawie zawsze pomaga zadrapanie szczurzym pazurem. Ale kiedy człowiek zostaje ukąszony przez mambę, to już koniec. Potem z woli Bożej trzeba wypowiedzieć modlitwę nad jego grobem, jeszcze zanim wykop w veld zostanie pokryty czarną ziemią.

106

Oupa nigdy nie opowiadał nam nic na ten temat, ale raz powiedział:

- Munts? Mogę powiedzieć wam jedną albo dwie rzeczy o munts. Są plagą Afryki. Prawi mogą lękać się Wszechmogącego i patrzeć z podziwem na Jego stworzenie, ale nawet oni zastanawiają się z pewnością, dlaczego stworzył munts i czarną mambę.

I stąd wiemy, że to prawda. Potem mamrotał coś o gnuśności munts, jednej z najgorszych cech ich charakteru, tuż obok złodziejstwa, oraz o tym, że jeżeli oczekujesz dobrze wykonanej pracy, to musisz wykonać ją sam. Jest trochę dobrych munts, którzy sumiennie pracują i nie kradną narzędzi, i on zawsze uważa, że to niewłaściwe zabijać takich munts.

Kiedyś Oupa opowiedział nam, że widział, jak zaklinacz węży zamienił swoją laskę w węża. To wydarzyło się przed wieloma laty w starym Transwalu. Oupa podróżował do Johannesburga, by kupić nowego forda model A. Zatrzymał się na noc w Potgietersrus i nie mógł oprzeć się atrakcyjności sobotniowieczornego skou w starym ratuszu. Zaczęło się od przemówienia człowieka z banku Volkskas, następnie predikant odmówił modlitwę. Po modlitwie wystąpił prorok Oom Schalk van Niekerk, który potrafił przepowiedzieć nadchodzącą suszę. Potem kierownik szkoły w Potgietersrus przedstawił recital poetycki. Ale jego wiersze nawet się nie rymowały i kierownik musiał zejść ze sceny przy wtórze gwizdów boer, ale zdażył nazwać ich ograniczonymi filistrami i powiedzieć, że wiedzą o sztuce tyle co boomslangi. A potem nastąpiła debata o kwestii narodowej, która zawsze stanowi popularny temat, ale nikt nie chciał szukać odpowiedzi na pytanie, czy czarne kobiety powinny nosić przepustki nawet w Koloniach, które było zbyt trudne, i jeden ze starszych boer powiedział, że powinni porozmawiać o tym, jak kaffir w rejonie Potgietersrus z każdym dniem robią się coraz bardziej zuchwali. Potem zaczęły się tańce i boere orkes grał żywe taneczne melodie, takie jak Sarie Marais i Vat Jou Goed en Trek, Ferreira¹, a Oupa mógł tańczyć lang-arm z najlepszymi spośród tych boer, ale dopiero muzułmanin, który zamienił kij w węża, sprawił, że Oupa zmroziło krew w żyłach.

„Zabieraj swoje śmieci i idź, Ferreira” (język afrykanerski; przyp. aut.).

107

- Jak Mojżesz przed faraonem, muzułmanin rzucił swój kij, a ten zamienił się w węża. Mówię wam, dziewczynki, w tym nie było oszustwa, żadnego dostrzegalnego oszustwa, ale nie wiedziałem wówczas, że ciarki na plecach zapowiadały zło, jakie wąż miał przynieść mi w życiu.

Nigdy nie był tak bliski powiedzenia nam o tym, jak zmarła Angeli-que. Może dlatego lubimy wracać na cmentarz - jej śmierć, śmierć naszego pradziadka i wszystkich naszych przodków to tajemnice, których możemy tu prawie dotknąć.

W każdym razie poszliśmy tam z Moosejawem, a kiedy on drapał i wachał zapamiętałe, stała się dziwna rzecz. Cia pochyliła się nad grobem Angelique, tak jakby chciała lepiej dojrzeć inskrypcję na nagrobku, a wtedy w trawie u jej stóp usłyszałyśmy szelest, żdźbła trawy się poruszyły, ale zanim dostrzegłam, co tam jest, Moosejaw rzucił się w tym kierunku. Podskoczył, a w powietrze wyleciał wijący się wąż i zaraz z głośnym odgłosem wylądował nieopodal. Zanim zdążył schować się w długiej trawie, Moosejaw chwycił go pomiędzy szczęki i przegryzł mu szyję. Potem siedział tam ze znieruchomiałą mambą przy nogach, bardzo z siebie zadowolony. Cia spojrzała na mnie, na Moosejawa, a potem wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w martwego węża.

- Rany, Moosejaw, dzięki.

Coś zabłyszczało lekko na jej czole. Myślałam, jakie to dziwne, że mamba wybrała grób Angelique na swoje mieszkanie. Od tamtego dnia jednak pokusa, by odnaleźć to, co babcia po sobie zostawiła, nasilała się we mnie jak pragnienie.

To jakby udzielenie nam pomocy było Moosejawowi pisane.

Mówię Cii, że kiedy postawimy Moosejawa na straży, Oupa na pewno nas nie złapie, tym bardziej Jobe.

- Ale nie wolno nam tam chodzić, Nyree.

Mówię jej, że wielki z niej cykor i że ja i Moosejaw zrobimy to bez niej. W końcu się poddaje.

- Modliłam się do Pana Jezusa, by zrobił ze mnie dobrego człowieka, Nyree, ale Pan Jezus tego nie zrobił.

Jest późne popołudnie. Oupa chrapie na swoim wiklinowym tronie, chrapanie rytmicznie naciąga i poluznia szelki nad jego sterującym brzuchem. Jego sztuczne zęby szczerzą się w kostkach lodu, rozpuszczających się na dnie szklanki z ginem. Powietrze jest pijane i leniwe. Grube jaszczurki próżnują w otepieniu na stoep obok intro-nizowanego Oupa, ich wypukłe niebiesko-zielone łuski połyskują jaszczurczo. Osy bzyczą hałaśliwie na siatce w drzwiach frontowych. Lepkie pęcherzyki śliny pękają w kącikach obwisłych ust Oupa. Na końcu długiego ciemnego korytarza drugiego piętra Cia i ja skrada-my się w górę chwiejnych drewnianych schodów prowadzących na strych.

Nasza ostrożność wystarcza, by Moosejaw zrozumiał potrzebę pilnowania się - wspina się po schodach jak tropiący zdobycz drapieznik, zatrzymuje się i uważnie słucha, zanim ostrożnie postawi łapę na następnym stopniu. Otwieram ciężkie dębowe drzwi i chyłkiem wchodzę do środka. Cia idzie za mną, ciągnąc za sobą parchatego Grovera. Moosejaw podciąga zadek i zajmuje stanowisko przy drzwiach.

Tajemnica, szepty, dreszcz wywołany robieniem czegoś zakazanego wypełniają strych elektrycznością. Stłumione, poplamione kurzem

światło sączy się przez malutkie okienka, delikatnie oświetlając stare stojące lustra i szafy, dziecięce łóżeczka z baldachimami i inne odchodzące w zapomnienie staroświeckie wspaniałości. Grube gekony patrzą speszone z poszarzałych kamiennych ścian, okrytych cieniami i zatęchłym oddechem przodków. Kiedy tylko moje oczy przyzwyczajają się do półcienia, rozglądam się po pomieszczeniu tak długo, aż je zauważam - kufry Angelique, ustawione przy dalszej ścianie. Są trzy - wielkie drewniane skrzynie do transportu herbaty, przysunięte do starej żeliwnej maszyny do szycia marki Singer.

- Tam, Cia, tam są - mówię teatralnym szeptem.

Angelique urodziła się na placówce misyjnej na wybrzeżach jeziora Nyasa, jako córka afrykanerskiego misjonarza Jana Christiaana de Beera. Przyjął on nazwisko pierwszego Christiaana de Beera, przybyłego do Afryki. Oupa mówi, że nasz pradziad, Jan Christiaan, był purytaninem, który trzymał Biblię w jednej ręce, a sjambok w drugiej.

- Potrafiła z pamięci cytować wspaniałe kazania swojego ojca, moja Angelique. Wiecie, dziewczynki, bała się go. Po wyświęceniu Jan

109
Christiaan wziął swoją Biblię i zapuścił się w pogańską dzicz Afryki. Przebył bezdroża Kalahari, by dotrzeć do fermentujących dżungli na wielkich obszarach zalewowych, gdzie złożyła go gorączka. U zbiegu Chobe i Zambezi marniał przez wiele dni w chacie dzikusów. Ale Bóg o nim nie zapomniał i kiedy się obudził i ujrzał kobiety z pogańskiego plemienia Makololo, bezwstydnie obnoszące swoją nagość, zakrył oczy przed tym widokiem i ostrzegł je, że posłańcy Pana ukarzą grzeszników, którzy nie bacząc na swoją nagość, pojawiają się w zasięgu Jego wzroku. Biada im!

- Uzdrawiał chorych. W wodach rzek Kwando, Linyati i Kavango chrzczył nawróconych, a potem, ze światłem Jezusa Chrystusa rozjaśniającym ich pracę, patrzył, jak wyrąbują dżunglę, by wznieść wysoko krzyż nad kościołem misyjnym.

- W obozie w Bulawayo, gdzie schronił się, gdy ciemni synowie Chama gromadzili się w pogańskiej dziczy, do której nie dociera błogosławione światło Jezusa, spotkał młodą wierną w osobie waszej prababki, Erin.

Plemiona chamickie to munts, bo Bóg skazał ich na niewolnictwo na zawsze, amen, co mnie i Cii nie wydaje się w porządku, bo widzimy, że Cham tylko podśmiewał się, gdy jego ojciec Noe - który spłodził Chama - upił się i leżał rozwalony zupełnie nagi. To było po tym, jak Bóg skończył topić wszystkich grzeszników i wszyscy zeszli z arki - wtedy to się stało. I gdyby nie świętoszkowaci bracia, którzy donieśli na Chama, Noe nigdy by się nie dowiedział.

- Obiecał jej nieprzebrane trzęsawiska, gdzie zagubione dusze pływały się w grzechu, czekając na słowo Boże, a ona przyjęła jego oświadczenia.

Zatem po wykonaniu swoich obowiązków w walce z krwiożerczymi hordami o zdobycie Rodezji dla Królowej, Erin wyszła za Jana Christiaana, co jej rodzina uważała za hańbę, ponieważ on był Afrykanerem.

Cia i ja nie jesteśmy zaskoczone. Holendrzy, nazywani też tepakami, są bardzo nierozgarnięci. Kiedy mówią, obracają literkę „r” na językach, i mają żenujące imiona, takie jak Koos i Kristoffel (i właśnie dlatego Koos i Kristoffel są w szkole wyszydzani za szopą na rowery i tkwią w klasie dla matołów), a w swoich voorkamer wieszają ma-

rynistyczne obrazy, na których fale zwieńczone są głowami białych galopujących koni, i kładą papierowe serwetki na stołach jadalnych, co dokładnie pokazuje, jakimi są kmiotkami z mokradeł.

Cia i ja uważamy, że stary Jan Christiaan obróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że jego wnuk, Tata, w walkach Afrykanerów z Anglikami na polu bitwy w szkole podstawowej walczył po stronie Anglików. Na pierwszej przerwie, mówi Tata, obie strony musiały siedzieć w ławkach i pić litry mleka, które rozdzielał nauczyciel. Mleko cuchnęło i Tata krztusił się, kiedy je połykał, ale przynajmniej pompo- wało ono w niego siłę na prowadzenie podczas drugiej przerwy walk błotnych za szopą na rowery. Tata i jego banda strzelali do tepaków pociskami z błota z drewnianych proc. Takie pociski powodowały poważne uszkodzenia ciała, chociaż my wiemy to tylko z drugiej ręki, bo kiedy Tata przyłapał nas na robieniu błotnych kul armatnich do naszej walki, wówczas złożył nam skórę.

Ale Oupa mówi, że z powodu poślubienia Erin, która była Angielką, Jan Christiaan zostały wygnany od swojego volk i mderland do placówki misyjnej w Nyasaland na dalekiej północy. Erin umarła, wydając na świat swoje siódme dziecko, Angelique.

Czasem, w dni trzęsącej się zuchwy, Oupa głośno wspomni coś o Angelique:

- Och, była piękna, dziewczynki, moja Angelique. Długie ciemne włosy, które błyszczały w słońcu jak wypolerowana miedź.

Tak jak moje.

Nie mając matki, Angelique została wykarmiona przez biuściastą Afrykankę.

- Angelique powiedziała mi, że jej pierwszym językiem był Chiny - anga, język Jeziora, chociaż później nauczyła się mówić po afrykanersku, po angielsku oraz w języku strachu.

- Nie ma drugiego tak nikczemnego charakteru w całej literaturze, dziewczynki, jak Bóg ze Starego Testamentu. Próżny, małostkowy, żądny krwi tyran, a z tego, co wiemy, wasz pradziad był jego najbardziej oddanym uczniem.

Jego historie o tym, jak otoczony grzesznikami ciała, jej ojciec musiał niejednokrotnie użyć siły, o tym, jak Angelique uciekła, kiedy miała

zaledwie szesnaście lat, i o tym, jak po jej ślubie z Oupa jej ojciec ją
111

wydziedziczył, pogłębiają moją tęsknotę do jej rzeczy ukrytych w tych kufkach. Chcę ich dotykać. Chcę być blisko niej.

Kiedy się pobrali, Oupa raz pojechał z nią na tę placówkę misyjną. Cia chciała wiedzieć, czy były tam palmy i młodzi konwertyci w cienkich białych koszulach, przyjmujący chrzest w wodzie, tak jak to było w Babilonie. Ale Oupa powiedział, że nie, nie pamięta liści palmowych ani odzianych w białe muśliny konwertytów.

Pamięta smród, brud, niezliczone dziczące dzieci z usmarkanymi nosami i czerwonymi oczyma, z sączącą się z nich wydzieliną, oraz strupy, które dzieci stale zdrapywały i zjadały. Był tam szpital. Krew. Ropa. Gówno. Kościół. Żebracy błagający o coś Boga. Stary Jan Christiaan powiedział, że jeżeli Angelique chce związać się z uczniem bałwochwalczych Jezuitów, to nie jest już jego córką. Wyjechali, by nigdy już tam nie wrócić.

Mama mówiła nam, że kiedy Oupa ożenił się z Angelique, on też wiele wycierpiał z ręki swojego ojca za małżeństwo z protestantką, ale Oupa nigdy się do tego nie przyzna. A potem Angelique umarła, tak jak jej matka przed nią, zostawiając Oupa, by samotnie wychowywał syna.

Przechodzimy przez strych, pozostawiając za sobą w kurzu ślady małych stóp. Klękam przed kufkami, ostemplowanymi: „Wyprodukowano w Imperium: środki na prowadzenie wojny” i poobklejanymi obłazącymi plakatami, na których widnieją morskie insygnia linii żeglugowej White Star Line. Boję się, że będą zamknięte. Na szczęście nie są. Pierwszy z trzech otwiera się z oporem, kiedy odciągamy zasuwkę i podnosimy zgrzytające, obracające się na zardzewiałych zawiasach wieko. Otwiera się przed nami inny świat - romantyczny, pachnący lawendowym potpourri, świat, który przeminął na zawsze.

Uszyta z delikatnej koronki i płótna wyprawa ślubna Angelique została przykryta bibułą razem z rekwizytami niezbędnymi w dniu debiutu towarzyskiego - delikatnym etui na karnet do tańców, czarnymi wachlarzami wykonanymi w technice filigranu, jedwabnymi rękawiczkami, bogato zdobionymi futerałami na szminki, pudełkami z tabaką i akcesoriami z toaletki: pięknymi butelkami perfum z małymi pompkami, lusterkami i grzebieniami ze srebra i kości słoniowej i staromodnymi słoiczkami kremu chłodzącego Ponds, wyblakłymi ety-
112

kietami, obiecującymi eliksir młodości i podwijającymi się na brzegach. Owinięte w etole z norek i obwieszane klipsami, jesteśmy w niebie. Wewnątrz ostatniego kufra znajdujemy oprawny w skórę, poplamiony wodą pamiętnik. Kiedy go wyjmuję, wysuwa się z niego na podłogę kilka fotografii. Z brzegu jeziora w centralnej Afryce patrzą się na nas sepiowe duchy. Jest zdjęcie Oupa - zwykownego młodego

żołnierza armii rodezyjskiej, mającego wyruszyć na pustynie Afryki Północnej, jest też jeden z jego braci, Seamus. Angelique zapisała na odwrocie jego imię, ale trudno odczytać jej ozdobne pismo. Na zdjęciu Seamus uśmiecha się nieśmiało, włosy z tyłu głowy sterczą mu we wszystkie strony, a on nie wie, że wkrótce zginie, zastrzelony w potyczce z kaffir. Co dziwne, w ramionach tuli malutkie dziecko.

— Cia, myślisz, że to jego dziecko, Seamusa? Jeśli tak, to musi być matka Ronina!

Natknęliśmy się na coś intymnego, na sekret. Ale nadal grzebiemy, zachłannie i z poczuciem winy. Wokół tłoczą się duchy naszych przodków - szepczą razem jednostajnymi, szeleszczącymi głosami z kątów strychu. Czuję zapach ich oddechów, a zapachy, podobnie jak muzyka, mają moc przechowywania wspomnień.

14

Przychodzi koniec lata i zimne, ostre wiatry smagają szczyty gór i spływają w doliny. Stary Modjadji czuje się bardziej samotny i wyizolowany, jakby wiatr przeganiał coś ciepłego i dusznego. Jest sucho, nawet bardziej niż zazwyczaj o tej porze roku. Deszcze były w tym roku skąpe, ustały, zanim zaczęła się druga połowa naszych letnich deszczy, a już niedługo nieodwracalnie zapanuje długa, sucha zima. Na horyzoncie majaczy susza.

Oupa mawia, że susza to afrykańska nemezis. Co kilka lat nemezis przychodzi, ustają deszcze, słońce bezlitośnie pali skorupę ziemi, aż ta pęka, a my z trudem łapiemy powietrze, dopóki nemezis nie zdecyduje się ustąpić. Lęk przed nią jest zaraźliwy, unosi go wiatr, który wciąż gasz do płuc. A kiedy osiada, jego pazury przebijają ci serce i odtąd zawsze już w tobie żyje. Jego aksamitne kosmyki drażnią cię delikatnie i co roku, poczynając od października, z obawą dokonujesz oględzin nieba i starasz się zinterpretować znaki zapowiadające deszcze. Tego roku prognozy obiecywały obfite deszcze. Zawsze tak obiecują.

Podłoga naszego lasu wyściełana jest zwiniętymi, brązowymi liśćmi, które chrzęszczą pod stopami. Normalnie wilgoć zamienia je w mierzwę, ale teraz wysuszone powietrze czyni z nich wióry. I tak nasze bogate poszycie, spieczone w tej chwili i pozbawione soków, powoli umiera z pragnienia. Strumień, zazwyczaj spływający kaskadami po górskim zboczu, wysycha i znajdujemy małe zaszuszone ciała żab, które zbyt długo zwlekały z zapadnięciem w sen zimowy. A deszcz wciąż nie nadchodzi. Czasem wielkie, nabrzmiące i posiniaczone cumulonimbusy robią nam nadzieję, ale w końcu wiatr zaczyna nimi

114

szarpać i mimo że starają się utrzymać swój wodny ładunek, w końcu znikają bez śladu.

Pewnego wieczoru, kiedy Cia i ja opuszczamy naszą nagą leśną polanę, gdzie welon bluszczu, który ją niegdyś stroił, dawno zwiadł, Cia zatrzymuje się, by pokruszyć w palcach suchy liść paproci. Patrzy

na opadający pył, potem podnosi wzrok na mnie i mówi:

- Mam wrażenie, że część magii zniknęła, Nyree. Jakby powoli umierała.

Odpowiadam jej spojrzeniem. Jest skąpana w świetle, wokół niej spadają liście. Nic nie mówię.

Obcasem swojego takkie z Baty Cia odwraca starą kłodę. Lubimy odwracać stare zbutwiałe kłody - to jeden z naszych rytuałów, normalnie przyjemny: małe korzonki i grzyby rozrywają się, kiedy kłoda obraca się na drugą stronę, a bogata wilgoć humusu uderza nam w nozdrza. Małe stworzonka z przerażenia zastygają bez ruchu, jak antylopa impala złapana w światło reflektorów na drodze do farmy, znieruchomiała w jednej z chwil swojego tajemniczego życia. Potem uciekają, każde z nich porusza się tak szybko, jak pozwalają na to charakterystyczne dla jego gatunku nogi. Tarantule pędzą na łeb, na szyję przez odcinek równy kilku długościom ich ciała, po czym, nie znajdując schronienia, zatrzymują się i stoją sztywno, jedwabisty worek z jajeczkami niesiony pomiędzy kłami przez samiczkę delikatnie pulsuje. Krocionogi przestają wgryzać się w próchniczą ziemię i zwiijają się w ciasne ochronne konchy. Dżdżownice wiją się w wilgotnej ziemi, starając się w nią wwiercić. Teraz kolonia odeszła - życie odeszło z ziemi razem z wilgocią. Pod kłodą znajdują się tylko pozostałości starego tunelu o ścianach starannie zlepionych śliną przez termity. Cia udeptuje go na popiół swoim takkie.

Wraz z upływem miesiący i pogłębiającą się suszą zbiorniki na naszej farmie stają się mniej zasobne, a my nadal pompujemy z nich wodę. Kiedy jej poziom opada, na światło dzienne po raz pierwszy wystawia się coraz więcej śliskich od glonów ścian. Przewieszamy się przez krawędź rezerwuaru i sycimy oczy tym, co dotąd było tylko w połowie widoczne, a w połowie wyczuwalne palcami. Teraz jest pokryte pęcherzami i łuszczy się na śmierć, ale pompa ssąca nadal pracuje. Mama przerywa nawadnianie wszystkiego, co nie jest teraz istotne.

115

Okazuje się, że ogród także zalicza się do tej kategorii. Delikatne małe petunie i bratki omdlewają i zupełnie wędną, a armie niestrudzonych mrówek grasują po rudobrunatnym trawniku, pozostawiając za sobą placki gołej ziemi.

Bushveld wygląda rozpaczliwie. Większość drzew leśnej sawanny zrzuciła liście, wiedząc, że aby przetrwać zimę, musi pogrążyć się w stanie bliskim śmierci, a ziemia jest teraz pozbawiona trawy, nie ma więc nic, co może ożywić nieustępliwe brązy i szarości. Nawet ekspansywne drzewo mopane, które pierwsze wypuszcza pączki, a ostatnie zrzuca liście, i wydziela drażniącą, gorzką taninę, by odstraszyć zwierzęta pożerające liście, jest teraz gołe. Drzewa w książce z baśniami braci Grimm, w której zobaczyć można wiele zaczarowanych lasów, zupełnie nie przypominają teraz naszych. Zaczarowane

lasy wypełnione są drzewami o nazwach takich, jak dąb i jodła, o grubych pniach, z konarami uginającymi się pod bujnymi zielonymi liśćmi lub puszystym białym śniegiem. Za rzeką lasy mashatu, maruli i drzew ognistych najbardziej przypominają zaczarowany las taki, jaki był dawno, dawno temu, jednak rosnące w dolinie cierniste akacje, a nawet bawole ciernie przypominają coś innego. Cia uważa, że kształt drzewa opowiada historię jego życia, tak samo jak ciało człowieka. Cóż, walka o życie, którą toczą nasze drzewa, jest bez wątpienia niezwykle wyczerpująca. Sękate i powykręcane, teraz zupełnie nagie, maszerują w dal jak groteskowa armia kalek. Mrużę oczy, aby przyjrzeć się tej surowej scenie pod cudownym, intensywnie niebieskim niebem.

Czasem Cia i ja maszerujemy z tą armią kalek. Pomiedzy ich powykręcanymi szkieletami rosną niskie cierniste krzaki, które drapią nasze gołe nogi, musimy też omijać porzrzucone wszędzie pułapki - porzucone kopce termitów, korpusy martwych drzew, podejrzane jamy w ziemi. Zaczęliśmy znajdować trupy antylop impala, nyala, a nawet wielkich byków kudu, leżące w veld.

Dla zwierząt, które żywią się trawą, susza to najgorsze z możliwych niebezpieczeństw. Trawa to bardzo marne pożywienie - możesz wciąć ją przez cały dzień (a mówię o gęstej, z soczystymi żdźbłami, a nie złotej i spragnionej), a i tak ledwie starcza ci energii na wieczorną wyprawę do wodopoju, walkę z innymi samcami, wypatrywanie lwów

116
i radzenie sobie z innymi sprawami życiowymi. Zatem antylopa musi jeść prawie bez przerwy po to, by wyżyć. Co innego gdy trawa faluje na veld jak morze, a co innego teraz w środku suszy, gdy antylopy i mombies wyjadły wszystko do gołej ziemi i jak więźniowie, ogrodzeni płotem z kolczastego drutu, nie mogą emigrować, głodują.

Pewnego dnia Cia i ja znajdujemy w rzece nawet małego martwego buszoka. Nie może być martwy od dawna - wciąż jest doskonały. Kiedy już poleży tu przez jakiś czas, zacznie się wtapiać w ziemię, gotując się od much plujek i ich larw. Kucamy, by na niego popatrzeć, kiedy tak leży na łożku z piasku rzecznoego, a woda spływa po jego cętkowanej skórze, i zastanawiam się, jak to się stało, że przetrwał straszne warunki w głębi łądu po to tylko, by umrzeć po dotarciu do wody - wody, która schłodziłaby jego opuchnięty język i która karmi małe delikatne roślinki i pędy trawy na płyciźnie, kiedy cofa się z braku deszczu. Zastanawiam się, co buszok przecierpiał, co myślał, umierając, i czy kochał swoje życie. Teraz odpowiada nam spojrzeniem, zagłębiając się miękko w swoją rzecznoą trumnę, a woda wypłukuje jego odpowiedzi. Nie ma nawet wystarczającej liczby sępów, szakali i innych padlinożerców, które uprzątnęłyby zwłoki. Wkrótce zaczną cuchnąć.

Ale jeśli farma i jej okolice wyglądają źle, to TTL wygląda dużo

gorzej. Mutambara jest dość jałowa nawet, gdy pada - małe gliniane chaty tłoczą się w pyle, pokrywającym samotną akację przy kraal oraz wychudłe, nękane przez kleszcze mombies, z ich zwisającą z kości biodrowych skórą. Wszystkie inne drzewa zostały wycięte, veld pokrywają blizny pniaków, a kiedy wieje wiatr, piasek hula po terenie w szalonych, wirujących burzach pyłowych. Oupa mówi, że to dlatego, iż munts mnożą się jak muchy i uprawiają rolnictwo rodem ze średniowiecza. Nawet w Mana Pools, nad dolną Zambezi i w innych miejscach, które ponad pół wieku temu zostały obronione przed munts i przeznaczone na tereny dzikie, nie da się nic uprawiać na szerokiej wstędze nad rzeką, gdzie prowadzono niegdyś produkcję rolną na własne potrzeby, nie ma tam nawet najbardziej wytrzymałych chwastów.

W dobrych latach, kiedy pada deszcz, łąty zielonej trawy, wyrastającej dookoła małych kraal, pomagają ukryć nędzę ludzi i gle-

117
by oraz poziom erozji gruntu, który zamienił się w chropowatą pokrywę. Jednak i tak Mutambara wygląda lepiej niż dzielnice nędzy wokół miast. Przez to rozmnażanie się jak muchy i przez wszystko inne, hordy młodych Afrykanów, których Oupa nazywa Dickami Whittingtonami¹, opuszczają swoje wioski, by szukać bogactwa w miastach, ale kończą jako biedni, dzicy lokatorzy wyrastających wszędzie dzielnic nędzy. W tych slumsach plecionka obrzucona gliną ustąpiła miejsca blasze falistej, złomowi i oponom, przycupniętym w masie rozkładających się śmieci. Ludzie nie mają bieżącej wody, kanalizacji, światła w nocy, a Oupa mówi, że są nękaną przez choroby solą w oku. Cia i ja uważamy, że sól w oczach to najmniejszy problem w tamtych miejscach, i gdybym była Dickiem Whittingtonem, pospieszyłabym z powrotem do TTL i wyhodowała sobie w słońcu trochę ładnego mielies. Ale teraz, gdy nie pada deszcz, może jednak nie. W dotkniętym suszą, pustynnym TTL, z jego wynędzniałymi, atakowanymi przez pasożyty zwierzętami i dziećmi o pustych oczach, mielies wyschło na wiór.

A/s zwracają się do marnuje, biali uciekają się do modlitwy. Nigdy jeszcze Dom Pański i zaklinacze deszczu nie mogli się pochwalić tak wieloma wyznawcami. Ale ani duchy, ani przodkowie, ani sam Bóg w Niebiosach nie przyszli ludziom w sukurs. Oupa mówi, że Ziemię porzucili bogowie, zarówno pogańscy, jak i chrześcijańscy. Potem rozkleja się w swojej barwionej ginem zadumie, a my ze stoep patrzymy na spragniony świat. On, Oupa, już dawno przepowiedział tę godzinę Sądu Ostatecznego. Ziemia, która była gwałcona i plądrowana, z której wyszano wszelkie siły witalne, jest teraz jałowa. Tej nocy Ziemia przechodzi pod władzę Szatana - staje się królestwem ognia.

Spada to na nas jak koszmar. Budzę się w ciemności, czując w nozdrzach drażniący zapach. Połączył się on z moim snem, w którym

widziałam słabą poświatę, i nawet kiedy się budzę, pozostaje ze mną coś z tego snu. Słyszę dochodzące z daleka łoskoty i krzyki.

- Cia! Cia! - szepczę ponaglająco w ciemności. — Obudź się!

1 Dick Whittington - bohater pantomimy, biedny chłopiec, który zostaje bogatym kupcem, a w końcu burmistrzem Londynu. Postać wzorowana na autentycznym burmistrzu Londynu, żyjącym w XIV w. (przyp. red.).

118

- Nyree? - Cia podnosi się, jest półprzytomna, półprzytomna, lecz w panice.

Słaba poświata, którą wyśniłam, zamienia się w upiorne światło. Szprosy okienne rzucają migotliwe cienie. Z Cią przy moim boku klękam na łóżku pod kłębiącymi się zasłonami w tureckie wzory, aby wyrzecz przez szybę. Cała góra stoi w ogniu. Wąż płomieni wije się po jej zboczu, połykając las jak chichoczący demon. Wpatrujemy się przed siebie z lękiem, zahipnotyzowane.

Nagle w naszym pokoju pojawia się Mama i niszczy cały efekt.

Pospieszmy się. Musimy się pospieszyć. Ogień dotrze do domu.

Spieszmy się. Po schodach, przez ciemności, potykając się za kręgami światła latarki, kiedy tak przemyka i miga przed nami, i na dwór w ironiczny chłód nocy. Afs biegną w dół ścieżki z płonącego khaya. Dorośli niosą niemowlęta, dzieci niosą garnki z jedzeniem oraz swoich młodszych braci. Tworzą niezemską rzekę przepływających przed nami czarnych duchów. W niewidocznym, wirującym dymie ich krzyki wydają się oddzielnymi od ciał głosami, które unoszą się ponad rzeką.

- Gijimal Gijima!

- Shesha!

Zatrzymuję się i spoglądam za siebie w górę zbocza. Ziemia zamieniła się w gotującą się lawę, spływającą w dół przy świetle księżyca, ciemne drzewa wrą, wydymają się i wybuchają płomieniami, wypływając w niebo masę rozżarzonych węgielków. Niższe tarasy ruszają się, ożywione przez wylewające się z krawędzi tarasu koczodany, buszboki, wiewiórki, węże i inne stworzenia boże - skaczące, pełzające i czołgające się desperacko o krok przed polującym na nie ogniem. Nawet najmniejsze, najpośledniejsze stworzenie, które musi ślizgać się na brzuchu, myśli, że jego życie jest bezcenne.

Mama krzyczy, krzyczy i ciągnie mnie za rękę. Biegnę w stronę drzew prowadzących w dół, do rzeki. Kiedy dobiegamy na jej skraj, przypominam sobie. Gdzie jest Cia? Nie czuję jej dłoni w swojej i nie pamiętam, gdzie ją zgubiłam. Oglądam się przez ramię i widzę tylko ognistego węża i jego ofiary, spieszące w dół tarasowego zbocza, a potem potykam się, a Mama nadal ciągnie mnie za rękę. Ojcze, przebac. Zgubiłam Cię. Jest tak, jakbym umarła i poszła do Piekła, ale nie umarłam. Żyję i jestem w Piekło.

Przybyliśmy ostatnie. Wszyscy mieszkańcy farmy ustawieni są w szyku na brzegu rzeki i przyglądają się pożodze. I wtedy ją dostrzegam. Zwiesza się z ramienia Jobe, jak świeżo zabity buszbok. Ciągnę Jobe za rękaw, dopóki nie odwraca oczu od ognia i nie dostrzega, jak czekam, by postawił martwego buszboka na ziemi. Opuszcza Cię i stoimy razem w płyciźnie rzeki, jej mała dłoń w mojej, i patrzymy, jak burza ognia pochłania resztki magii. Potem odwracam się i zauważam odbijający się w wodzie księżyc. To dobrze, myślę, że zapamiętam coś pięknego, zanim moje oczy zostaną wypalone z mojej czaszki. Wiele godzin później piekło zamienia się w tłący się blask. Ogień umiera, zanim dociera do domu. Cia jest wciąż obok mnie, kołysze się, stojąc w wodzie. Mama kręci się w pobliżu. Szepcze, byśmy wracały do łóżek. Kiedy wracamy tą samą drogą przez pokój frontowy, promień księżycy pada na kominek i przyciąga mój wzrok do starego portretu Pradziadka. Pradziadek, wyraźnie żywy, patrzy na mnie oskarżycielsko. Bardzo mi go szkoda - cały jego trud zmarnowany na zawsze.

15

To najgorsza z możliwych rzeczy. Stoimy na stoep, Cia i ja, i wpatrujemy się ze smutkiem w nagą górę. Chociaż na własne oczy widziałyśmy, jak ogień pożera las żywcem, wtedy tę scenę łaskawie spowijała noc. Teraz w ostrym porannym świetle góra jest całkiem odsłonięta, a jej tajemne zagajniki i szczeliny - wyeksponowane w nieprzyzwoity wręcz sposób. Teraz wiem, dlaczego Pradziadek de Beer chciał karać grzeszników za przychodzenie przed oblicze Pana bez zważania na własną nagość. To wielki wstyd. Całe poszycie zostało zjedzone jak podpałka i pozostała po nim osmalona, martwa ziemia. Wiele z mniejszych drzew także padło ofiarą ognia. Tylko najwyższe wciąż stoją - kościste i osmalone na czarno przez języki ognia, los ich żywej tkanki nieznany będzie aż do następnych deszczy.

Cia i ja widziałyśmy przez lata już wiele, wiele pożarów veld. Każdej zimy Afs rozniecają ogień; w nocy można zobaczyć płomienie wijące się przez wzgórza jak liany, a rankiem to, co było terenem zielono-żółtych traw, nabiera barwy czerni. Potem do końca zimy wisi na niebie zastała flegma, mroczna jak stojąca woda, pobłyskująca cudownie o zachodzie słońca. Jobe mówi, że wypalanie pomaga czerpać z ziemi nowe życie, ale w szkole wyraźnie powiedzieli, że ten, kto rozpala ogień, jest gorszy nawet od flei (a kiedy kogoś nazywasz fleją, wydymasz usta i wypluwasz to słowo z pogardą), a każdy chłopiec złapany na bawieniu się zapalkami usłyszy świst wierzbowej witki pana McCleary'ego w powietrzu, zanim wyląduje ona na jego grzesznym grzbiecie. Wszędzie są znaki drogowe przedstawiające jelonka Bambi z wielką jelonkową łżą, spływającą po jego policzku z powodu poża-

rów celi. Teraz, po naszym pożarze, wiem na pewno, że ogień nie jest dawcą życia. Przynosi śmierć. Nic dziwnego, że Szatan zrobił z niego piekło - wczoraj po raz pierwszy widziałam Szatana z bliska.

Afs także ciężko to przeżyli - kiedy khaya zamienił się w kolczastą, czarną, ruinę, oni przez cały dzień wyli i rozpaczali, ponieważ stracili wszystko. Jeden z picanin - mała dziewczynka w podartej fioletowej sukience - poparzyła się w pożarze. Ma wielkie ropiejące bąble na twarzy i klatce piersiowej, z tych miejsc pokryta pęcherzami skóra schodziła płatami. Oupa smarował tam dziewczynkę maścią, a ona krzyczała tak, że mogły zaraz pęknąć jej żyły.

Później tego dnia przyjeżdża policja wojskowa i informuje Mamę, że podejrzani o podpalenie są terroryści. Cia i ja obejmujemy filary na stoep i patrzymy nieśmiało na policjantów w niebieskich mundurach. Teraz, po raz pierwszy, mamy powód, by nienawidzić Terrów. Nie ośmielają się zaatakować farmy z obawy przed minami na jej granicy, więc próbowali wykorzystać suszę i wszystko spalić. Mama i policja wojskowa podzielają pogląd, że to szczęście, iż pożar wygasł na dobre, zanim dotarł do najniższych zboczy góry i do obejścia, ale dla Cii i dla mnie utrata naszego lasu jest chyba gorsza od każdej innej straty.

Twarz Cii zasepia się, kiedy idziemy w przygnębieniu przez jedwabiste popioły, poszukując ziemskich pozostałości stworzeń zbyt małych, zbyt przestraszonych, by uciekać, i uroczyście celebруем ich odejście.

- Nyree?

-Ja?

- Czy sądzisz, że wróżki też spłonęły?

Podnoszę skorupę małego żółwia i zaglądam do środka. Czuję woń spalonego, zwiniętego wewnątrz ciała - własny dom stał się dla niego piekarnikiem, w którym upiekł się żywcem. Cia z pewnością chciałaby usłyszeć ode mnie, że wróżkom udało się uciec. Patrzę na nią i wzruszam ramionami.

Tata wraca do domu. Jak zwykle chce przygotować na nas zasadzkę, ale mu się to nie udaje. Potem ciągniemy się za nim przez zgliszczą lasu. Tata opowiada wiele rzeczy o munts, których nie powinniśmy słyszeć.

- Jezu Chryste! - mówi i gwizdże przez zęby. - Zniszczyliby nawet cholerny Raj, gdyby ich tam wpuszczono, przeklęte dzikusy.

Potem nakazuje, byśmy przestały grzebać dookoła jak para kundli, i mówi, że nikt nie umarł, więc, do diabła, chodźmy stąd i wybierzmy się na ryby, bo to jedyna cywilizowana rzecz, jaką można zrobić w tych okolicznościach.

Wyprawa na ryby oznacza wyprawę nad jezioro Kariba.

Jezioro Kariba, zrodzone z wód powodziowych Zambezi, ciągnie się bez końca, znaczone tylko przez wyspy, które wyrastają z jego głębi jak

Atlantyda i mają smakowicie brzmiące nazwy - Tshinga, Spurwing, Fothergill. Czasami wielkie burze przekształcają wody w fale przypluwów i odpływów. Graniczący z jeziorem Park Narodowy Matusadona obfituje w typowe dla równin zwierzęta. We wszechogarniającym i niekończącym się cyklu życia cmentarzysko drzew stało się też miejscem schronienia dla wielkich stad kormoranów i czapli oraz terenem polowań zimorodków, szczególnie tych, które nie potrafią zawisnąć w powietrzu i wykorzystują wykrzywione, pokryte odchodami gałęzie jako punkty obserwacyjne do szpiegowania swoich ofiar. Nad tym wszystkim króluje bielik afrykański, który rozpaczliwym krzykiem, rozbrzmiewającym nad wodą o zachodzie słońca, oplakuje zamordowanego Cocky Robina¹. Oupa nauczył mnie i Cię tej piosenki:

Zonke nyoni łapa moya,
ena kala ena kala,
ena swili, ena file,
lo nyoni Cocky Robin.

Wyjemy trochę o tym, że upadł i nie żyje, „ena swiili... enafiile”, ale nie jest to nawet w przybliżeniu tak smutne, jak płacz bielika po nim.

Trzeba jednak powiedzieć, że widzimy jezioro z dużo niższego poziomu niż ten, na który wzbija się bielik afrykański. W szkole widzieliśmy o tym film. W każdy piątek po południu idziemy gęsiego do auli, gdzie dyżurny klasowy długim kijem zaciąga aksamitne zasłony

1 Cocky Robin (Rudzik Chojrak) - żartobliwa piosenka rodezyjska w języku chilapalapa (przyp. red.).

123

na oknach, przywodzących na myśl lochy (mnie tylko raz udało się być dyżurną, Cii nigdy), i siedzimy w naładowanej elektrycznością ciemności, podczas gdy zakładane są rolki z filmami. Kiedy w końcu zaczynają się kręcić, ekran migoce odliczaniem od piątki do odwróconej jedynek, dławiąc się na szepczącym crescendo, i na ekranie pojawia się film Operacja Noe².

W pierwszej części filmu budowana jest owalna ściana zapory Kariba - kolosalne szare kamienie powoli zamykają stromy wąwóz - jednak nie obywa się to bez ofiar. Nie są one pokazane, ale w wyobraźni tworzą filmy na ten temat. Czasem to mi się śni. Mężczyźni spadający w dół, lecący jak anioły, spadający na zawsze. Nie lubię myśleć o nich, pochowanych w ścianie ze stali i betonu. W Operacji Noe mówi się, że poświęcenie tych mężczyzn było tego warte - zginęli, wnosząc świadectwo siły człowieka i jego panowania nad naturą. Ale ja nie przestaję się zastanawiać, co znaczyłoby dla twojej duszy, gdybyś został pochowany w ścianie, uwięziony tam na zawsze. Potem, w następnej części Operacji Noe, zniewolone wody rzeki Zambezi zaczynają się podnosić, zatapiając odwieczny las w dolinie rzeki i sawannę. Nikt nie wiedział, że woda będzie się podnosiła i za-

lewała dolinę Zambezi tak szybko, nie dając zwierzętom szansy na ucieczkę. Zwierzęta stoją razem na kurczącej się wyspie - nawet te, które były dla siebie wrogami - noga przy nodze w obliczu śmierci. Wyglądają na dziwnie spokojne, wiele z nich, antylopa impala, antylopa gnu i inne, tylko się pochyla, strach i oszołomienie czynią je zupełnie bezradnymi.

Słonie nie są tak głupie, by stać bez ruchu, gdy wyspa niknie pod wodą, i czekać, aż wszystko zatoni, jak grzesznicy u tego drugiego Noego. Postanawiają podjąć próbę ratowania się. Rzucają się na łeb, na szyję do kłębiącej się wody i kierują się w stronę lądu, płynąc w długich konwojach, dorosłe zwierzęta starają się trąbami utrzymać na powierzchni młode. Zastanawiam się, jak mogą oddychać i jednocześnie podtrzymywać maluchy. Oupa mówi, że tysiące zostały

2 Operacja Noe - trwająca pięć lat ewakuacja ponad 6 tysięcy zwierząt z terenów doliny Zambezi

i jeziora Kariba, zalanych wodą podczas budowy tamy na rzece Zambezi pod koniec lat 50. XX

wieku (przyp. red.).

124

w wodnym grobie, znaczone niezliczonymi szkieletami drzew, które teraz sterczą na krawędzi jeziora. Groby wśród szkieletów drzew. Ich też nie widzimy w filmie - zwierząt, które utonęły. Widzimy tylko akcję ratowniczą.

Chociaż nikt nie przewidział powodzi, będącej następstwem zamknięcia ściany zapory, i tak ludzie i maszyny - ci sami, którzy, podobnie jak Bóg Wszechmogący, sprowadzili powódź - walczyli, by ocalić życie tysiący zagrożonych zwierząt. W Operacji Noe krąży dookoła na łodziach i w helikopterach, ratując mnóstwo istnień.

Widzimy helikoptery latające nisko pomiędzy niebem a wodą, A/s biegających wśród zarośli z długimi siatkami, zbierających zwierzęta, które wierzgają i walczą i wcale nie wyglądają na wdzięczne za to, że zostały ocalone.

Na końcu filmu głos Noego mówi nam - ponownie - że to był wielki triumf, nie tylko Rodezji, która ma teraz skąd czerpać energię, by oświetlić autostrady i miasta przyszłości, ale i wszystkich ludzi.

Nisko na ziemi, tu gdzie jesteśmy ja i Cia, i Oupa, i Moseejaw, teren jest brudny, pokryty odchodami, podobnie jak martwe drzewa, i łatwo zapomnieć, że istnieje nad nami inny świat. Pierwszą noc spędzamy w Caribbea Bay, hotelu, który przywodzi na myśl koktajl z plasterkiem ananasa i kandyzowaną wiśnią, nabitą na małą różową papierową parasolkę. Jest olśniewająco biały, z szumiącą klimatyzacją i rozciąga się wśród wysadzanych palmami ogrodów i basenów, niezwykle czystych dzięki litrom drażniącego nos i szczypiącego w oczy chloru. Szkoda, że Oupa w takim fantastycznym miejscu popada w szaleństwo.

To cała mieszanina ogłupiającej gorączki w dolinie Zambezi, ginu

i oddalenia od stoep, do którego krańców jego świat skurczył się już dawno temu, sprawiła, że jego mózg się zagotował. Jednak, co dziwne, wydaje się, że nikt oprócz nas tego nie zauważa.

Najpierw Oupa staje się bardzo niemiły dla innych, zwłaszcza dla personelu Caribbea. To tak, jakby karał ich za to, że musi przebywać w tym hotelu. Kelnerowi o imieniu Forgiveness³ z baru przy basenie powiedział, że jest on najgorszym kelnerem, jakiego kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać, i że jako najobrzydliwszego przedstawiciela

3 forgiveness (ang.) - przebaczenie (przyp. red.).

125

ludzkości trzeba go wyrzucić na bruk, a on, Oupa, nie spocznie, dopóki osobiście nie dopilnuje, by Forgiveness został wylany i wyprowadzony z terenu hotelu, tak by mógł wieść dalsze bezcelowe życie poza zasięgiem wzroku Oupa - a to wszystko dlatego, że kelner nie wrzucił wystarczająco dużo kostek lodu do ginu Oupa. Cia i ja widziałyśmy, jak Forgiveness umieszcza dużą ilość lodu w szklance Oupa, ale on stopniał tak szybko, jak topnieją lody na brodzie i kapią na siedzenie peugeota na parkingu przy Farmers' Co-op.

- On jest taki niedobry! - skomentowała Cia.

Tata powiedział Mamie, że Oupa zamienia się w kłótniowego starego skurczybyka, ale żadne z nich nie zauważa chyba, że jest on nie tylko kłótniowy, chyba że to słowo określa kogoś kompletnie stukniętego. Całe popołudnie spędził na oskarżaniu Forgivenessa o coraz to gorsze rzeczy i narzekaniu na wszystko na Boskiej ziemi, co z całą pewnością nie było winą Forgivenessa. Potem, wieczorem, z ponurą miną zaprowadził mnie i Cię do toalety w naszym bungalowie i trzęsącą się, pokrytą plamami wątrobowymi ręką wskazał na czającego się w środku ptasznika.

- Sis, do licha! - syknęłam. Cia zadrżała. Ale tak naprawdę ten widok wcale nie był niezwykły: ptaszniki, węże, skorpiony i wszelki rodzaj gogos zawsze wykazywały słabość do kibelka na farmie - jest tam przyjemnie, chłodno i ciemno, i gdybym była ptasznikiem, prawdopodobnie lubiłabym się tam przyczajać. Ale Oupa nie uważał, że czajenie się ptasznika w hotelowej toalecie można wyjaśnić ogólną skłonnością ptaszników do czajenia się w toaletach.

- Zobaczcie, dziewczęta, tutaj jest. Wiedziałem. Oni spiskują, by mnie dopaść. - Oczy wychodziły mu z orbit.

Potem powiedział Cii, że może zetrzeć ten uśmieszek ze swojej gęby. Ptasznik mógł zostać umieszczony tu celowo przez munts, jako część skomplikowanej intrygi, w którą może być wplątany tokoloshe, a której celem jest złapanie go.

Mama i Tata nie dostrzegli, że Oupa flirtuje z szaleństwem, ale nie powinno mnie to dziwić, gdyż oni właściwie w ogóle Oupa nie zauważają. Jest tak, jakby dla nich gdzieś tam był, ale zarazem go nie było -jak coś, co majaczy na skraju ich pola widzenia. Być może tylko

w ten sposób mogą z nim wytrzymać - kiedy tak naprawdę wcale nie
126

muszą go znosić. Cia uważa, że to właśnie czeka starych ludzi. Dorośli pobożnie i szlachetnie wypowiadają się o mądrości przychodzącej z wiekiem i takie tam, ale w rzeczywistości historia starszych osób kończy się na ogół, zanim nadchodzi koniec ich samych, i pozostaje im tylko przekazywanie od nowa tych samych starych opowiadań - tylko że ci, których czas właśnie trwa, nie słyszą i nie widzą staruszków, widzimy ich tylko my, ci, których czas jeszcze nie nadszedł - aż do chwili, gdy książka wreszcie zamyka się na wczorajszej opowieści. Zatem Mama i Tata oddalili się już przed kilkoma godzinami, przez cały dzień konsekwentnie ignorując coraz bardziej zadziwiające skargi Oupa, i poszli na tańce do Cutty Sark Hotel, a teraz sytuacja naprawdę stała się nie do zniesienia.

Trwa sąd wojskowy. Oskarżeni - kilkoro nieszczęsnych kelnerów, nocnych portierów, personelu kuchennego oraz ja, Cia i Moosejaw, na którego także padły pewne podejrzenia - stoimy w rzędzie na trawniku. Nasza domniemana zbrodnia wiąże się z zawiłą serią powiązanych ze sobą incydentów, która rozpoczyna się kradzieżą sztucznych zębów Oupa, a kończy tym, że nasz kraj schodzi na psy. Oupa chwiejnie przechadza się wzdłuż rzędu, spogląda ponuro na oskarżonych i wymachując strzelbą, sepleni:

- Boże, dopomóż. Znajdę skurczybyka. Myślicie, że będę stał z boku i nic nie robił, gdy wy, munts, podwędzacie mi zęby, zdzieracie ostatnią koszulę z mojego grzbietu, a potem oddajecie kraj temu komuchowatemu wściekłemu psu, Mugabe?

Stoi tam, mieli językiem strużki śliny pomiędzy bezzębnymi dziąsłami i poci się od trudów przesłuchania.

- Bacność, mała - rozkazuje Cii, która przechyliła głowę na bok i otworzyła usta w nieskrywanej fascynacji. Cia natychmiast staje na bacność i salutuje elegancko. Oupa mruczy z aprobatą i kieruje się w drugą stronę rzędu.

Ale wydawanie rozkazów Cii to ostatnia rzecz, jaką Oupa udaje się zrobić na swoim sądzie wojskowym, bo w tej właśnie chwili Mama rzuca się na niego jak anioł zemsty. Wrywa mu strzelbę i każe natychmiast iść do łóżka. Oupa przygląda się jej przez minutę. Chociaż normalnie raczej nie słucha rozkazów, to jednak coś w tonie Mamy musiało uświadomić mu, że tym razem może posunął się za daleko. W końcu poddaje się, ale najpierw obraca się do swoich więźniów na ławie oskarżonych i udziela im ostatniego apokaliptycznego ostrzeżenia:

- Ja, cóż, wy tnunts możecie waszym „Pamberi chongwe” torować sobie drogę do tchórzliwego, sprzedajnego rządu, ale na Świętą Matkę Boską, lepiej nie wkraczajcie na moją farmę. Jeżeli uważacie, że należy się bać waszych przodków, to tylko poczekajcie, aż spo-

tkacie moich - pokażą wam „Pamberi chongwe”, comradesl - Po wygłoszeniu tych słów odzyskuje rezon i niespiesznie oddala się do łóżka, śpiewając nie wiadomo dlaczego „To naprawdę mush znowu wejść w busz”.

Potem Mama przez długie godziny z przejęciem tłumaczy się przed poszkodowanymi, a Tata musi dać im znaczące rekompensaty, by nie skierowali sprawy do sądu. Dochodzi do ugody i hotel nie będzie skarżył Oupa, ale nie ma ugody, która mogłaby złagodzić gniew Mamy i Oupa otrzymuje od niej straszną burę, a następnie trafia pod nadzór kuratorski. Ponieważ nie można oddać go z powrotem do szkoły z internatem, zostanie wysłany do domu starców, jeżeli podobny epizod kiedykolwiek się powtórzy. Wydaje mi się jednak, że Oupa nie czuje wielkiej skruchy. Wygląda raczej tak, jakby chciał się tym wydarzeniem chwalić.

Rano wyruszamy motorówką Taty na Wyspę Tshinga. Jest to odległe miejsce z obozem namiotowym rozbitym w cieniu kępy drzew mashatu. Obóz byłby całkiem opuszczony, gdyby nie kuchcik Thankful⁴. Wprowadzamy się i wkrótce czujemy się tak, jakbyśmy zawsze tu mieszkali. Wieczorami przesiadujemy wokół ogniska na brzegu jeziora i obserwujemy migające światła rozstawionych na horyzoncie łodzi, z których łowi się kapenta.

Łodzie mają latarnie i wielkie sieci, zwieszające się z masztów jak czarne żagle. Rybacy opuszczają je do wody i trałują kapenta przez całą noc, wspomagani przez światła, do których ryby ciągną jak podwodne ćmy z błyszczącymi łuskami. Kiedy wychodzi słońce, łodzie wracają na brzeg, gdzie waży się ryby. Rybacy ustawiają się przed wielką wagą i czekają na swoją kolej. Po usłyszeniu wyniku mlaskają

⁴ thankful (ang.) - pełen wdzięczności (przyp. red.).

128

i kręcą głowami. Niektórzy krzyczą na chłopca obsługującego wagę. Nazywają go oszustem. Wszyscy opowiadają długie historie o olbrzymich połowach sprzed lat, o pokładach łodzi, uginających się pod ciężarem kapenta o świcie.

Ryby suszy się w słońcu - z portu dolatuje odór, wypełniający całą okolicę - następnie pakuje się je w torby i sprzedaje za kilka centów Afs, którzy zjadają je z lubością. Tata mówi, że to źródło protein, odsuwające od wielu biedaków widmo głodu. My używamy tych rybek jako przynęty.

Później Cia i ja leżymy na łóżkach polowych pod płótnem namiotu i słuchamy upiornego wycia hien. Kiedy świecimy latarkami w wieczorną ciemność, ich oczy błyszczą jak oczy demonów, krążących groźnie na skraju obozu. Jednak w środku nocy, kiedy ogień już wygasa i zostają tylko świecące węgielki, a wszystko w obozie cichnie, całe stado odważa się wkroczyć na nasz teren. Budzimy się, słysząc ich oddechy, drapanie i rozlegający się na zewnątrz namiotu diabelski

chichot. Moosejaw skomle. Krew szybciej krąży nam w żyłach, ale hieny nigdy nie drą namiotu, choć z pewnością umiałyby to zrobić jednym długim pazurem wysuniętym z łapy. Zasada jest taka, by nigdy, przenigdy nie zostawiać namiotu otwartego - znane są opowieści o hienach wchodzących do otwartego namiotu i rozdrapujących twarze śpiących wewnątrz ludzi. O świcie czują pierwsze promienie wschodzącego słońca i cichną, zakrwawione i przestraszone. Ich kurczące się cienie wycofują się, by czekać na koniec dnia i jego powolne, ukradkowe odbieranie światu jasności.

Rano idziemy łowić ryby z jednej z łodzi rybackich przycumowanych przy obozie. Mama znajduje jakąś marną wymówkę, ale Cia i ja maszerujemy posłusznie tylko po to, by odbierać od Oupa burę za to, że płączemy liny, gubimy spławiki, nabijamy robaki jak baby (ponieważ za bardzo brzydzimy się je zwijać i nadziewać tak długo, aż trysną z nich soki) i ogólnie za to, że przynosimy mu gorzkie rozczarowanie. Jednak trzeciego i ostatniego dnia, kiedy zabieramy Thankfula jako głównego nabijacza robaków, Cia łapie największego leszcza ze wszystkich, czym znowu zdobywa sobie status zastępczego wnuka. Wyprawa na ryby niestety kończy się katastrofą, gdyż w chwili radości ze zdobyczy Cii utykamy w labiryncie sitowia. Tata musi skoczyć

129

do wody, by wyciągnąć rośliny ze śruby napędowej, potem pcha nas przez kanał na głębszą wodę.

- Hej, wy, lepiej się rozglądajcie - mam tylko jedno przyrodzenie.

Thankful, który odpycha łódź żerdzią z przodu, rechocze:

- Tak, Baas.

- Co to przyrodzenie, Tato?

- Mniejsza z tym. Po prostu rozglądajcie się za flatdogs.

- Dobrze, Tato.

Jedziemy do domu, Oupa wciąż w niełasce, a Cii i mnie, mimo wcześniejszych przysiąg, że pozostaniemy smutne na zawsze, humor bardzo dopisują. Na tylnym siedzeniu samochodu bawimy się w kamień, papier i nożyczki. Oupa pokazuje dynamit, który bije wszystko, i Cia musi opuścić przerwę między przednimi siedzeniami. Leży tam teraz Moosejaw z brodą na przednich łapach i podnosi to jedną, to drugą brew.

W Eastern Highlands, gdy pozostawiamy za sobą góry Vumba i kierujemy się dalej na południe, wzdłuż grzbietu górskiego w stronę Chimanimani, zauważam po raz pierwszy, że krajobraz staje się coraz bardziej dziki. Miasta pojawiają się z rzadka, zastępowane wysokimi lasami drzew mlecznych i wybudowanymi wśród nich khaya. Wybują paprocie i dzikie orchidee przystrajają pobocza.

Kiedy przyjeżdżamy do domu, Ronin już nas wyczekuje.

Zmienił się jednak. Zrobił postępy w swojej sztuce - jest tak, jakby nie rozstawał się już ze swoją rolą. Lepiej czuje się w swojej skórze - już

nie usprawiedliwia się przez cały czas. Patrzy wprost na ciebie i dużo się uśmiecha, chociaż ten uśmiech nie dociera do jego oczu. Wiem, że obserwuje wszystko gdzieś spoza tych oczu, gdzieś ze swojego wnętrza. Jakikolwiek udręki przechodzi w szkole z internatem - i to nie takie związane z przykuwaniem go łańcuchem w piwnicy, ale takie, które są spowodowane jego trochę dziewczęcą brodą, jedwabistym głosem i delikatnym sposobem, w jaki przeczesuje palcami swoje jasne włosy lalki Barbie - nadały one jego twarzy twardy połysk.

Wydaje się, że Mama lubi go jeszcze bardziej. Powiedziała mu: „Witaj w domu”, uśmiechnęła się i pocałowała go, jakby to naprawdę był jego dom, i dodała, że jest on teraz młodym mężczyzną. Ronin wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Oupa zmrużył oczy. Kiedy weszliśmy na górę, odkryłam, że w naszym pokoju był intruz - Grover zniknął. Zawsze siedzi oparty na łóżku Cii, ale teraz nie ma tam nic oprócz lekkiego wgniecenia na poduszce. Grover wiele już wycierpiał - stracił oko, potem oboje uszu w potyczce z Moosejawem, który jest o niego zazdrosny - i dlatego, zdaniem Cii, nie potrafi już poradzić sobie sam. Przetrząsamy pokój, ale kiedy wciąż nigdzie go nie widzimy, Cia mówi Mamie ze łzami w oczach, że zaginął.

Mama radzi nam się nie martwić, ona i Jobe pomogą nam go szukać - to będzie jak prawdziwa akcja poszukiwawcza. Ronin oferuje, że się przyłączy. Wszedł do kuchni i wszystko podsłuchał, ale zamiast jak zwykle zignorować nas i całą sprawę, uśmiecha się do Cii i mówi Mamie, że się z nią zgadza - Cia nie powinna się martwić, Grover ją kocha i na pewno nie oddali się od domu.

- Znajdziemy go, zobaczysz - obiecuje, a jego słowa brzmią tak przekonująco, że Cia odzyskuje nadzieję.

Jednak nigdy nie odnajdujemy Grovera. Szukamy przez całe wieki. Ronin szuka dłużej niż ktokolwiek inny - prawie mu współczuję, kiedy nie udaje mu się go znaleźć. Gdy Cia i ja idziemy spać, zmęczone, a Cia jeszcze z bolącym sercem, Ronin mówi jej, jak bardzo mu przykro i że to przewinienie Grovera, to znaczy nieobecność przez jedną noc, powinno zostać mu wybaczone, gdyż z pewnością wróci rano. Uśmiecha się do niej i mruga, a Cii, ożywionej przez wyobrażenie Grovera jako winowajcy, udaje się odwzajemnić krzywy uśmiech. Teraz, leżąc w ciemności i wsłuchując się w odgłosy pogrzebu umkhulu z farmy, w pulsujące bębny i zawodzące głosy kobiet, odprowadzające starego człowieka do jego przodków, zastanawiam się nad zmianą, jaka zaszła w Roninie. Wydaje się ona prawdziwa.

Trzy dni później znajduję Grovera martwego. Jego brzuszek został wielokrotnie pocięty z dziką siłą, a wypełniający go materiał wylewa mu się z ran. Leżał wepchnięty pod łóżko Ronina. Cia i ja kłęczymy na deskach obok łóżka i patrzymy na siebie, jest nam niedobrze i nie wiemy, co powiedzieć. Wiedziałam, że trzeba tu przyjść i po-

szukać. Wiedziałam to od dnia, gdy Grover zaginał, ale wewnętrzny głos, który kazał mi tu przyjść i poszukać, nie był wcześniej wystarczająco donośny.

131

Wciąż widzę Ronina, jak uśmiecha się i mruga do Cii tak, jakby mieli jakiś wspólny sekret. Naprawdę się go boję.

Jeszcze raz unoszę narzutę - obok miejsca, gdzie leżał Grover, stoi stary szklany słoik firmy Consol po marynacie, a w środku tkwi jakiś mały przedmiot. Muszę dowiedzieć się, co to jest. Pomiedzy frędzlami narzuty wyciągam słoik. Na dnie leży martwy mossie, a obok niego trochę wypełnienia Grovera. Musiał znaleźć drogę przez szyjkę słoika, tam, gdzie zamyka się jednorazową zakrętką, być może skuszony dobrą na gniazdo gąbką z Grovera. Nigdy nie znalazł drogi powrotnej. Nikt nie słyszał jego rozpaczliwych próśb o pomoc, dobywających się ze szklanego słoika Consol. Umarł na gnieździe z wypełnienia. Patrzę na jego nogi sterczące sztywno z ciała. Czy został zwabiony? Dlaczego nie mógł znaleźć drogi powrotnej? Czy zakrętka została przymocowana przed jego śmiercią czy po niej?

Otwieram słoik i ostrożnie wydaję ptaszka. Głaszczę go kciukiem. Czuję jedwabiste pióra, które lubił czyścić, pod nimi delikatne kostki, ale pukanie serduszka w jego piersi już ustało.

Czując kluchę w żołądku, wyciągam z kąta pod łóżkiem ostatni przedmiot. To stare drewniane pudełko po cygarach należące do Oupa. Wewnątrz, w rogu znajdujemy zwiniętą wiewiórkę. Pudełko byłoby zupełnie puste, gdyby nie martwa, zwinięta wiewiórka. Kiedy spoglądam na wewnętrzną stronę pokrywki, dostrzegam ślady pozostawione w drewnie - wiele małych rys wydrapanych w panice na wieku trumny.

Wycofujemy się ostrożnie z pokoju Ronina, po czym zaszywamy się w naszej sypialni, czując, że jej świętość została zbezczeszczona. Patrzę na ogromne z przerażenia oczy Cii i przekonuję ją, by nie ujawniać, co znalazłyśmy. Dużo bardziej obawiam się nowego Ronina, z jego łagodnością i jego sekretami, niż tamtego dręczyciela, którego miejsce zajął, i wyczuwam niebezpieczeństwo, mogące na nas czyhać po ujawnieniu jego sekretu.

I tak wiąże nas głęboka zmowa milczenia. Przyglądam się Roninowi uważnie w trakcie posiłków, kiedy jego poza Księcia z Bajki najbardziej się ujawnia. Trudno cokolwiek zauważyć, chociaż je, jakby głodował - chciwie, zachłannie. Ale w przelotnych chwilach pomiędzy maskami pokazuje trochę ze swojego prawdziwego Ja. W momencie,

132

gdy jedna maska spada, a jeszcze nie pojawia się następna, czasem widzę jego twarz i jest ona zupełnie pozbawiona wyrazu. Jego oczy są puste. Po prostu nic tam nie ma. W jakiś sposób to właśnie ten zupełny brak czegokolwiek najbardziej mrozi krew w żyłach. Włoski na moich

rękach podnoszą się. A potem on się zmienia.
Stał się odmieńcem z mrocznych baśni braci Grimm.

16

- Hej, chodźmy nad rzekę.

Mam wrażenie, że nawet Dell czuje, jakby Modjadji był owinięty w koc, powietrze w nim jest gorące i zastale. Dell ledwie tu wszedł, a już nie może doczekać się wyjścia. Podobnie jak Cia i ja.

Tereny nad rzeką to zielony wąz gęstych, wiecznie zielonych drzew, które rosną wzdłuż brzegów Nhzelele, płynącej zakolami przez naszą farmę, a ich korzenie wbijają się głęboko w sekretną rzekę, płynącą poniżej łożyska tej górnej.

Wiem, dlaczego Dell chce tam dzisiaj iść. To z powodu jaskini n'anga. Oupa powiedział mu, że gdy sam był chłopcem, w jednej z jaskiń leżących za wodospadem u ujścia strumienia, który w bardziej wilgotne lata stacza się w dół górskiej szczeliny, mieszkał pewien szalony n'anga.

W miejscu gdzie strumień desperacko stara się przeciąć rzekę, przelewa się przez krawędź urwistego grzbietu, tworząc wodospad wyższy niż Cia i ja razem wzięte, który rozlewa się smętnie w płynącej niżej rzece. To najlepsze miejsce do pływania. Woda jest tak zimna, że kiedy w niej nurkujesz, tracisz dech w piersiach.

Oupa mówi, że n'anga z jaskini nosił błyszczący wiktoriański garnitur, monokl i cylinder, miał rozpląszczone, głęboko popękane pięty, a na ramiona narzucał nadjedzoną przez mole lamparcią skórę. Cia i ja uważamy, że Oupa kłamie. Dell sądzi, że teraz, kiedy rzeka jest sucha, w końcu dowiemy się prawdy.

Rozlewisko oddalone jest od domu przynajmniej o godzinę drogi, zwłaszcza jeśli zatrzymujesz się en route, by zagrać w toktokkie - stukać 134 w ziemię i czekać, aż żuk zapuka w odpowiedzi - albo tak okręcać żuki gnojarki, by się nabrały i ruszyły z powrotem w kierunku, z którego właśnie przyszły, albo też dołączać do Moosejawa, szukającego koczokodanów na wzgórzach.

Przybywamy na miejsce po ponad godzinie marszu, ale prawie żałujemy, że w ogóle wyruszyliśmy. Wodospad oczywiście zniknął, wessany przez spragnioną ziemię, a nasz kocioł czarodzieja, w postaci rozlewiska umiejscowionego z boku głównego nurtu, z jego zimnymi, kłębiącymi się głębiami, skurczył się do żalostnego błotnistego bajora. Na jego grubej skórce ponuro pękają bąble powietrza. Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami.

Jednak po drugiej stronie, na wyeksponowanej skalnej ścianie, rzeczywiście wyraźnie widnieje wylot jaskini. Z podniecenia czuję ciarki w opuszkach palców.

- No, dalej - mówi Dell - wyzywam cię.

Dell uwielbia rzucać wyzwania. Jednak ostatnim razem, kiedy to on podjął czyjeś wyzwanie, skończyło się na tym, że wrzeszczał, starając

się uciec od gruchota MacGillavry'ego.

MacGillavry ma strzelbę i jednookiego psa. Pies wyje przy pełni księżyca i każdy wie, że czasami stary MacGillavry do niego dołącza. MacGillavry skręciłby ci kark jak kurczakowi, gdyby złapał cię choćby na tym, że patrzysz na jego gruchota. Jeremiah wyzwał Della, by dotknął wraka MacGillavry'ego. Ja i Cia tam byliśmy.

- To wszystko? Dotknąć go? - zapytał Dell pogardliwie.

Jeremiah skinął głową.

- Mogę zrobić więcej. Dużo więcej. Mogę walnąć w maskę lub coś takiego. Jeśli chcesz, usiądę za kółkiem.

Jeremiah spojrział na niego chłodno i powiedział:

- Nie. Tylko go dotknij. To wszystko.

- Bułka z masłem - stwierdził Dell.

-I nie martw się - Nyree, Cia i ja zagwiżdżemy, kiedy zobaczymy strzelbę.

Stary MacGillavry ma złomowisko na obrzeżach miasta. Przekrzywiony napis na bramie obiecuje: „Gotówka za złom”, a zaraz obok drugi mówi: „Wstęp wzbroniony!” Teren jest zaśmiecony starym żelastwem, chwasty obrastają rdzewiejące kadłuby samochodów
135

i beczki na ropę. Na środku mieści się warsztat z blachy falistej, tuż obok zapadającej się przyczepy kempingowej z brudnymi firankami, w której mieszkają stary MacGillavry i Jednooki. Wiem, jaka panuje tam woń - zatechłych skarpetek i owsianki.

Wrak stoi przed warszatem oparty na ceglach. To corvette. Dell uważa, że to corvette z podrasowanym silnikiem. Ale mnie nic na ten temat nie wiadomo - nigdy nie słyszałam tego silnika, wydaje się zimny i martwy. Wrak zawsze spoczywa na tych ceglach - nigdy nie widziałam, by mógł się pochwalić kompletem kół, i sądząc z tego, jak wygląda, okaleczony i oszpecony, nigdy ich nie dostanie. Ale stary MacGillavry go uwielbia. Spod martwej corvette zawsze wystają jego stopy, kiedy próbuje ją nasmarować i przywrócić do życia.

Przyszliśmy z tyłu parceli wzdłuż starego ogrodzenia z drutu kolczastego i przeszliśmy przez ulicę. Staliśmy zbici w gromadkę i patrzyliśmy, jak wrak nas obserwuje.

- No już, dalej - powiedział Jeremiah.

- Idę, idę - odparł Dell. - Tylko się przygotowuję, dobrze?

Jeszcze raz przeszedł przez ulicę i kręcił się nerwowo przed bramą. Wykonywał takie ruchy, jakby miał rzucić się przez dziurę na dole płotu - ruszał do przodu, schylał się, a potem zatrzymywał i udawał, że strzepuje z siebie kurz, jakby właśnie to zamierzał zrobić.

- Wiedziałem, że nie ma odwagi - powiedział Jeremiah pyszałkowato.

Dell pochylił się i zanurkował pod rozdarcie w siatce, potem pobiegł zwirowym podjazdem prowadzącym wprost do wraku.

Wyciągnął rękę, poklepał powyginaną maskę i nisko pochylony ruszył biegiem z powrotem. Przeczolgał się przez dziurę, zaczepiając o poszarpany drut, potem przebiegł obok nas, nie próbując nawet przekonać się, czy MacGillavry, jego strzelba i jego wyjący jednooki pies go gonią. Ruszyliśmy w ślad za nim.

- Jezu! - krzyknął Jeremiaś. - Poszczu!ł na nas Jednookiego! Biegiem! Wyprzedził Della, który próbując zerkać za siebie, potknął się i jak długi upadł na asfalt. Jęknął, potem podniósł się z wrzaskiem. Kiedy biegł, ciekło mu z nosa.

Zatrzymaliśmy się dopiero, gdy znaleźliśmy się na końcu ulicy, zgięliśmy się wpół, głośno dysząc i popatrzyliśmy do tyłu. Parcela 136

była taka sama, zaniedbana i ponura, ale kiedy lepiej się przyjrzałam, dostrzegłam za płotem Jednookiego. Siedział zupełnie nieruchomo, obserwował nas, jakby był tam przez cały czas, choć tak naprawdę go tam nie było. Potem jego ucho drgnęło. I wszystko znów znieruchomiało.

Teraz Jeremiaś pamięta jedynie wrzaski Della.

- Nie. Nie wrzeszczałem - Dell jąka nieprzekonująco.

- Właśnie, że wrzeszczałeś. Słyszałem. Wszyscy słyszeliśmy. - My byliśmy świadkami. Teraz triumfalnie kiwamy głowami.

Tym razem to Dell rzucił nam wyzwanie, które nie było trudne.

- A jeśli to są ruchome piaski, wciągną nas i nigdy się z nich nie wydobędziemy? - pyta Cia melodramatycznie, tak naprawdę nie wierząc w to, co mówi.

- Co ty, to nie są ruchome piaski - odpowiadam pogardliwie, jak człowiek, który wie wszystko. Opowiadanie potwornych historii nie jest przywilejem Cii. Zrzucam takkies i brnę boso z chlupotem przez błoto. Dell nie pozwoli, by go to ominęło, i minutę później brnie w ślad za mną. Cia brnie na końcu.

Nie przechodzimy jednak więcej niż kilka kroków, gdy zatrzymuje nas żalosne skomlenie. Obracamy się i widzimy Moosejawa, który gorączkowo drapie ziemię na skraju błotnego bajorka. Ma na sobie skarpetki z mułu, zatem najwyraźniej odważył się wejść do błota, po czym zaraz się cofnął.

- Chodź, Moosejaw! - woła Cia zachęcająco.

Moosejaw patrzy na nią błagalnie, potem z wahaniem wykonuje krok do przodu. Natychmiast zapada się o kilka cali, potem jego pątkowate nogi rozjeżdżają się pod nim. Skowyczy i gramoli się z powrotem na suchy ląd. Dell wybucha śmiechem. Moosejaw nie potrafi zmierzyć się z melasowatym błotem, nie potrafi też znieść pozostania za nami. Znalazł się więc w bardzo trudnym położeniu.

- Chodź, Moosejaw! Uda ci się! - ponaglęm go, ale on nadal nie rusza się z miejsca.

- No cóż, dobrze - mówię - będzie musiał tu poczekać, dopóki nie

wrócimy.

Cia przytakuje i obracamy się, by znów ruszyć przez bajorko, na co Moosejaw skomle, jakby zadano mu śmiertelne rany. Znów się obra-
137

camy i widzimy, jak jeszcze raz rzuca się śmiało w mokradło, wpada w poślizg i wywraca się w środku, młóćąc nogami.

- Ag! To straszne! Biedny Moosejaw - woła Cia. Człapiemy do miejsca, gdzie leży zupełnie bezwładnie, i staramy się mu pomóc.

- Dobrze, przeniesiemy go - decyduje Dell. Podnosimy więc Moosejawa i taszczymy go pomiędzy sobą, stękając z wysiłku. Dla Moosejawa to także nie jest wygodne, ale przez całą drogę niestrudzenie macha ogonem.

Kiedy docieramy na drugą stronę, kładziemy go na oblepionej schnącymi glonami skale i zauważamy, że wylot jaskini znajduje się prawie nad naszymi głowami. Musimy podciągnąć się ponad krawędź, potem się pochylić, by wciągnąć psa za kark. Dopiero gdy dostajemy się do środka, spoceni z wysiłku, przypominam sobie, że należy tu odczuwać zabobonny lęk.

Zerkamy trwożliwie w mrok. Powoli nasze źrenice rozszerzają się i możemy rozróżnić kształty i cienie. Jaskinia nie jest głęboka, może trochę więcej niż trzy i pół metra, ale na końcu rozchodzi się tunelami, Bóg wie dokąd. Jej szerokość nie przekracza dwóch metrów, sufit zaś - mimo, że rozpościera się wysoko nad nami - nie osiąga pewnie nawet wysokości dorosłego mężczyzny. Podłoga i ściany są chropawe, chłodne w dotyku i cuchną stęchlizną od wiecznej wilgoci. Nagle Moosejaw odkrywa górkę prochów z tyłu jaskini. Podchodzimy i klękamy obok nich - chrzęszczą od starych tajemnic.

Cia gwałtownie nabiera powietrza.

Przystrajają mały występ skalny za prochami. Każda możliwa warstwa skalna jest ozdobiona jedną z nich. Ludzkie czaszki, całe tużyny, szczerzące się w ciemności. Dostrzegamy też wielki stos ludzkich kości, ułożonych w rogu - kości udowe, kręgi, żebra - w wielkim nieładzie leżą też oszczepy, groty strzał, gliniane czerepy, skóra i koraliki.

Cia robi krok w tył. Potyka się, gdyż chce pośpiesznie stąd uciec.

Stoję nieruchomo, ale tylko dlatego, że zeszywniałam ze strachu.

Potem mnie oświeca - groby Shangani. A/s na farmie, zwłaszcza umkhulu, często mówią o starych grobach Shangani na wzgórzach, które czasem z nadejściem deszczy rozmywają się, odkrywając szkielety i budząc złość przodków. Ziemia jest przeklęta z powo-
138

du tej profanacji. Może zamieszkujący kiedyś tę jaskinię stary n'anga ocalił szkielety, które spływały do rzeki, być może starał się przywrócić im świętość, ukrywając je w tej krypcie. A teraz odkryliśmy tę tajemnicę.

- Cia! Hej, Cia! - szepczę teatralnie. - Wracaj. Myślę, że to martwi Shangani.

Cia przyczołguje się do mnie i klęczymy razem, wpatrując się w rząd czaszek, dopóki Moosejaw nie decyduje się wygrzebać jednej z nich i chwycić w pysk.

- Hej, Moosejaw! Puszczaj! - rozkazuję mu, ale on mnie ignoruje i próbuje uciekać z czaszką zaciśniętą w szczękach.

- Łap go, Dell! - krzyczę.

Rzucamy się do przodu i chwytamy psa, potem próbujemy wyrwać czaszkę z jego żelaznego uścisku. W końcu rezygnuje ze zdobyczy i nadąsany wycofuje się na przód jaskini.

- Fuj! - mówi Dell, trzymając zaślinioną przez Moosejawa czaszkę. To narusza nabożny nastrój i oboje chichoczymy.

- Jezu, tu jest maningi czaszek - odzywa się Cia niefrasobliwie, by zatrzeć wrażenie wcześniejszej ucieczki, potykania się i tego wszystkiego.

Nagle Moosejaw warczy groźnie ze swojego punktu obserwacyjnego przy wejściu do jaskini - nieomylny znak obecności intruza. Cia i ja nieruchomiejemy, potem odwracamy się, by stawić czoło obcemu, ktokolwiek to jest. Nad krawędzią ukazuje się głowa - nie widzę twarzy, gdyż pada zza niej światło - i słychać przyjazny głos.

- Hej, co robicie?

Twarz Cii się napina. Ronin podciąga się do jaskini, wypełniając ją swoim cielskiem.

- No co ty, Moosejaw, wiesz, że to tylko ja - mówi, jak gdyby Moosejaw nie jeżył się właśnie z powodu jego obecności.

Dlaczego nas śledził? W mojej głowie odzywa się ostrzegawczy głos.

- Cześć, Ronin - mówi Dell i wydaje się zaszczycony.

- Yhmm, cześć - jąkam się, starając się, by mój głos brzmiał swobodnie.

- Zobacz, co znaleźliśmy - odzywa się Dell z namaszczaniem.

139

Ronin podchodzi, a my szuramy kolanami, rozsuwając się na boki. Gwiżdże z uznaniem, kiedy widzi, że znajdujemy się w komorze grobowej. Informuję go o mojej teorii o Shangani.

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć Jobe - oznajmia Cia w ciszy, która zapada. - A/s uznają, że to zdejmie klątwę.

- Tak, tak. Przypuszczam, że tak pomyślą - duma Ronin. Cia spogląda na niego podejrzliwie przez zmrużone powieki, jakby odpowiednio ograniczenie pola widzenia mogło pomóc jej w dostrzeżeniu jego ukrytego motywu. A on uśmiecha się do niej tak ciepło, że zauważam, iż zbija ją to z tropu.

- Chodźcie, zabierajmy się stąd - mówi.

Dalsze kręcenie się tutaj wydaje się bezcelowe, więc odwracamy

się i gęsiego suniemy do wyjścia. Ronin pomaga nam zejść na dół i znów brniemy z chlupotem przez błoto. Ronin bez wysiłku niesie Moosejawa. Sierść na grzbiecie psa nadal jest nastroszona, a na jego pysku maluje się wyraz niezadowolenia. Nagle wydaje z siebie przenikliwy pisk. Cia i ja obracamy się i widzimy, jak krzywi się z bólu.

- Przepraszam - mruczy Ronin. - Chyba przez przypadek uszczypnąłem go w ogon.

Cia wygląda na zdenerwowaną, ale nic nie mówi. Ani ja. Dochodzimy do drugiego brzegu bez dalszych incydentów. Ale zanim udaje się nam wygramolić na suchy ląd, na moich plecach ląduje packa błota. Zerkam do tyłu i widzę, jak Ronin rzuca następny placek w kierunku Cii - uśmiecha się szeroko i widzę, że specjalnie nie ciska błota z dużą siłą. Cia odwraca się do niego, wygląda na zaszokowaną, potem chichocze trochę niepewnie.

- Dawaj! - krzyczy Dell. - To jest wojna!

Nieoczekiwanie dla siebie samej pochylam się, nabieram garść gęstej mazi i ciskam nią w Ronina. Cia też rzuca w niego, ale nieskutecznie, potem celuje w Della i trafia go prosto w klatkę piersiową. A w następnej chwili nasza zabawa zamienia się w bezpardonową walkę. Powietrze staje się gęste od błotnistych pocisków, a my krzyczymy i ślizgamy się w bajorku. Moosejaw biega jak oszalały wzdłuż brzegu i szczeka z całych sił. W końcu przypominamy ludzi, jakich lubimy rzeźbić z błota i suszyć na słońcu, i tylko białka naszych oczu zdradzają, że jesteśmy z krwi i kości. Przesuwamy się w szlamie do 140koryta rzeki i w ubraniach zanurzamy się w wodzie. Potem wlecziemy się do domu, przemoczeni, utyłani błotem i zadowoleni z siebie.

Kiedy schodzimy z ostatniego tarasowego zbocza, kierując się na tyły farmy, widzimy Oupa siedzącego przy kuchni na stoep - pełni swoją koczokodanową wartę. Jobe opiera się o framugę drzwi. Mogę przysiąc, że kiedy Ronin zauważa Oupa, odruchowo sztywnieje. Oupa przygląda się, jak nadchodzimy. Kiedy tylko zbliżamy się na tyle, by go słyszeć, zauważa:

- Popatrzcie tylko, wygląda jak wieprz zaraz po grzebaniu w korycie. Niestety na plamach z błota podobieństwo do świni się nie kończy.

- Te słowa wyraźnie skierowane są do Ronina.

Chłopak stoi bez ruchu i przez długą minutę wpatruje się w Oupa. Może to przez swój dobry nastrój robi coś, czego nie robił nigdy wcześniej.

- Dlaczego ja?

To pytanie napotyka ciszę.

Potem Ronin, odważniejszy z powodu tej ciszy, pyta dalej:

- Dlaczego jestem świnią?

Cia i ja stoimy równie nieruchomo, przygotowując się na to, co wyjdzie z ust Oupa, i nie jesteśmy świniami, które byłyby na tyle głupie, by odpyskowywać.

- Z tego samego powodu, z którego nigdy nie nazwiesz miana O'Callohan własnym - odpowiada Oupa, zimno i starannie. - Nie jesteś tego godny. Masz w sobie coś podłego - podłego i nędznego. Cuchniesz małymi brudnymi sekretami i kłamstwami, takimi samymi jak te, z których się wzięłeś.

Ronin kuli się i przelotnie jeszcze raz pokazuje się jego stare wcielenie. Odwraca się i odchodzi.

Podobnie jak Cia, czuję zakłopotanie z powodu obecności Della.

Udajemy więc, że całego tego zajścia po prostu nie było. Truchtamy po schodach obok Oupa i wpadamy do kuchni, by powiedzieć Jobe o naszym odkryciu. Tak jak oczekiwaliśmy, Jobe jest pod wielkim wrażeniem naszych rewelacji.

- Eish, dzieciaki, to wielka indabal

Następnego dnia jest niedziela i dzień odpoczynku, więc Jobe i kilku umkhulu zostaje wybranych, by poszli do jaskini przy wodospadzie

141

i zobaczyli wszystko na własne oczy. Czekając na ich powrót, Cia i ja kręcimy się niecierpliwie przy nieukończonym khaya i spodziewamy się zasłużonej chwały. O zachodzie słońca Jobe i niektórzy z pozostałych mężczyzn ukazują się na skraju lasu, niosą jakąś skrzynię.

Natychmiast ruszamy w ich stronę.

- I co, Jobe, czy to martwi Shangani?

Jobe potrząsa głową tajemniczo.

- Idźcie teraz do środka, maluchy.

Stoimy rozczarowane, kiedy oni przemaszerowują uroczyście obok nas. To straszny policzek, naszym zdaniem. To my ryzykujemy życiem, wczolgując się w ciemności jaskini, która roi się od Bóg wie jakich bagiennych stworzeń i duchów n'anga, czających się wśród cieni, znajdujemy tych martwych Shangani i w podziękowaniu słyszymy „odczepcie się”.

Tego wieczoru po obiedzie Jobe wchodzi na stopnie stoep, gdzie wszyscy siedzimy - a to bardzo niezwykle najście po zmroku. Cia i ja prostujemy się, zainteresowane tym, dlaczego przyszedł.

- Och, Mama, och, Baba. - Shyla głowę w kierunku Mamy i Oupa.

Potem, grobowym głosem informuje mnie i Cię, że kiedy on i inni umkhulu dotarli do jaskini, znaleźli większość czaszek rozbitych na kawałki. Jesteśmy zszokowane. Natychmiast wyciągamy szyję, by zobaczyć Ronina. Stoi niedaleko i się nam przygląda. Czy to, co gości na jego twarzy, to uśmieszek? Nawet jeśli tak, to szybko znika, teraz Ronin patrzy chłodno na Jobe, potem na nas i mówi ze współczuciem:

- Boże, jakie to okropne, nie mogę sobie wyobrazić, jak to się mogło stać. -I znowu jesteśmy zbite z tropu.

Jednego jednak jestem pewna - to on zniszczył te czaszki i, co więcej, bez wątplenia ma świadomość, że my o tym wiemy. Nie jest

tak, jak przy śmierci Grovera, kiedy chciał zachować wszystko w tajemnicy. Tym razem dokonał Aktu Profanacji i zdaje sobie sprawę, że musimy go o to podejrzewać. Panująca między nami cisza to rodzaj testu, gry, którą wygrał. To dało mu władzę. A Mama pozostaje ślepa na wszystko.

17

„Obelga” to słowo, które oznacza sączącą się z czyichś ust truciznę. Oupa obrzuca Ronina obelgami jak plująca kobra, ale to my będziemy musiały za to zapłacić. Czuję to w moich trzewiach, kiedy czekam na dzień zapłaty.

Ja i Cia, i Oupa siedzimy na stoep, sącząc sok pomarańczowy Mazoe. Oupa dąsa się - nie wolno mu wypić pierwszego ginu przed zachodem słońca, a to Mama określa, kiedy słońce zachodzi. Dąsa się tak bardzo, od kiedy Mama narzuciła piekielną zasadę zachodzącego słońca, sprawiającą mu cierpienie, jakiego nawet Szatan i jego Nikczemni Słudzy nie kazaliby odczuwać staremu człowiekowi, który po prostu pilnuje swoich spraw. Oczywiście żałujemy, że to zrobiła. Oupa mówi, że pił tylko dlatego, byśmy wydawali mu się bardziej interesujący, a my ponuro siorbiemy nasze mazoe.

Moosejaw wybiera tę chwilę siorbania, by okazać swoją miłość i lojalność wobec Oupa. Podskakuje na tylnych nogach, okłada Oupa przednimi i dyszy, a jego ogon porusza się tak szybko, jakby zaraz miał oderwać się od ciała. Oupa odpycha Moosejawa i szorstko oznajmia mu, że przynosi hańbę psiemu gatunkowi i jest odrażającą małą szuja, której nie chcieli nawet munts - a oni jedzą wszystko.

Moosejaw skomle.

- To płaszczenie się, dziewczynki. Płaszczenie się po to, by zdobyć miłość. Żalodne. Czy mamy tutaj więcej takich, którzy bezwstydnie się płaszcą? Niech przemówią teraz.

Nikt się nie odzywa.

143

- Czy myślicie, że wasz pradziadek płaszczył się na brzuchu o cokolwiek w całym swoim życiu? Niech przemówią ci, którzy sądzą, że pradziadek się płaszczył.

Nikt się nie odzywa.

- Płaszczenie się to bezwstydną rzecz, a O'Callohanowie nie są znani z bezwstydnosci. Z drugiej strony munt płaszczy się przez całe życie. Zaczyna, kiedy matka wciąż wyciera jego nos, i robi to nadal, gdy w dzień Sądu Ostatecznego Belzebub przygotowuje dla niego piekło. Powiedzcie więc, z czego nie są znani O'Callohanowie?

- Z płaszczenia się na brzuchach i z bezwstydnosci, Oupa.

- Teraz, jeśli usłyszę jeszcze jakieś płaszczenie się w tej okolicy, w ruch pójdzie moja laska. Co pójdzie w ruch, dziewczynki?

- Laska, Oupa.

- Laska będzie smagać, dziewczynki. Laska zaświszcze w powie-

trzu i wylądaje na plecach tego, kogo przyłapano na płaszczeniu się na brzuchu. Gdzie wylądaje, dziewczynki?

- Na tym, kto się płaszczy, Oupa.

- Przyłapanym na czym?

- Na płaszczeniu się na brzuchu, Oupa.

Spogląda w dół na Moosejawa.

- Teraz spieprzaj! Nie wiesz, że nie można błagać o miłość? Jesteś tylko pasożytniczym krwiopijcą, bezużytecznym tak dla ludzi, jak i dla zwierząt, i znalazłeś się tu tylko dzięki miłkiemu sercu mojej synowej. Gdyby to zależało ode mnie, ty mały, płaczliwy nędzniku, twoja buda byłaby sześć stóp pod ziemią!

Moosejaw nadal radośnie okłada Oupa łapami, ślepy na przykrą kwestię bycia małą, odrażającą kreaturą, płaszcącym się i pasożytniczym krwiopijcą, który został odtracony przez obiekt swoich uczuć. Oupa go nie powstrzymuje.

Następnego dnia Cia i ja gramolimy się na ścianę pierwszego tarasu

- Jobe powiedział nam, że zmieniła się pora roku, i choć nie można jeszcze zauważyć zmian w powietrzu, to od dawna wiemy, że Jobe ma w sobie barometr i że jeżeli przepowiada wiosnę, to wiosna przychodzi, już kiedy on wypowiada te słowa. Zamierzamy przeczesać jałowe teraz tarasy w poszukiwaniu dowodów.

144

Nie znajdujemy wiosny, ale kucając na ziemi, śledzimy wyprawę po niewolników. Teren wokół nas gotuje się od mrówek - czerwone mrówki zwierają się w walce na żuchwy z czarnymi. Agresorami są te czerwone. Czarne leżą martwe lub umierające wokół swoich gniazd - a te okaleczone dzielnie walczą dalej. Czerwone pokonają armię czarnych i pojną ukryte w kokonach poczwarki, których instynkt, kiedy już się wylęgą, każe im akceptować towarzyszek z gniazda - staną się więc ochotniczymi niewolnikami swoich porywaczek. Nie chcę już na to patrzeć. Żal mi czarnych mrówek.

Kiedy obchodzimy wielki głaz, obrośnięty korzeniami dzikiego drzewa figowego jak nerwami, ktoś na nas syczy.

- Hej! Hej wy, smarkule! - szepcze Ronin ochryple.

Odwracamy się i widzimy go, przykucniętego w małym żlebie, wypłukanym przez wodę wypływającą z drugiej strony głazu. Wydaje się, że ukrywa coś pomiędzy nogami, pochylamy się więc i dostrzegamy, że to Moosejaw. Ronin zawiązał mu sznurek wokół szyi. Moosejaw zachowuje się niezwykle uległe - stoi nieruchomo, z opuszczoną głową. Kiedy nas zauważa, nerwowo macha ogonem na powitanie, ale to wszystko. Może wyczuwa niebezpieczeństwo i uważa, że jeśli nie będzie prowokował Ronina, może w jakiś sposób tego niebezpieczeństwa uniknąć.

Ronin się podnosi. Przygląda się nam, kiedy my ogarniamy wzrokiem rozgrywającą się przed nami scenę, która wydaje się bardzo

teatralna. Potem mówi, naprawdę wolno, jakby się zastanawiał:

- Cóż, słyszałyście waszego dziadka, prawda? To znaczy byliście tam, prawda? Siedziałyście jak dwa przymilne szczeniaki, liżące jego stopy. Więc co powiedział? - Przekrzywia głowę. - A tak, teraz sobie przypominam: nikt nie chce pasożyta, czyż nie tak? Wykorzystującego poczucie winy innych, nie mam racji? - Jego głos, normalnie słodki jak miód, teraz ocieka obelżywością tak charakterystyczną dla Oupa, jakby wypluwał ją z powrotem.

- Haniebne kundle powinny mieć budy... Jak on to powiedział?

Jak powiedział? Chyba to było sześć stóp pod ziemią.

Po odegraniu tego przedstawienia ciężko oddycha. Cia i ja, podobnie jak Moosejaw, nie wydajemy z siebie żadnego dźwięku, kiedy Ronin wyolbrzymia słowa Oupa. Tak naprawdę nie rozumiałam ich,

. 145

gdy Oupa je wypowiadał, i nie wiedziałam, że Ronin tam był i nas szpiegował, rozumiem jednak, że to oznacza coś złego.

- Więc zdecydowałem się wyświadczyć staremu Oupa przysługę.

I tak nie mam tu wystarczająco dużo obowiązków, więc postanowiłem pomóc mu w oczyszczeniu tego miejsca ze szkodników.

Potem podchodzi do tarasu i szarpie za pętlę na szyi Moosejawa.

Moosejaw spieszy za nim, pragnąc go zadowolić.

- Chodźcie - zaprasza nas Ronin swoim nowym cukierkowym głosem.

Prowadzi nas w górę stoku. Moosejaw, Cia i ja tworzymy za nim ociągającą się procesję. Czuję ucisk w dołku. Boję się i lęk musiał stępić mój umysł. Wlokę się ciężko za Roninem, niezdolna do tego, by myśleć, czy też zrobić cokolwiek innego. Cia wydaje się równie oszołomiona. Ciągnie się za mną z przerażeniem malującym się na jej drobnej twarzy. Moosejaw, z ogonem między nogami, nawet nie ogląda się, by na nas spojrzeć.

Późnozimowe, popołudniowe słońce, chociaż pozbawione mocy, i tak wnika w czarną ziemię, aż emituje ona ciepło - kiedy wdrapujemy się w górę stromych zboczy, pomiędzy moimi łopatkami spływa pot. Zalewa mi też oczy i zamienia Ronina w piekący, rozedrgany miraż. Na języku czuję słony smak zła. W końcu zblizamy się do kępy zwęglonych szkieletów drzew msasa i Ronin zwalnia. Kiedy wchodzimy pomiędzy martwe drzewa zagajnika, widzę przed nami świeżo wykopany dół w ziemi. Ma powierzchnię około pół metra kwadratowego, ale jest o kilka centymetrów głębszy niż jego boki. Po chwili dostrzegam strzelbę leżącą przy pniu drzewa. Mam wyraźne przeczucie, co stanie się później.

Do tej pory procesja była uroczysta, jakbyśmy znajdowali się w kościele, ale Ronin skończył z kościołem. Chwyta Moosejawa za kark i brutalnie wpycha do dołu. Moosejaw nawet nie protestuje, koniuszki jego uszu wystają nad krawędź wykopu, kiedy tak wpatruje się w Cię

i we mnie. Zastanawia mnie to. Dlaczego Moosejaw, który kiedyś walczył jak szalony, by się uratować, teraz tak po prostu się poddaje? Dlaczego nie rzuci się na Ronina, nie przewróci go i nie odgryzie mu twarzy, gdy on będzie rękami młócił powietrze? Dlaczego my tego nie zrobimy? Jednak wyraz oczu Moosejawa nie zdradza lęku. Nie 146

dostrzegam w nich też desperacji. Patrzy prosto na nas. Czy szuka pocieszenia? Nawet nie spogląda na Ronina, gdy ten celuje do niego ze strzelby. Cia i ja odwzajemniamy jego spojrzenie. Kiedy Ronin naciska spust, Moosejaw nie wydaje żadnego dźwięku. Kula wbija się w jego ciało. Szarpie się raz, po czym leży nieruchomo.

W tym momencie słyszę zduszony krzyk Cii. Wrywa rękę z mojej dłoni i biegnie z powrotem w dół z bocza. Biegnę za nią i łapię ją niedaleko w chwili, gdy się potyka. Wstrząsają nią torsje, wymiotuje na ziemię. Na kamieniach pojawiają się plamy żółci. Klękam przy niej i próbuję ją objąć, łzy zalewają mi oczy i zatykają gardło, oddech świszczuje mi w uszach.

Ronin, który zastygł w pozie, w jakiej pociągał za spust, nagle wychodzi ze swojego stuporu. Biegnie w naszym kierunku wielkimi susami i kiedy się zbliża, widzę na jego twarzy straszny wyraz. Już się tym nie przejmuję. Chwyta mnie za włosy, szarpie moją głowę do tyłu i czuję, jak wrywa mi włosy. Potem warczy dziko prosto w moją twarz:

- Nigdy, przenigdy nie puścisz o tym pary z ust, słyszysz?

Wpatruję się w niego, zbyt ogłuszona, by zrobić cokolwiek innego.

- W przeciwnym razie, ja... Ja... Widziałaś! Widziałaś, co stało się z... - mówi zdławionym głosem, prawie tak, jakby obawiał się samego siebie. Po chwili, jak się wydaje, odzyskuje nad sobą kontrolę. Jeszcze raz szarpie mnie za włosy, obraca się i ucieka w dół stoku.

Cia i ja długo stoimy w tym samym miejscu. Cia kołysze się w tył i w przód, łzy spływają strumieniami po jej twarzy. Trzymam ją w ramionach, próbuję pocieszyć, ale sama też łkam, całe moje ciało wstrząsane jest łkaniem.

W końcu, kiedy cienie się wydłużają, podnosimy się z ziemi i wspinamy z powrotem do otwartego grobu Moosejawa. Wiemy, że trzeba to zrobić. Patrzymy w dół na jego małe poszarpane ciało, obie milczące, a potem z drżącym westchnieniem Cia mówi, że powinniśmy odpowiednio go pochować. Zасыpujemy dół gołymi rękami - ziemia odrywa skórę z moich miękkich dłoni, pył wchodzi mi głęboko pod paznokcie i powoli okrycie z futra, jakie ma na sobie Moosejaw, zamienia się w okrycie z ziemi. Jakby był tylko śmieciem. Ostatnie, co zauważam, to to, że jego wargi są trochę wydęte - kundlowata wersja 147

Elvisa Presleya. Kiedy praca jest zakończona, stoimy razem przy jego grobie, nie wiedząc, co robić dalej. Potem śpiewamy to, co zdołałyśmy

zapamiętać z „Ojcie nasz”.

Po „amen” powoli schodzimy w dół. Brudną, znaczoną łzami twarz Cii oświetlają ostatnie promienie słońca.

18

Mama myśli, że przyczyną naszego smutku jest ucieczka Moosejawa. Pierwszego wieczoru, gdy nie przyszedł do domu na obiad, widziałam, że Mama się martwi. Moosejaw nigdy wcześniej nie zrezygnował choćby z zapachu jedzenia. Jednakże mówiąc nam, że po prostu zawędrował za daleko, zgubił się i bez wątpienia znajdzie drogę do domu - brudny i głodny, ale cały - próbowała przekonać o tym siebie samą. Dwa wieczory później, kiedy nadal nie było śladu Moosejawa, który do tej pory byłby w gorszym stanie niż tylko brudny i głodny, naprawdę zaczęła się o niego martwić. Następnego dnia osiodłała dwa konie i wyjechała z Jobe go szukać. Wrócili późno, linie wokół Mamy oczu pogłębiły się od brudu i zmęczenia. Rano zebrała wszystkich pracowników rolnych i obiecała nagrodę dla tego, kto wie coś o Moosejawie. Jednak nikt nie wystąpił do przodu.

Wiem, dlaczego linie wokół oczu Mamy są tak głębokie. Jest wystraszona i to nie tylko dlatego, że Moosejaw zaginął. To raczej przyczyna jego zniknięcia przejmuje ją strachem. W wieczór poprzedzający wyprawę poszukiwawczą siedziałam na schodach, oplatając rękami balustradę, i słyszałam, jak kłóci się o to z Oupa. Kiedy Terrowie zamierzają zaatakować jakąś farmę, przekazują znak. Mordują psa z tej farmy. Nabijają martwego psa na pal, który umieszczają na granicy posiadłości. Oupa uważa, że Terrowie schwytali Moosejawa. Mama powtarza, że nie znikłby tak po prostu, że Terrom nie wystarczyłoby zwyczajnie go zabić - zrobiliby wszystko, byśmy zobaczyli jego spowiewiane ciało - zatem, jeśli nie ma ciała, nie będzie ataku. Ale wiem, że i tak się boi. Oupa mówi raz po raz:

149

- Tak czy siak zniknięcie tego psa to zły omen. -I nie myli się.

Piątego wieczoru Jobe, trzymając w ręku zniszczony filcowy kapelusz, z poważną twarzą wspina się na stopnie stoep, gdzie wszyscy siedzimy.

- Och. Och, Mama - zwraca się do Mamy, powoli wypowiadając słowa. - Chcę pani powiedzieć... nie jest dobrze. Inja, on przepadł. Coś złego, bardzo złego dzieje się z inja.

Przez chwilę nie mówi nic więcej. Potem potrząsa głową z namysłem i mówi coś dziwnego:

- Myślę, że to był szakał. To był szakał, on go zabił.

Przychodzi mi na myśl n'anga z Wielkiego Zimbabwe.

Potem powoli i z namysłem odwraca głowę i patrzy prosto na

Ronina, który kręci się blisko, słuchając tej rozmowy, jak zawsze, kiedy pada imię Moosejawa.

Zapada długotrwała cisza. Jobe wpatruje się w Ronina intensywnie.

Ten odwraca wzrok.

Wtedy Mama wzdycha, podnosi spuszczone głowę:

- Tak. Dziękuję, Jobe. Sama zaczynałam się tego obawiać.

Cia i ja siedzimy sztywno i w milczeniu. Za każdym razem, kiedy wymawiane jest imię Moosejawa, Cia wpatruje się w jeden punkt, a jej twarz przybiera wyraz bliski stężeniu pośmiertnemu. Po oświadczeniu Jobe na temat losu Moosejawa coś w niej jednak pęka.

Rano ona i ja siedzimy na skraju ogrodu, tam gdzie zaczynają się zaczernione tarasy. Teraz można tu znaleźć tylko martwe rzeczy. Cia koncentruje się na dołkach mrówkolwów i posługując się gałązką, stara się uratować uwięzioną mrówkę - zwabiają na tę tratwę ratunkową. Wtedy pada na nas cień Jobe. Kiedy spoglądamy w górę, on chrząka nieśmiało i wiemy, o czym chce porozmawiać. Kuca, ponownie chrząka, spluwa na ziemię i patrzy na nas spod przymrużonych powiek. Cia i ja patrzymy na niego w ten sam sposób. Wreszcie Jobe odzywa się:

- Inja Moosejaw jest z mudzimu.

Chcę w to wierzyć, jednak nigdy nie słyszałam o psie, który dołączyłby do zastępów duchów przodków, więc jestem sceptyczna, a ten sceptycyzm gasi moje pragnienie, by wierzyć. W obliczu moich wątpliwości Jobe ze śmiertelną powagą przechyla głowę na bok

150
i mówi więcej. Moosejaw należy do mangozi - duchów starożytnych wojowników - który po prostu przybrał postać inja.

Cia z całą pewnością jest pod wrażeniem. Po rozważeniu słów Jobe przez chwilę nawet moje wątpliwości się rozpraszają - zmarli niejednokrotnie pojawiają się przecież jako zwierzęta, robią to równie często, jak komunikują się z żywymi poprzez sny, przepowiednie i n'ganga i to, że Moosejaw należy do mangozi, wyjaśnia szlachetność jego ducha.

Teraz, kiedy Moosejaw wrócił do krainy umarłych, będzie naszym duchowym stróżem. Będzie nas chronił od złego - nigdy nie działa się odwrotnie. Możemy też modlić się do niego, kiedy tylko zechcemy.

- Kiedy tylko zechcemy? - pyta Cia, a łzy nadziei spływają swobodnie po jej twarzy.

- Jedyne zło, jakie możesz wyrządzić mudzimu, to o nim zapomnieć.

Jego słowa to balsam dla uszu Cii - także dla moich. To, że Moosejaw przyszedł do królestwa ziemskiego jako gość z królestwa duchowego, przydaje jego śmierci znamion przeznaczenia. To było jego przeznaczenie - jego ciało było pożyczone, tak jak jego czas na świecie. A to, że nas chroni, jest nicią, która wiąże nas z obydwoma tymi królestwami.

Jednak Cii to nie wystarcza. Wiem, że przez kolejne dni wiele myślała o tym, co powiedział Jobe, i chociaż jego słowa - że śmierć nie

jest śmiercią - przyniosły jej spokój, nadal uważa, że Moosejaw został skrzywdzony.

Jest noc, a my klęczymy na moim łóżku, spowite w sekretną, cieni-
stą przestrzeń poniżej zwojów butelkowitzelonych zasłon w tureckie
wzory i przyciskamy twarze do zimnych szyb. Cia odwraca się do
mnie i szepcze:

- Nyree, a jeśli on zamieni się w ngozi?

Czasem, kiedy ktoś zostaje zamordowany, jego duch ulega wynatu-
rzeniu wskutek tego, co przydarzyło mu się na ziemi, i staje się mści-
wy, zły. Afs obawiają się prześladowań ze strony ngozi. Cia przeszukała
naszą skarbnicę afrykańskiej tradycji ludowej i znalazła tam ngozi,
i teraz trzęsę się na wyobrażenie Moosejawa, z oczyma błyszczącymi
w ciemności jak dwa demoniczne węgielki, z nastroszoną sierścią
i odsłoniętymi kłami, ślepego na Cię i na mnie, które kiedyś kochał.
Ma duszę czarną jak noc.

Mówię Cii, z tak wielką pogardą, na jaką mnie stać, by nie była
głupia, ale ona wyczuwa mój lęk.

- Hej, a skąd to wiesz?

- Bo Jobe nic o tym nie mówił - wiem, że ten argument jest zupełnie
niewystarczający.

Milczymy, obie nękane wizją naszego ukochanego zamordowanego
Moosejawa, cierpiącego męki niekończącej się ciemnej nocy w jego
duszy. Ale Cia nie jest jedyną osobą wtajemniczoną w kult zmarłych.
Wpadam na pomysł, jak możemy się ratować.

- Cia. Hej, Cia, musimy odprawić murombo.

Murombo to rytuał oczyszczający skażone miejsce. Kiedyś A/s prze-
prowadzili taki rytuał przy drzewie, na którym powiesił się Jonsai,
pracujący wcześniej przy ogrodzeniach, a jego niespokojna dusza
opuściła ciało w nocy i wałęsała się dokoła, przeszkadzając ludziom
chodzić wieczorami tam i z powrotem wokół kraal. Przechodnie widy-
wali migające w lesie światełka i słyszeli stłumione krzyki - wydawało
się, że źródło dźwięku znajduje się przed nimi, lecz kiedy przeszli
kawałek drogi, krzyki napływały z za ich pleców. Ponieważ jednak
duchy przez jakiś czas trzymają się blisko swojego grobu, poświęcenie
miejsca, gdzie zginął Moosejaw, wydaje się sensownym pomysłem.
Cia jakby tego oczekiwała.

- Ja! Ja, odprawmy murombo. - Po czym natychmiast następują
słowa: - Kiedy to zrobimy, Nyree?

Jest tak, jakby to Cia była teraz wodzem - a ja tylko wypełniam
polecenia.

- Yhm, przy następnej pełni księżyca.

Nie mam pojęcia, kiedy będzie następna pełnia. Cia zgadza się
z moją decyzją - pełnia zawsze dobrze wróży magicznym rytuałom.
Potem dodaje coś dziwnego i złowieszczonego:

- Dopiero kiedy przeprosi, przeprosi za wszystko - syczy z mocą.

- Dopiero wtedy Moosejaw mu wybaczy.
Drzę, rozumiejąc, co ma na myśli. To nie będą tylko egzorcyzmy.
Cia uważa, że zło może zostać zmyte, tylko jeśli odprawiona zostanie pokuta za grzech.

19

- Kiedy będzie następna pełnia, Oupa?

- Skąd mam wiedzieć, do sakramenckiego diabła? Czy myślicie, że mam czas siedzieć i gapić się w księżyc każdego sakramenckiego wieczoru?

Są ludzie - przede wszystkim utracjusze, odmieńcy, wyznawcy Szatana i tym podobni - którzy mają czas, by siedzieć i gapić się w księżyc, ale Oupa chce, byśmy wiedziały, iż on do nich nie należy.

Cia patrzy na niego z niechęcią, po czym mówi do mnie głośnym szeptem:

- Dobrze, zapytamy Jobe. On na pewno będzie wiedział.

Cia i ja nigdy nie rozmawiamy o Roninie. Poza zawołaną wypowiedzią Cii o jego uczestnictwie w murombo, nigdy o nim nie wspomina, a ja też starannie tego unikam. Jeżeli napotkam jego spojrzenie w smudze światła padającego z jego zamykających się drzwi, to udaję, że wcale go nie widzę. Nienawidzę go. Napawa mnie lękiem, ale jest coś więcej, coś więcej niż tylko lęk. Tajemnica, która okrywa to, co razem przeżyliśmy, wiąże nas ze sobą. Staliśmy się sobie bliscy w jakiś wstrętny sposób, który sprawia, że czuję się zbrukana. Mam nadzieję, że uczucia Cii do Ronina są czystsze niż moje - po prostu czysta, jednoznaczna nienawiść.

Mówimy jednak często o Moosejawie:

- Hej, Digby, voetsek\ Moosejaw rozerwałby cię na strzepy, gdyby przyłapał cię na tym, że pożerasz coś z jego miski.

Jobe mówi, że pełnia księżycy będzie prawie za miesiąc. Czuję się, jakbym została zwolniona z wyroku. Wiem, że Cia jest zdeterminowa-

153
na - dla niej murombo to obowiązek, z którego nie może się wymigać, tak samo jak Oupa nie może się wymigać od obowiązku przekazanego mu przez ojca i rodzinne dziedzictwo, a ja wiem, że odprawię murombo, bo jest ono święte, ale cztery tygodnie to dużo czasu, a ja przez cały ten czas będę wolna.

Jest sobota, Tata wrócił do domu z mobilizacji i wraz z rodzinami z naszej okolicy wybieramy się na piknik przy Mermaid's Pool. Podejrzewam, że ten wyjazd ma pomóc nam zapomnieć o Moosejawie. Specjalna sztuczka Mamy. Ronin znajduje wymówkę, by nie jechać, a my wszyscy czujemy ulgę - myślę, że nawet Mama. Może jest zmęczona całą tą jego uprzejmością. Mówi tylko:

- Dobrze, rób jak chcesz. - I po raz pierwszy od wieków nastrój staje się lżejszy.

Wiszące dotąd nad nami cienie rozrzedzają się - unoszą się jak delikatna mgła na krańcu mojego mózgu - i kiedy trzymamy się mocno na tylnym siedzeniu starego landie Taty, we wczesnym letnim słońcu, i fałszywie śpiewamy „Znów jesteśmy na wsi”, życie jest przyjemne. Po ponurej zimie czujemy się tak, jakbyśmy zanurzali się w ciepłej melasie lata, brzmieniu cykad, mirażu krzewów i we wszystkich tych dobrze znanych wygodnych rzeczach.

Główną atrakcją Mermaid's Pool nie jest basen, nie jest też, ku mojemu rozczarowaniu, syrena¹. Tak naprawdę jest to płynąca w skalnym zagłębieniu rzeka, która opada w głębokie rozlewisko na dnie. Utworzona w ten sposób zjeżdżalnia ma długość setek metrów i jest naprawdę stroma. Można na niej zjeżdżać na grubych dętkach od traktora albo po prostu na tyłkach - ale wersja z tyłkami jest tylko dla chłopców, których brawura przewyższa zdrowy rozsądek. Dzisiaj przyjechało ich tutaj bardzo dużo. Kiedy dorośli wylegują się pod drzewami, chmara chłopców, ja i Cia kłębimy się na skraju basenu, chłopaki prześcigają się w przechwałkach.

- Ostatnim razem zjeżdżałem głową do przodu!

- Ja, wielka mi sprawa. Ja zjechałem tyłem!

To Dell twierdzi, że zjechał tyłem.

Nazwa Mermaid's Pool oznacza „Basen Syreny” (przyp. tłum.).

154

- Nieprawda, nie zjechałeś - odparowuje Jeremiaś z oburzeniem. - Bałeś się, jak nie wiem co. Nawet nie wyciągnąłeś rąk nad głowę, kiedy siadałeś. Jechałeś tyłem tylko dlatego, że przekoziołkowałeś.

Kiedy tak zamieniają przechwałki na obelgi, bufonada nasila się i nie ma końca opowieściom o brawurze i odwadze, jakie królowały tu ostatnio - każdy jechał głową do przodu, tyłem albo w jakiś inny sposób wymagający mnóstwa odwagi. W tym samym czasie oskarżenia o tchórzostwo stają się coraz bardziej złośliwe. Cia i ja zostajemy odsunięte od dyskusji jako niegodni przeciwnicy - żadnej brawury, żadnej odwagi, nie pamiętamy nawet, kto okazał się tchórzem. Cia po prostu obserwuje wszystko z szerokim uśmiechem przylepionym do twarzy. Nie jesteśmy nawet dobrą widownią, przed którą warto się popisywać. Nie dbam o to. Po chwili robi się naprawdę nieprzyjemnie - przywołany zostaje każdy incydent z przeszłości wiążący się z jakimkolwiek tchórzostwem. Nikt nie zapomina - nigdy.

Dell oznajmia wszem i wobec, że Jeremiaś przegrał walkę w zapasach z Barrym Swanepoelem celowo, ponieważ bał się jego starszego brata, który jest prefektem.

- Co za cykor! - mówi Dell z niesmakiem.

- No cóż - odzywa się na to Jeremiaś - przynajmniej nigdy nie byłem elfem.

Słowo „elf” wypowiada piskliwym tonem. Z czerwonych plam rozkwitłych na szyi Della można wnioskować, że boleśnie go ugodził.

Dell grał elfa w szkolnym przedstawieniu. Był jedynym chłopcem w takiej roli, nosił imię Puck. Zmusiła go do tego Miss Lovemore. Wiele dziewczynek grało role elfów. Ja miałam na sobie spódniczkę baletnicy z lametą sterczącą na rąbku i dopasowane do tego skrzydła, które Mama zrobiła z moskitiery. Wyglądałam naprawdę zachwycająco. Nawet Jobe tak powiedział. Wciągnął powietrze i wykrzyknął:

- Eishl

Ale Dell był jedynym chłopcem w roli elfa. Nawet nie wiedziałam o istnieniu jakiegoś Pucka. Kiedy Miss Lovemore oznajmiła Dellowi, że został wybrany, on po prostu się na nią gapił. Potem oblizał usta i powiedział ochryplym głosem:

- Ja? Ja mam być elfem?

155

- Będziemy ci niezmiernie wdzięczni, Dell - powiedziała Miss Lovemore słodko.

Przed przedstawieniem u stóp sceny kłębił się tłum małych chłopców. Każdy, kto znał Della, przyszedł, by rechotać, widząc go w zielonych atlasowych pończochach i w kryzie. Jeremiah i Psy Wojny przysięgli sobie, że przyjdą. Nie było nawet słychać, jak Dell wypowiada swoje kwestie, bo tyle było śmiechów. Dell czerwienił się ze wstydu.

Skończyło się na tym, że trafił do gabinetu pana McCleary'ego.

Następnego dnia na boisku zacisnął pięści i obwieścił, że będzie walczył na śmierć i życie z każdym, kto będzie przed nim chodził na palcach i udawał, że macha skrzydłami. Potem wdał się w awanturę z Jeremiahem i Sinbadem. Wszyscy trzej kłębili się na ziemi, a ustawieni w kręgu chłopcy krzyczeli nad ich głowami:

- Bójka! Bójka! Bójka!

Pod koniec dużej przerwy, kiedy cała szkoła ustawia się w rzędy pod schodami, wśród nazwisk chłopców, którzy zwykle muszą meldować się w gabinecie pana McCleary'ego, wymieniono także jego nazwisko. Większość tych uczniów chodzi do piątej klasy, oprócz Damiana Gilchrista. I chociaż Dell zachowuje się jak twardziel, jego nazwisko nie pada zazwyczaj na dużej przerwie.

Udałam, że zgubiłam czapkę i że muszę iść do Biura Rzeczy Znalezionych, bo chciałam go zobaczyć. Stał przed wielkimi dębowymi drzwiami biura pana McCleary'ego razem z tymi, którzy nie uważają na lekcjach, plują i wszczynają walki, i wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Naprawdę mu współczułam. Dziewczynki nie dostawały trzcinkę, tylko chłopcy. Dziewczynki dostawały jedynie linijkę po otwartej dłoni, a to nie jest takie straszne.

Kiedy wrócił do klasy, usiadł ostrożnie na swoim krześle, ale wyglądał na zadowolonego z siebie. Wiedział, że oberwanie trzcinką to jedyny sposób, by zrehabilitować się za kostium elfa.

Teraz mruży oczy i mówi groźnie do Jeremiaha:

- Jeżeli powiesz to jeszcze raz, zepchnę cię ze zjeżdżalni tak, że pojedziesz twarzą do przodu, chociaż wcale nie będziesz tego chciał!

- Och, ja! Więc wyzywam cię, byś ty pierwszy zjechał twarzą w dół!

156

Za chwilę wszyscy wyzywają wszystkich innych do zjechania twarzą w dół i Bóg wie, do czego jeszcze. Tylko Damian Gilchrist nie wyzywa nikogo. On nie potrzebuje tego robić.

Inni chłopcy śmieją się, popychają jeden drugiego i próbują podstawić innym nogi. Popychając się i nakręcając jeszcze bardziej, chłopcy, a ja i Cia za nimi, kierują się na szczyt skalnej zjeżdżalni. Teraz wszyscy milkniemy. Jestem przerażona. Z tego miejsca zjeżdżalnia wygląda, jakby się przechyliła. Wydaje się bardziej stroma niż z dołu i rozciąga się daleko w dół, zanim wpada w otchłań basenu. Prąd wody jest zupełnie dziki.

- O rany, to bardziej jak Wodospady Wiktorii - wysapuje Dell.

Przez kilka minut słysząc tylko głębokie posapywanie. Potem Damian Gilchrist wyje jak wilkołak i rzuca się w dół ze skraju zjeżdżalni. Wkrótce reszta paczki ryczy i rzuca się za nim. Podchodzi do nas Tata i czujemy się pewniej. Okręca nas w dętках pływających po wirujących oczkach wodnych ponad zjeżdżalnią i czekamy aż kolejka skurczy się do kilkorga maruderów, u których strach wymazał chęć popisania się. Nadeszła kolej moja i Cii.

Oczywiście muszę ruszyć pierwsza. Wolałabym, żeby tak nie było.

Tata kieruje moją dętkę w stronę prądu wody, ze mną wciśniętą niezręcznie w jej skrzypiący, gumowy otwór i drżącą ze strachu.

- Teraz trzymaj się dętki, mała, słyszysz? Trzymaj się!

Spycha mnie z krawędzi zjeżdżalni. Pędzę w dół wodospadu, tracę kontrolę nad dętką, spod której bryzgają fontanny wody, i ze strachu z trudem łapię powietrze. Lecz w mgnieniu oka moja opona uderza w taflę basenu i wpadam tam słaba i w stanie euforii.

Unoszę się na powierzchni z chłopakami, którzy świętują zwycięstwo nad siłami natury oraz własnym strachem, wierzgając w wodzie hałaśliwie. Z niepokojem spoglądam w górę - teraz kolej Cii. Kiedy mrużę oczy w promieniach słońca i oślepiającego światła odbijającego się od wody, Cia ukazuje się w dali jako mała kropeczka. Tata ją przygotowuje, więc pewnie tylko wyobrażam sobie lęk na jej małej twarzyczce. Nie mam jednak więcej czasu na te wyobrażenia, gdyż Tata popycha Cię, która pędzi w dół skały, jej dętka kręci się dziko, nabierając rozpędu. Wstrzymuję oddech. Wszyscy pływają w miejscu i w milczeniu obserwują.

157

Nagle dętka Cii obija się o grań i w zwolnionym tempie widzę, jak koziołkuje - ustawia się prostopadle i obraca do góry nogami. Przez

krótką chwilę Cia młóci rękami powietrze, a potem mocno uderza w skałę i odbija się do przodu, wpada ponownie w strumień wody i płynie głową w dół. Kiedy na końcu prostego kawałka zanurza się w głębie, słyszę swój pierwszy urywany oddech.

Nie odrywam oczu od miejsca, gdzie wpadła do wody, i niejasno zdaję sobie sprawę z chrapliwego krzyku Mamy, która biegnie w stronę brzegu. Mijają wieki od momentu, gdy Cia zniknęła pod wodą, ale kiedy wpatruję się w to miejsce, powierzchnię przecinają dwa przemoczone kitki i ukazuje się głowa Cii z zielonymi oczami, wielkimi teraz jak spodki. Cia rozgląda się powoli i robi coś zupełnie nieoczekiwanego. Chichocze.

Kiedy już zaczęła chichotać, nie może przestać. Chichot zbiera się w niej i przelewa na nas wszystkich. Jest zaraźliwy i po chwili ja też śmieję się histerycznie razem z nią. Wyskakuję z mojej dętki, podpływam do Cii i otoczywszy ją ramieniem, nadal chichoczę, połykam wodę i krztusząc się, prawie ją ciągnę do brzegu rzeki. Mama już weszła do wody. Bierze Cię na ręce i wynosi ją z wody. Tata biegnie do nas jak szalony i odczuwa wyraźną ulgę, kiedy dostrzega Cię.

Damian Gilchrist podpływa blisko miejsca, gdzie stoimy.

- Jesteś cała? - pyta.

Cia kiwa głową.

Jest teraz legendą. Wśród chłopców. To było igranie ze śmiercią, a ona tylko się śmiała i nawet Damian Gilchrist porozmawiał z nią na przekór swoim przyzwyczajeniom. Powiedział:

- Ekstra.

Cia, tak jak była obojętna na wcześniejszą pogardę, okazywaną jej przez chłopców, tak teraz upaja się swoją nową reputacją. Jednak ja jestem bliska płaczu z radości, że nic się jej nie stało. Połykam łzy.

Po tym wydarzeniu piknik trwa dalej. Ojcowie pieką nad ogniskiem mięso na braai. W listowiu przy rzece znajdujemy kameleona i chcąc sprowokować go do zmiany koloru, kładziemy go na każdej powierzchni, poczynając od skał, poprzez liście, kończąc na moim jaskrawym ręczniku. Kameleon wspina się po ręce Cii, jego małe oczy obracają się niezależnie jedno od drugiego, potem wdrapuje się

158

jej na głowę. Cia kroczy dumnie, nie zważając na ból wywoływany przez wbite w jej czaszkę pazury. W grze, w której bez odwagi nie ma chwały, ona ma w bród i jednego, i drugiego.

Jedziemy do domu w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, opaleni, zmęczeni i zadowoleni. Ten dzień ma w sobie jakąś niezwykłą poświatę. Jest doskonały. Czuję, jak zapada w mój umysł, jak dzieje się za każdym razem, kiedy wiesz, że zapamiętasz coś na zawsze.

20

Kiedy wieczorem przyjeżdżamy do domu, światło opromieniające odchodzący dzień jest bardzo dziwne - wszystko kąpie się w bursz-

tynowej poświęcie, która zaciera krawędzie domu i barwi jego tynk. Potem zrywa się wiatr. Gorący i zły spływa z góry i pastwi się nad obejściem. Gdy zapada zmrok, z grani spływają zwały przerażających cumulonimbów, ranionych zygzakami błyskawic. Z tych ran dobiegają grzmoty, od których pękają mi bębny w uszach. W końcu, w ciemnościach, wybucha burza. Deszcz spływa z góry ciężkimi, szerokimi płatami, dopóki ziemia, spieczona na twardą skorupę, nie przekształca się w miękką błotnistą papkę, trawnik pod zabezpieczającymi farmę reflektorami staje się zupełnie grząski, a woda spływa po zboczu strumieniami i stary, dawno wyschły ciek wodny zamienia się w potok, spadający z hukiem w dół.

Rano szare niebo zastyga i wszystko wygląda jak wymyte, wymyte z czerwonej szorstkiej skorupy brudu, a popękany strup, jakim była ziemia, staje się znowu bogaty i płodny. Wkrótce ziemia wyda słodkie wilgotne rośliny. Cia i ja codziennie penetrujemy teren. Las powraca do życia. Rośliny, które, jak sądziłyśmy, poddały się i umarły, wypuszczają mięsiste korzonki, przebijające gąbczasty grunt, i obrastają w nowe pluszowe liście. Korony drzew znowu zaczynają tworzyć szczelne baldachy, poszycie zamienia się w zieloną płataninę roślin, walczących dziko o światło, o powietrze, głodnych życia.

Cztery tygodnie dobiegły końca. Cia - która jest poszukiwaczem wiedzy: „Czy zwierzęta płaczą bez łez?”; zwiastunem okrutnych prawd: „Wystarczy tylko popatrzeć na TTL, by przekonać się, że 160

Bóg nie lubi Afs i że to właśnie dostajesz, kiedy należysz do plemion Chama, ale ja sądzę, że Bóg nie kocha nas ani trochę bardziej, bo sprawdziłam go i pozostaje on głuchy na moje modlitwy, nie sądzę też, że słucha nas Święty Mikołaj" -jest też mścicielem niesprawiedliwości i nie zapomni.

Ja udawałam, że nie pamiętam - by o tym nie myśleć, przyglądałam się odradzającemu się lasowi. Miałam złe przeczucia dotyczące murombo i wołałabym, żebyśmy nie musiały go odprawiać. W ciągu dnia nie wierzę, że Moosejaw zamieni się w złego ducha i że trzeba poświęcić jego grób, by mógł spoczywać w pokoju. Ale nie ma teraz sposobu, by przekonać o tym Cię - i obawiałabym się nawet próbować. Ona jest taka szlachetna, że sugestie o zaniechaniu obrzędu wydaje się tchórzostwem, tchórzostwem takim, jak poddanie się.

Zatem teraz, w noc poprzedzającą pełnię księżyca, kiedy wisi on już na nocnym niebie jak rozdęty pęcherz, Cia i ja czynimy ostatnie przygotowania. Od Jobe dostaję na ceremonię trochę msesse - piwa warzonego specjalnie z mielies. Fermentuje ono w wyszorowanej tykwie stojącej pod moim łóżkiem, a Cia ukradła ze spiżarni pudełko zapalek, nie wiemy, po co. Teraz musimy tylko zaprosić ostatniego gościa.

Od dnia śmierci Moosejawa prawie nie odzywałyśmy się do Ronina. Starłam się na niego nie patrzeć. Wiem jednak, że nas obserwuje,

sprawdza, czy milczymy. Nawet gdy siedzi przy jadalnym stole i udaje, że się śmieje, i bardzo uprzejmie podaje sól i inne rzeczy, czuję na sobie jego ukradkowe spojrzenia - jest jak szczur, który nie przestaje nas obwąchiwać. Teraz muszę do niego podejść, a to wymaga odwagi. Moje uczucia do niego są skomplikowane, zagmatwane, lecz najsilniejsze spośród nich to lęk. Mimo to po obiedzie zaczajam się na niego za palmą doniczkową w hallu. Gdy schodzi po schodach i jak co wieczór kieruje się na dwór, wychodzę i zaczepiam go.

- Wracamy tam jutro wieczorem. Jutro, tuż po zachodzie słońca, wracamy na miejsce, gdzie umarł, gdzie ty... gdzie go zabiłeś - syczę. Nie mogę powstrzymać słów, które cisną mi się na język.

Ronin sztywnieje.

-I ty musisz tam być, dobrze? Więc... więc lepiej tam bądź, przy jego grobie tuż po zachodzie. Będziemy czekać. - Rzucam się do ucieczki, zanim Ronin odzyskuje rezon.

161

Nie mamy żadnego podstępu, by go tam zwabić, ale wiemy, że taki podstęp nie jest nam potrzebny. Wiemy, że Ronin nie będzie mógł się oprzeć.

Zapada zmierzch. Cia i ja wdrapujemy się na górę w uroczystym pochodzie. Cia idzie za mną i wysoko trzyma piwo. Marszczy brwi i mówię jej, by nie wystawiała języka, ale piwo nadal rozlewa się przez krawędź tykwy. Ja niosę zapałki. Docieramy na polanę, lecz nie wygląda ona tak, jak wcześniej. Drzewa msasa późno wypuściły pączki i ich konary, ocierające się o siebie na wietrze, pokryte są delikatnymi liśćmi. Zacieniają ogród Edenu, a chociaż w miejscu, gdzie leży Moosejaw, wciąż można zauważyć świeżo poruszoną ziemię, jego grób wydaje się spokojny. Potem dostrzegam na kopcu małe zwiędłe bukietki. Są trzy - biedne chude wiązki egzotycznych i dzikich kwiatów, które najwyraźniej zostały celowo zerwane i położone na grobie. Cia z pewnością była tu wcześniej. Mam nadzieję, że Moosejaw patrzył na nią wtedy, gdy ja nie patrzyłam.

Klękamy przy grobie. Cia pochyla się i ceremonialnie umieszcza tykwę na jego skraju - odrobina fermentującego płynu przelewa się przez krawędź - a potem rękami zamiata ziemię dookoła tykwy, usuwając gałązki i strączki. Wyciera zabrudzone ręce w ogrodniczki i patrzy na mnie wyczekująco. Waham się przez chwilę, niepewna, co teraz robić. Potem przystępuję do pracy - usypuję niewielki stos podpałki i przytykam do niego zapałkę. Boję się rozpałać ogień - po tym wszystkim - ale wydaje się, że muombo tego wymaga. Ogień tli się, krańce liści spalają się na purpurowo i wysychają, a my klękamy i przy wygasającym żarze patrzymy na złożoną przez siebie ofiarę. Czas odprawić błogosławieństwo.

Każda z nas zanurza palce w piwie i podnosząc się, kropi nim po okręgu wokół grobu Moosejawa i skanduje:

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Pokój z tobą.
Jest to święte, bardzo święte zaklęcie, poznane przy jednej z tych
nielicznych okazji, kiedy poszliśmy na mszę. Chyba tu pasuje.
Powtarzamy je wielokrotnie. Następnie, aby skończyć, robię znak
krzyża. Cia mówi:

- Ach men.

Po takim zakończeniu siadamy przy grobie i czekamy na ciemność
i na Ronina. Teraz, kiedy ta godzina jest bliska, czuję się dziwnie spo-
kojna. Sakrament okazał się skuteczny. Panuje tu atmosfera świętości.
Ziemia, na której siedzimy, została poświęcona.

Puszczyc kreskowany pohukuje na drzewie wysoko nad nami,
oznajmiając, że nadszedł jego czas, a wszystko tutaj należy do jego
królestwa, ale Cia łowi uchem coś jeszcze.

- Nyree, Nyree, słyszałaś to? Sowa zawołała mnie po imieniu.
Słyszałaś?

Powoli czekanie zaczyna dawać mi się we znaki. Spokój wyparowu-
je. Kiedy powietrze się ochładza, zaczynam drzeć, ale podejrzewam,
że nie tylko z powodu chłodu. Widzę, że Cia jest zdenerwowana. Jej
spokojne do tej pory dłonie teraz się trzęsą. Zauważam pod jej pa-
znokciami półkola brudu.

- Myślisz, że przyjdzie, Nyree?

Jakaś część mnie ma nadzieję, że nie przyjdzie. Powoli kończy się
pora zmierzchu.

Nagle słyszę coś w zagajniku. Jakiś szelest. Żołądek podchodzi
mi do gardła. Omiatam wzrokiem drzewa, ale nie mogę dostrzec nic
w szarości. Potem widzę go, Ronina, zbliżającego się pomiędzy drze-
wami. Kiedy wchodzi na polanę, zatrzymuje się i patrzy na nas przez
dłuższą chwilę. Na jego pięknej pustej twarzy widoczny jest głód.
Potem, prawie niepostrzeżenie, jego wargi rozciągają się w szyder-
czym uśmiechu i zaczynam czuć strach. Spoglądam na Cię i boję się
jeszcze bardziej, bo ona się nie boi. Czekanie dobiegło końca, jej twarz
jest jak ze stali. Cia jest gotowa.

Następnie Ronin nabiera powietrza, jakby miał zamiar coś po-
wiedzieć, ale nie ma na to szansy. Ku mojemu zdumieniu Cia wstaje
pierwsza. Patrzę, jak stoi i mówi do Ronina tak, jakby to wcześniej
ćwiczyła, a ja jakbym była tylko publicznością.

- Ronin, to, co zrobiłeś, było złe.

Cisza.

Cia głęboko zaczerpuje powietrza.

- To było złe i już nic nie może tego zmienić. Moosejaw nie żyje
i ty go zabiłeś. Ale możesz powiedzieć, że żałujesz, i możesz prosić
o przebaczenie i być może, być może Moosejaw ci wybaczy.

Ronin lekko potrząsa głową, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

Potem prychna i odzywa się pogardliwie:

- Żartujecie, prawda? Wy głupie, stuknięte dziewczyny dlaczego

w ogóle miałbym żałować?

Cia wzdycha. Potem grzebie w kieszeni ogrodniczek i coś z niej wy-
ciąga. Nie mogę dostrzec, co to jest. Cia wpatruje się w ten przedmiot
i pokazuje go Roninowi.

- Bo jeśli nie powiesz przepraszam, to ja cię do tego zmuszę - od-
powiada, rozmyślnie robiąc krok w tył. - To zdjęcie twojego dziadka
i twojej matki i to wszystko, co ci po nich zostało - po twojej rodzinie.
Więc jeśli chcesz znowu je zobaczyć, powiedz, że żałujesz teraz i na
wieki, ach men.

Nie mogę w to uwierzyć. Cia, zupełnie sama, poszła i wyjęła z kufra
ze skarbami Angelique zdjęcie Seamusa z córką i wykorzystuje je, by
szantażować Ronina. Jeżą mi się włosy na karku. Ta gra jest dla Cii
zbyt niebezpieczna. Przegra. Jest słabsza, bo jej umysł nie pracuje tak
jak jego. Ten szantaż jest zmyślny, ale nie wystarczająco zmyślny. Cia
sądzi, że ma władzę, a nie widzi, jak jest krucha. Wiem, że czeka ją
niepowodzenie.

Ronin w milczeniu wpatruje się w Cię, potem zbliża się do niej na
jeden krok. Od tego jednego kroku - to nie było nic więcej, tylko krok
- zamiera mi serce. Coś się zaczęło. Odsuwam się na bok, kiedy Cia
przeskakuje tyłem grób Moosejawa. Jesteśmy teraz rozdzielone. Ronin
wykonuje kolejny krok w jej kierunku i zaraz potem jeszcze jeden.
Ona, cofając się, pozostaje minimalnie poza zasięgiem jego ramion.
Powoli okrążają grób, jakby byli przez niego przyciągani.

W pewnej chwili Ronin z wykrzywioną twarzą rzuca się w stronę
Cii, ale ona jest dla niego zbyt zwinna. Ucieka z jego drogi. Ronin
chrząka.

- Daj mi to - mówi chrapliwie, jeszcze raz starając się ją pochwycić.

- Nie - Cia krzyczy radośnie. - Nigdy tego nie dostaniesz. Dopóki
nie będziesz żałował, szczerze żałował.

Przez chwilę wygląda jak anioł. Wokół niej rozlewa się niebiańskie
światło - rozjaśnia ją od wewnątrz. W jej żyłach płynie krew Jana
Christiaana - jego też rozświetlały od środka ognie świętej misji.

Wiem, że tego właśnie potrzebowała. Teraz tanecznym krokiem od-
164

dała się między drzewami. Ronin potyka się za nią, a ja, jak w transie,
podążam za nimi: za aniołem i polującym na niego myśliwym.

Cia skacze teraz w dół z boczka wzdłuż brzegu strumienia, który
spływa po małej szczelinie w skale. Porastające go z obu stron drze-
wa są splecione i wilgotne. Z na wpół butwiejących konarów zwiesza
się filigran pnączy, a poszycie z paproci i mchów jest lepkie i soczy-
ste. Błady pęcherz księżycy kąpie wszystko w eterycznym świetle.

Powietrze przeniknięte jest surową wonią wilgotnej, wzruszanej przez
robaki ziemi oraz wbijających się wszędzie grzybów, które wysysają
życie z tego, co martwe - to woń lasu, który żyje na wieki. Cia prze-
myka między drzewami, przeskakując głazy i opadłe gałęzie. Zwinny

leśny serafin. Ronin jest tuż za nią, tłucze się przez las bez odrobiny takiej zwinności. Chociaż pozostają tylko kilka kroków za nim, wydaje mi się, że ją dogania.

- Cia - wołam, aby ją ostrzec. Ale ona mnie nie słyszy. Nie spogląda nawet za siebie i przebiega tanecznym krokiem pomiędzy wierzbami płaczącymi. Noc pozbawiła drzewa koloru, ciężkie kształty wokół mnie mającą czernią, nocne stworzenia popiskują, by znaleźć się nawzajem. Ronina opanowało coś dzikiego - przedzierając się przez rozpościerający się poniżej las, sam zdziczał.

Zostaję z tyłu. Staram się nadażyć, ale wciąż potykam się o guzowate korzenie i skały. Za każdym razem, gdy zbliżam się do Ronina, wyciągam ramię, niepewnie starając się go pochwycić. Nawet nie spogląda w tył. Potem chwieję się i znowu tracę go z zasięgu ręki. Coś się zmienia i natychmiast to wyczuwam. Może usłyszała go za sobą, usłyszała jego nierówny oddech - i w tej chwili taniec dobiega końca. On ją osacza, a ona wie, że jest ścigana. Ja pozostaję na zewnątrz, obserwuję. Ona już nie podskakuje jak rączce zwierzę - biegnie, biegnie, by ratować życie. Pnącza czepiają się jej nóg, korzenie wyginają się i łapią ją w sidła. Słyszę, jak dyszy. Mnie także brakuje tchu - powietrze pali mi płuca. Czuję woń polowania - lęk ofiary, żądze myśliwego. Podczas biegu w dół zbiega w upiornym świetle nocy nikt nie wydaje żadnego dźwięku, jest tylko zapach i świadomość sytuacji. To śmiertelne polowanie.

Może wiedziała, że nie potrafi zostawić go z tyłu, że on ją dogania, zbliża się coraz bardziej, ukryła się bowiem pod starym zwalonym drzewem, pod osłoną paproci i mchu. On dostrzega swoją zdobycz i wydaje okrzyk triumfu. Cia rzuca się do ucieczki spod jego rąk, w panice, zdesperowana. Wymyka się mu.

Biegnąc niepewnie, spoglądam akurat w odpowiednim momencie, by zobaczyć, jak Cia skacze na wielki, prawie prostopadłościenny głaz, wystający ponad skraj strumienia. Jest śliski od wody i wodorostów i kiedy ląduje na nim jej stopa, Cia traci równowagę. Chwieje się przez chwilę na krawędzi kamienia. Kiedy walczy o to, by się nie przewrócić, Ronin ją dogania. Zatrzymuje się gwałtownie, blokując jej drogę powrotną. Cia odwraca się i dostrzega, że znalazła się w pułapce. Na jej twarzy maluje się przerażenie. Spogląda zza niego i zauważa, jak ześlizguję się ze zbocza w ich stronę.

- Nyree, pomóż mi! - woła.

Rozglądam się dookoła w desperacji, potem schylam się i podnoszę kamień. Ronin spogląda przez ramię i widzi, jak szykuję się, by rzucić kamieniem w jego czaszkę.

- Cofnij się - warczy.

Jego głos napawa mnie lękiem. Waham się. Ronin odwraca się ode mnie i rzuca w kierunku Cii. Ona jest w rozpacz. Nie może znaleźć drogi ucieczki. Granit jest zdradliwy. Pod jego postrzępionymi krawę-

dziemi potok przelewa się kaskadami przez niewielki występ skalny. W ciszy słyszę odgłos wodospadu.

Cia podnosi głowę w moją stronę.

- Nyree! Proszę!

Ronin odwraca się jeszcze raz. Patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie jest śmiertelnie zimne i cała truchleję. Kamień pozostaje w mojej zastygłej dłoni. Jak w zwolnionym tempie, Ronin skacze w stronę Cii i próbuje ją pochwycić. Ona macha rękami do tyłu, ale już jest na krawędzi kamienia. Spada.

Ponownie krzyczę:

-Cia!

Ronin zamiera bez ruchu. Biegnę obok niego i kilka kroków w dół, poniżej granitowego głazu. Woda pod małym wodospadem rozlewa się w płytką nieckę i Cia leży tu twarzą do góry, odrobinę pod powierzchnią wody. Oddychając z trudem, padam na kolana w wodę obok niej.

166

To dziwne -jest piękna, pogodna, unosząc się pod wodą, z oczyma na wpół przymkniętymi, włosami rozlewającymi się wokół głowy. Obok niej zdjęcie matki Ronina i jej nieżyjącego ojca wiruje szaleńczo, naderwane przez wiry. Przez chwilę znajduję się na strychu z jego ciemnymi kamiennymi ścianami, kłębiącymi się cieniami i zimnym oddechem przodków. Potem jakiś głos wyje w moim wnętrzu:

- Nie! Ona nie może oddychać!

Zanurzam dłonie w wodzie, by unieść jej głowę, i kiedy się pochylam, zauważam to. Moje palce zawędrowały w otaczającą jej głowę chmurę, której nie zauważyłam wcześniej w przyćmionym świetle. Krew barwi wodę w ciemności. Jednak zanim dźwigam jej głowę nad wodę, już wiem. Wnoszę to z jej całkowitego bezruchu i ciemnych plam krwi w wodzie. Tymi oczyma nie patrzy już na mnie nikt, kogo znam.

Wiem to z absolutną pewnością. A potem krzyczę. Krzyczę z całych sił, krzyk wyrywa się z samej głębi mojego wnętrza - wyrywa się dziki, zwierzęcy. Rozbrzmiewa i rozbrzmiewa, ma smak żółci i krwi. Schodzi echem w dół doliny i wkrótce widzę światła migające wśród drzew poniżej, a kiedy zamienia się w łkanie, docierają do mnie jakieś nawoływania. Jeszcze gdy jesteśmy sami, spoglądam w górę na Ronina, stojącego bez życia na skraju rozlewiska. Jego twarz wyraża bezgraniczne przerażenie. Wtedy Ronin rzuca się do biegu.

W chwilę później Mama i Jobe wypadają spośród drzew, niosąc laski i strzelby. Potem straszne zwolnione tempo kończy się i wszystko staje się bezładne i urywane.

21

Myślę, że jest tylko nieprzytomna - obudzi się i wszystko będzie dobrze. Nie mogła utonąć - była pod wodą tylko przez chwilę. A jej

rana z tyłu głowy to nic - to tylko brzydkie rozcięcie u podstawy czaszki, chybione uderzenie, do którego doszło, gdy poślizgnęła się i upadła.

Podnoszą jej bezwładne ciało, które nieprzerwanie kołysałam, i kładą je na brzegu. Klękają nad nią i rozpoczynają sztuczne oddychanie, ale kiedy uzmysławiają sobie, że powodem jej nieoddychania nie są wypełnione wodą płuca, przerywają próby przywrócenia jej do życia. Najlepiej, jak potrafią, tamują krew, która nadal sączy się z rany - odrywając rąbek z bawełnianej koszuli nocnej Mamy - i niosą Cię prędko do domu.

Nie mogę mówić. Nie wiem nawet, czy zrozumiałe przekazałam im, co się stało - że upadła, uderzając głową o skałę, a potem wpadła do wody - ale kiedy to zrobiłam, przestałam się liczyć. Zostałam zapomniana. Zabierają mi Cię i niosą ją gdzieś w noc. Potykam się ślepo za nimi, łzy palą moje oczy i gardło, ale teraz milczę. Kiedy docieram do domu, oni już zdążyli położyć Cię na kanapie w pokoju frontowym. Jest tu też Oupa, stara się ją obudzić. Generator się wyłączył i oświetlają ją teraz tuziny świec i lamp naftowych. W delikatnej poświacie, jaką rzucają, Cia jest różowa, ale i tak się nie obudzi. Mama trzyma ją za przegub dwoma palcami. Widzę, jak w oczach Mamy pojawia się panika, są teraz jak małe ptaszki, poruszające się niespokojnie, ale nic nie można wyczytać z jej głosu.

- Musimy zabrać ją do lekarza. Szybko.

168

Mama chwyta kluczyki do starego landie - zauważam, że teraz jej ręce drżą - i wybiega. Jobe podąża za nią, trzymając pozbawione życia ciało Cii, i wychodzi przez drzwi frontowe do uruchomionego już pojazdu. Odjeżdżają z rykiem w noc, Mama, Jobe i Oupa, pozostawiając mnie i Blessing za sobą, w ciszy, na czuwaniu. Ronin nie wrócił.

Przez całe godziny trzymam moją samotną, milczącą wartę. Czekać, myślę o latającym doktorze. Ja i Cia uwielbiamy jego reklamę w telewizji: „Czy to ptak? Czy to samolot? Nie! To Latający Doktor!” Odgrywałyśmy to na trawniku wiele razy. Kiedy dochodzimy do części mówiącej o tym, że to nie jest ptak, ale Latający Doktor, pikujemy z nieba, by ratować chorych na dalekich farmach. Gdzie on jest dzisiaj? Dlaczego musieli odjechać w noc? Nie znam odpowiedzi, ale nie przestaję zadawać takich pytań, bo dzięki nim czuję się przyjemnie odrętwiała.

W końcu wracają. Silnik landie krztusi się i zamiera, światła ciemnieją i gasną. Zdaję sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech - miałam nadzieję, wiedząc, że nie ma nadziei. Wchodzą na schody, pochyleni. Nie ma już z nimi Cii. Prosta rzecz - jej nieobecność - napełnia mnie takim poczuciem pustki, że brakuje mi powietrza. Zieje we mnie otchłań i czuję ból.

- Nyree. Nyree, chodź do mnie - mówi Mama zdławionym głosem.

Kłęka i wyciąga ręce. Patrzę na nią nieufnie.

-Nyree, twoja siostra... Cia... Ja... Cia... - krztusi się swoimi słowami.

Próbuje mnie objąć, ale wyszarpuję się i uciekam.

Nie chcę też przebywać w naszej sypialni. Dzisiejsza noc będzie dopiero drugą w życiu, kiedy Cia nie śpi obok mnie. Pierwszy raz zdarzył się dawno, dawno temu. Cia pojechała do szpitala na operację. Szpital nazywał się Salisbury Central. Rodzice zabrali mnie w odwiedziny na oddział dziecięcy. Pamiętam, jak dreptała w moją stronę po podłodze w czarno-białą szachownicę, pomiędzy rzędami sterylnych metalowych łóżeczek z krochmaloną białą pościelą. Zazdrościłam jej, ale ona była tak uradowana, że mnie widzi, iż jej wybaczyłam. Pamiętam to fragmentarycznie, tak jak pamięta się najwcześniejsze przeżycia. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że Cia jest niezależna ode mnie, nie jest mną i może udać się w miejsca, gdzie ja być nie

169
mogę, może wiedzieć rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. Teraz, sama w naszym pokoju, bez Cii, do której mogłabym cicho szeptać i udawać, że nie boję się ciemności, nie wiem, co robić. Jednak byliśmy jednością i teraz, kiedy odeszła, ja już jednością nie jestem.

Brnę przez następne dni, jak gdyby przywiązany do mojej szyi ciężar ciągnął mnie w dół. Tata przyjechał do domu następnego dnia. Jest w nim coś wynędzniałego, a w jego oczach - widziałam to wcześniej w oczach zwierząt złapanych w sidła zastawione wokół farmy przez kłusowników, a przynajmniej w oczach tych spośród nich, które żyją, gdy je znajdujemy - oszołomienie, cierpienie. Martwe zwierzęta mają szkliste spojrzenie, jakie teraz widać na twarzy Oupa. Oupa siedzi w milczeniu na stoep i ponuro pije gin za ginem, dopóki nie zapadnie w niespokojną drzemkę, cienka strużka śliny zwisa z jego na wpół otwartych ust. Mama bardzo się stara ze względu na mnie, albo też może dla samej siebie. Mogłaby dać sobie spokój. Czuję się, jakbym oddychała wewnątrz grubej membrany. Nic nie może jej przebić. Jestem w środku i patrzę na zewnątrz, nie będąc tam naprawdę, odrętwiała.

Idę na pogrzeb, nie opuszczając mojej grubej membrany. Kościół jest w Umtali, dokąd jedziemy peugeotem. Muszę siedzieć ostrożnie na tylnym siedzeniu - nie wolno mi pognieść mojej czarnej aksamitnej princeski. Jest nowa, kupiona specjalnie na pogrzeb Cii. Wygładzam sukienkę pod sobą i przysiadam na niej, starając się nie zrobić żadnej zmarszczki. Kościół pęka w szwach od ludzi. Idziemy wzdłuż nawy, mijając ich wszystkich. Mama trzyma mnie za rękę przez całą drogę do pierwszej ławki, którą pozostawiono pustą dla nas, najważniejszych ludzi w kościele. Oupa, Tata i Ronin idą za nami. Patrzę prosto przed siebie, nie zerkając na ludzi, którzy nie są tak ważni jak my. Ksiądz w bardzo ozdobnej czarnej sutannie z czymś w rodzaju śliniaka

wokół szyi zaczyna mówić. Nie spoglądam też na małą trumnę złożoną przed ołtarzem. Jest blisko, za blisko. Czuję ją. Cia budzi się na swój pogrzeb. Jest zaskoczona, że nie żyje. Pragnie pomagać małym stworzeniom, które są w potrzebie. Oburza ją niesprawiedliwość ich

170
sytuacji. Pokazuje mi wielki krzyż nad ołtarzem z wiszącym na nim Jezusem w koronie cierniowej, z sączącą się wszędzie krwią. Jezus ma nieszczęśliwy wyraz twarzy, ponieważ jest zajęty umieraniem, chociaż zbawia nas od naszych grzechów.

Mama mówi, że pogrzeb jest po to, by pożegnać się z Cią, ale ja nie chcę tego robić. Ksiądz w swej szerokiej sukni wciąż mówi i mówi. Oznajmia, że musimy dziękować Jezusowi za zabranie Cii do siebie. Nienawidzę Jezusa. Co mają na myśli, mówiąc, że powstał z martwych? Jak to się stało? Czy zrobił to w jakiś marny, niesatysfakcjonujący sposób, jak duch? Duchy są jak wspomnienia lub sny - mizerne, słabe i ulotne. Cia idzie spać, dopiero kiedy jej trumna przesuwa się przez aksamitne zasłanki krematorium. Delikatnie dotknęła jedwabnej wyściółki trumny i zasnęła. Wiem, że już nigdy się nie obudzi.

Po drodze do wyjścia widzę Jobe, stojącego na tyłach kościoła. Idziemy za księdzem wzdłuż nawy w powolnej procesji, mijamy ławki, gdzie siedzą wszyscy z wyjątkiem Jobe, który stoi z tyłu kościoła przy drzwiach. Ma na sobie czarny garnitur ze zbyt krótkimi rękawami. Trzyma w rękach filcowy kapelusz, a po jego twarzy spływają łzy. To dziwny widok - łzy ciekące z oczu Jobe w taki sposób.

Później na przykościelnym cmentarzu widzę Della i Damiana, i innych. Są tam wszyscy, zbici w gromadkę pod bramą wiodącą na cmentarz. Patrzą na mnie nowym spojrzeniem. To przerażenie pomieszane z podziwem. Jestem teraz inna, wyróżniona. Pod tymi spojrzeniami czuję się skrępowana. Są też inni podobni do mnie: mama Louisa i Andre zginęła przypadkiem, kiedy nastąpiła na minę na ich farmie. To zdarzyło się, zanim ich tata zdecydował o przeprowadzce do miasta. Andre nie pamięta swojej mamy. Jednak Louis - tak. Mówi, że pamięta, iż ładnie pachniała. A jeden dzieciak z drugiej klasy miał brata, który utonął w ich zbiorniku. Czuję, że oni także na mnie patrzą. Ci, co wiedzą. Reszta przygląda mi się nowym spojrzeniem. Przedtem byłam po prostu jakimś dzieckiem, teraz jestem odmieniona, ponad nimi, już nie jedna z nich.

Nie myślałam o nim. O Roninie. Próbuję o nim nie myśleć. Jest tak, jakby go tu nie było, jakby nigdy tu nie przebywał. Jednak nie przez cały czas. Niekiedy widziałam go kątem oka, kręcącego się na granicy

171
mojego pola widzenia, na granicy moich myśli. Na pogrzebie siedział po drugiej stronie Mamy i Taty, a ja nie spojrzałam na niego nawet raz. Ale teraz muszę o nim myśleć. Siedzę w jadalni, przy wysokim stole. Tata usiadł naprzeciwko mnie i czeka. Zapytał mnie, co się stało.

Nikt wcześniej mnie o to nie pytał, nikt, ani razu. Nie wiem, dlaczego. Ale teraz, po pogrzebie, po pożegnaniu się z Cią, Tata chce wiedzieć, dlaczego. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Dlaczego byliśmy tam w nocy? Co, na litość boską, robiłyśmy? Jak Cia spadła?

Nie wiem, od czego zacząć. Spoglądając wstecz, mam wrażenie, że znalazłyśmy się na spiralnych schodach. Jedna rzecz wiodła do następnej, aż prawie spadłyśmy z tych schodów, poruszając się coraz szybciej, i żadna z nas nie mogła się zatrzymać, nie mogła niczego zmienić ani się cofnąć. Zaczynam więc od końca.

- Poszłyśmy na grób Moosejawa. Poszłyśmy, aby odprawić murombo, oczyszczające to miejsce od złych duchów. Ronin zezłościł się i pobiegł za Cią. Ona uciekała przed nim i upadła. To wszystko. To tak, jakby Ronin od początku był złym duchem.

Mówię beznamietnym głosem, ale go nienawidzę. Ta nienawiść jest tak potężna, że tamuje mi oddech. Moja pierś faluje. Tata nie rozumie. Marszczy brwi, potrząsa głową. Wtedy wszystko ze mnie wypływa - wszystko od dnia, kiedy Ronin przyjechał do Vumby. Wiem, że wyrzucam zastały lęk i złość, ale także poczucie winy, jakie chowam w sobie. Nie mówię mu, co stało się pod koniec. Że błagała mnie o ratunek, że ją zawiodłam, że chroniłam tylko siebie, nie mówię wszystkiego, co leży mi na wątrobie. Przekazuję Tacie tylko to, co potrzebne, by pogrążyć Ronina.

- Jezu, zupełnie tego nie widziałem. Ale to tylko chłopiec, Amy, tylko chłopiec.

Ale ja wiem, że Mama wini Ronina.

Oupa siedzi i patrzy. Potem powtarza znowu i znowu, że śmierć Cii to jego wina.

- Nigdy nie powinienem zmuszać Angelique, by oddała to dziecko.

Mama i Tata nie słuchają bełkotania starego człowieka. Widać, że znają tę historię. Ja nie, ale wcale o to nie dbam.

172

- Ale to było tuż po wojnie, piekło powrotu do domu po wszystkich tych latach. Wybaczyłem jej - była taka samotna i, Boże, odpuść mi, kochałem ją - ale on... Nigdy nie wybaczają się zdrady bratu. Po prostu nie mogłem ścierpieć widoku tej dziewczynki... - pogrąża się w swoich myślach.

Patrzę i czekam. Nie mogą znieść Ronina, żadne z nich, chcą, by wyjechał. Zaczynają się rozmowy międzymiastowe. Znowu próbują znaleźć jego matkę, ale im się nie udaje. Potem zaczynają się telefony do szkoły, do dyrektora. Tata mówi, że pieniądze będą musiały przejść z ręki do ręki, ale on zrobi, co trzeba.

Wywożą go przez główną bramę Modjadji. Jednak nie czuję się szczęśliwa. Nie czuję nic. Widzę natomiast to, co zobaczyłam tamtej

nocy - wyraz jego oczu. Przewrzenie. Czy żałuje tego, co zrobił? Jeśli tak, to żal zmienił się już pod wpływem czegoś niskiego i nędznego - lęku. Ten lęk nas łączył.

Oupa często mawia, że nasz los pisany jest przez nasze charaktery. Tak było z Cią i tak jest z Roninem. Dopiero teraz, kiedy Cia nie żyje, zdają sobie sprawę, że Ronin jest tylko w połowie żywy, że coś w nim umarło, i patrząc na drogę, na znikający w chmurze pyłu samochód, na rozciągające się przed Roninem lata, cieszą się, że wszędzie, gdzie pójdzie, zawsze zabierze ze sobą samego siebie.

22

Czas płynie teraz wolno. Jest w nim jakaś szarość i odrętwienie. Przez to odrętwienie obserwuję Mamę i Tatę. Tata jest zły. Jakby był uwięziony w swoim gniewie, zawsze obecnym, falującym tuż pod powierzchnią jego skóry. A ona ledwie utrzymuje go w środku - czuję, jak gniew przenika przez pory. Tata teraz mnie denerwuje i staram się go unikać. Jednak współczuję A/s - oni nie mogą przed nim uciec. Jeżeli robią coś nie tak, a zawsze robią coś nie tak, Tata strasznie na nich wrzeszczy. Oczy wychodzą mu z orbit, z ust wylatują kropelki śliny, a on wrzeszczy, że mają świńskie gówno zamiast mózgów, że są obrzydliwie leniwi i Bóg wie, co jeszcze.

Nie krzyczy na Mamę, ale w jakiś sposób to niekrzyczenie jest gorsze. W porze kolacji siedzimy w milczeniu, słysząc tylko zbyt głośne skrobanie srebra o starą porcelanę. Czasami Mama mówi coś błahego, na przykład, że na tę porę roku jest bardzo gorąco i że czuje się słabo od gorąca. Tata nie odpowiada i jej słowa zawisają w powietrzu. Przez chwilę jest tylko krojenie, żucie i połykanie, a potem ona mówi ostro i z wyrzutem:

— Sean? Zgadzasz się? Oczywiście nie obchodzi cię, jak się czuję, ale ty z pewnością też cierpisz z powodu upału?

Tata mruczy coś bez słów, ale to oznacza, by się zamknęła - on ją ostrzega. Oupa, przepity ginem, ledwie cokolwiek mówi, tylko się ślini i pożera posiłek. Jego sztuczne zęby luźno trzymają się dziąseł i raczej ssie małe kawałki mięsa, niż je żuje. Krąg takich wyspanych kawałków rośnie na skraju jego talerza. Mama mówi, że to odrażające i że działa jej to na nerwy. Oupa nadal się ślini, po-

174
żera swoje danie i mówi, że moja matka zamienia się w cholerną cierpiętnicę.

Potem Mama wzdycha i odzywa się urywanym głosem:

- Sean, zdają sobie sprawę, że to grubiańskie zachowanie to teraz twój znak rozpoznawczy, ale czy nie sądzisz, że mógłbyś spróbować być uprzejmy, chociaż w trakcie dzisiejszego obiadu?

Wiem, że robi to specjalnie. Tata podrzuca głową tak gwałtownie, że mógłby uszkodzić sobie kręgi szyjne, i rzuca jej spojrzenie pełne złości, takiej złości, że ściska mnie od niej w dołku. Potem celowo

głośno przesuwając krzesło po płytach podłogowych i wymaszerowuje z pokoju. Mama wzdycha, jakby narzucono jej cierpienie, i mówi:

- No, Nyree, skończ jedzenie.

Jest jeszcze gorzej, kiedy się nie kłóć. Wtedy cisza zasiada między nimi jak trzecia osoba. Ktoś obcy, rozrośnięty i trujący. Wieczorami Mama zamyka drzwi ich sypialni na klucz. Czasem słyszę, jak krzyczą na siebie, zanim ona nie zmusi go, by zamilkł. Wychodzę z łóżka, skradam się przez korytarz i podsłuchuję pod ich drzwiami jak szpieg. Przez grube ściany i ciężkie drewniane drzwi słyszę tylko strzępy rozmowy - wtedy, kiedy głos Mamy robi się bardzo ostry. Nie słyszę dobrze Taty, mówi zbyt cicho, ale wiem, kiedy Mama trafia go prosto w serce. Są to chwile, gdy on milknie, a ja muszę uciekać, bo wiem, że mam tylko kilka chwil, zanim szarpnięciem otworzy drzwi, wybiegnie na dół i na zewnątrz przez frontowe drzwi.

—Dlaczego ja po prostu nie odejdę, byś mógł znaleźć nową niewolnicę dla siebie i twojego żalnego, wiecznie biadolącego ojca?

To wtedy jej głos nabiera ostrości.

-Jezu, Amy, próbowałem tylko powiedzieć, że chyba nie za dobrze sobie radzisz.

Wiem, że to nie wszystko, co mówił - a już na pewno, że nie wyraził tego w miły sposób.

-Ale skoro tak uważasz, to może ja odejdę i zobaczymy, jak ty sobie poradzisz, kiedy ja nie będę wypruwał sobie żył, by było co do garnka włożyć i utrzymać dach nad głową.

-Nie, nie, nie wiem, co zrobimy bez twojego genialnego wydzierania się na miejscowych, twojego ordynarnego języka i podłego humoru, ale nie martw

175
się za bardzo przynajmniej o jedno - wątpię, aby twoja córka bardzo za tobą tęskniła. Raczej nie byłś dla niej ojcem przez wszystkie te lata.

Dokładnie wie, w które miejsce ugodzić i jak to zrobić. Ma ten instynkt. Za ich łóżkiem powiesiła małą karteczkę ze słowami: „Znajdź w życiu czas, by wachać róże”. Na obrazku mała myszka wacha stokrotkę.

Później słyszę, jak płacze. Rano Tata jest zimny, bezwzględny, a Mama nieszczęśliwa. Po jego wyjściu wstaje i szklanym spojrzeniem wygląda przez okno.

- Mamo? Dobrze się czujesz? - szepczę.

To wprawia ją w irytację.

- Nic... nic mi nie jest. Naprawdę nic. - Głos jej drży.

Ślepo brnie przez swój dzień, głucha na wszystko poza głosami we własnej głowie. Czasem syczy coś do nich w odpowiedzi. Przyłapałam ją na tym, jak syczała i pluła na te głosy, wpatrując się w pustkę.

Nie znoszę teraz z nimi być - jego pełne wrogości oczy, jej uzalanie się nad sobą, to, jak go karze. A to wszystko - krzyki, płacz, cisza - po to, by ją przywołać - ducha, który unosi się w otaczającym nas

powietrzu.

Oupa przyzywa ją za pomocą ginu. Już się całkowicie poddał temu trunkowi - jakby postanowił dać się mu zniszczyć - i już nikt nie próbuje go powstrzymać. Patrząc na to, jak Mama go obserwuje - na wpół zdegustowana, na wpół usatysfakcjonowana - odnosi się wrażenie, jakby ona też chciała go zniszczyć, chciała, by sam to zrobił. To nie trwało długo - Oupa już przypomina starego stracha na wróble, robi pod siebie, jego podobne do szponów ręce drżą niekontrolowanie, a podbiegłe krwią oczy widzą tylko przeszłość.

Nie obchodzi mnie to. Jestem zbyt zmęczona, by mnie to obchodziło. Zmęczenie przenika moje ciało, weszło w głąb moich kości i dostało się do sekretnego, ukrytego głęboko miejsca w moim wnętrzu. Nawet oddychanie mnie męczy, wycieńcza. Najczęściej wdrapuję się na rozwidlone gałęzie ogromnego drzewa marula przy rzece i leżę tam przez cały dzień. Nie myślę o Cii, nie myślę o tym, jak umarła, nawet za nią nie tęsknię - wyczerpanie pozbawiło mnie wszelkich uczuć.

176

Tylko nocami nie przestaję się wiercić. To zaczęło się w nocy po jej śmierci i teraz co noc, w ciemności, kiedy tylko zamknę oczy, widzę to, mam ten obraz w oczach - ogień i ciemny dół. Cia i Moosejaw powstali z martwych i Cia, wciąż od nowa, próbuje go uratować. Nigdy jej się to nie udaje. Woła go po imieniu, próbuje go dosięgnąć, w ręce ściska uschnięty bukciek, ale Moosejaw zawsze kończy w grobie, a nad nim szaleje ogień. Patrzy na mnie do góry, a ja spoglądam w dół na niego, ale nie potrafię mu pomóc. Potem języki ognia zaczynają lizać jego sierść, a dym kłębi się nad nim i już go nie widzę. Wreszcie dostrzegam Cię unoszącą się pod powierzchnią swojego wodnego grobu. Klękam nad nią i w tej chwili jej oczy się otwierają, a ja się budzę. Jestem zrana potem i ciężko oddycham. Czasem po otwarciu oczu Cia wyciąga rękę nad wodę i chwyta mnie za nadgarstek. Czuję ucisk jej palców. Budzę się i słyszę szepczące do mnie ściany. Syczą i zgrzytają jak radio, kiedy pojawiają się w nim zakłócenia, zasłony wydymają się delikatnie, choć pionowo otwierane okna są mocno zamknięte. Patrząc w dół i zauważam, jak małe czerwone wgłębienia na moich rękach stopniowo bledną.

W jakiś sposób tylko w moich snach nadal jestem żywa i coś czuję. Czuję lęk. Kiedy moje serce przestaje walić w klatce piersiowej, a lęk ustępuje, przez chwilę doznaję smutku tak głębokiego, że może pociągnąć mnie w dół i utopić. Potem zamykam się w sobie i zaczyna się niekończąca się szarzyzna dnia.

I tak mija czas - jak przykryty zmętniałą folią, która przyćmiewa wydarzenia dnia i łagodzi prerażenie w nocy.

Pewnego dnia wchodzę do sypialni Mamy i Taty i znajduję Mamę siedzącą na podłodze, otoczoną morzem zdjęć. Te zdjęcia budzą mój przestach: Cia uśmiecha się szeroko z setek z nich. Mama płacze cicho.

Stoję niepewnie w drzwiach i słucham, jak płacze wśród niezliczonych Cii, ale kiedy spogląda w górę, widzę, że uśmiecha się przez łzy. Zwisam z łóżka głową w dół, a obok Mama siedzi na podłodze. Sycimy się tymi zdjęciami i jesteśmy naprawdę razem, Mama rzeczywiście tu jest, dostrzega mnie, a ja się tym upajam. Mama mówi, że te zdjęcia to narkotyki. Cia uśmiecha się na nich jak kot z Cheshire. Tata wchodzi do pokoju i kiedy zatrzymuje się gwałtownie, myślę, że wyrwie nam fotografie z rąk i je podrze. Robi zamach ręką - zaraz

177

uderzy Mamę. Ale nie - jego ręka bije powietrze, a on wydaje dziwny gardłowy dźwięk. Potem klęka i wybiera jedno zdjęcie. To Cia z kameleonem na głowie przy Mermaid's Pool. Stoi pod ogromnym drzewem, ociekająca wodą w swoim wspaniałym pomarańczowym bikini i patrzy na mnie trochę z boku, wydaje się boleśnie zawstydzona. Tata patrzy na to zdjęcie przez dłuższą chwilę, a później przyciska je do piersi i zaczyna lkać.

Teraz jest lepiej. Złość Taty zelżała, jego naprężona skóra się rozluźniła, a on nie wrzeszczy już na A/s, ale jednocześnie nie jest już taki sam. Teraz wokół jego oczu pojawiły się głębokie cienie. Kiedy wraca z walki, nie przygotowuje już zasadzki. Widzę te cienie i wiem, że on nigdy już nie będzie taki sam.

Mama chce uratować Oupa. Trzeba go uchronić przed nim samym.

- Jest jakaś próżność w poczuciu winy, Patricku, w pielęgnowaniu jej, a w pogardzie dla samego siebie tkwi jakieś kokieteryjne uzalanie się nad sobą.

Oupa nie wygląda na szczególnie wdzięcznego. Mama zmusza go, by zażył swoje muty, nie wolno mu wyjmować sztucznej szczęki i musi jeść rosół. Oupa mówi, że jej labiedzenie nad nim może popchnąć człowieka do pijaństwa, że nie może odżałować spokoju, jaki ona zrujnowała, i że być może wszystko będzie z nim w porządku. Mama stawia zdjęcie Cii z Mermaid's Pool na kominku. Obserwują ją teraz upiorne oczy pradziadka.

Jednak część magii się ulotniła. Wróżki zbladły i umarły, ich skrzydła kruche jak skrzydła ważek. Teraz robaczki świętojańskie są tylko robaczkami świętojańskimi, świecącymi delikatnie pod krzakami w nocy.

23

A teraz oczywiście straciliśmy wszystko. To są jej słowa, Mamy, wypowiedziane słabym, łamiącym się głosem. Wziął to Towarzysz Mugabe. Widziałam go w telewizji, jak składał przysięgę. Odtąd zapamiętuje wolność i pokój. Tata mówi, że jego przemowa to stek zimnowojennej retoryki. Powietrze jest naładowane elektrycznością i niektórzy z Afs z farmy przyglądają się Tacie z nową urazą.

Mama i Tata posadzili mnie przy stole jadalnym i ostrzegli, bym

w szkole nie mówiła nic złego na temat naszego nowego przywódcy, i kazali mi przysięgać, że prędzej umrę, niż powtórzę cokolwiek z tego, co Oupa mówił na temat nowych rządów. Szpieczy są wszędzie - mówili - nawet twój sąsiad może na ciebie donieść. Tak mówili, ale ja wiedziałam, że to raczej nie mógłby być nasz sąsiad, o nie, to raczej mógłby być Gaddaffi. Gaddaffi chodził ze mną do klasy, a jego ojciec jest miejscowym podżegaczem. Gaddaffi przyjeżdżał do szkoły w limuzynie z szoferem, co na mnie i na Deltu robiło wielkie wrażenie. Nawet jeżeli to nie Gaddaffi cię zadenuncjował, mógł to być ktokolwiek inny z czarnych dzieciaków, które zaczęły chodzić do naszej szkoły, od kiedy po uzyskaniu niepodległości wolno im było zaciemnić jej przestrzeń. Nie ufaj nikomu. Ale za ich plecami nazywaliśmy ich Niepływakami i wyśmiewaliśmy się z ich wystających z brzuchów pępeków. Szybko jednak było ich więcej niż nas i Mama i Tata zabrali mnie ze szkoły dla Niepływaków.

W mojej nowej szkole nie muszę śpiewać piosenki z nowymi nazwami dla każdego miejsca w kraju: „Salisbury-Harare! Victoria-Masvingo!” i tak dalej, ale te miejsca zmieniają się i tak - stracono

179

posągi Livingstone'a, Rhodesa i Selousa, a flaga zyskała teraz kolory walki o wolność i już nie śpiewamy na apelach „Podnieście się, głosy Rodezji”. Teraz śpiewamy „Nkosi Sikelel' i Africa”.

Na jednej z blokad drogowych, które wyrosły na drodze do miasta, policjant długo studiuje dokumenty Taty. Mruży oczy i przygląda się badawczo podejrzanym fragmentom. Potem z wyraźną przyjemnością grzebie w bagażniku samochodu. Jego podwładny patrzy z zainteresowaniem, trzymając strzelbę od niechcienia wycelowaną w brzuch Taty. Potem policjant zatrząskuje bagażnik, uśmiecha się do mnie i pyta, czy nie mamy coli, by ulżyć mu w pracy, od której strasznie go suszy. Rzeczywiście, pod jego pachami widnieją wyraźne plamy potu.

Tata spalił swój wojskowy mundur i starą flagę rodezyjską, która wisiała na ścianie za barkiem obok miedzianego zegara w kształcie słonia. Rozpaliliśmy wielkie ognisko przy stercie kompostu. Tata polał je benzyną i gryzący dym kłębił się ponad nami, kiedy kremowane były wszystkie lata walki. Swoją błyszczącą odznakę i medale ukrył jednak na strychu. Mama nazwała go starym sentymentalnym palantem i powiedziała, że szuka kłopotów. Nawet jeżeli Tata zauważył, że na zbierającym się przez lata kurzu widnieją ślady dwóch kompletów małych odcisków palców, to nic nie powiedział.

Docierają do nas pogłoski o Matabelelandzie na południu. Pogłoski o masakrach. Jobe je słyszał i załamywał ręce, ale w radiu mówiono tylko o pokoju i wolności i potępiano rasistowskich wrogów państwa, starających się doprowadzić do jego upadku za pomocą kłamstw i zdrady. A potem, pewnego dnia, przyszedł list.

Został napisany pięknym, ozdobnym pismem wykształconego w szkole misyjnej autora i informował o zamordowaniu ostatnich osób z rodziny Jobe przez ludzi nazywanych Piątą Brygadą¹. Kobiety zostały pohańbione, wodzowie plemienia torturowani, a wioska zrównana z ziemią. Mieszkańców pochowano w zbiorowym grobie, mówił list, mężczyźni, kobiety i dzieci, podziurawionych kulami. Jobe płakał. Piąta Brygada - elitarny oddział wojskowy w Zimbabwie, utworzony w 1981 i rozwiązany w 1988 roku po oskarżeniach o brutalność i morderstwa podczas okupacji Matabelelandu (1982-1985) (przyp. red.).

180

Niedługo po tym wydarzeniu otrzymaliśmy nakaz wywłaszczenia, co oznacza, że rząd zabiera twój dom. Będzie Skonfiskowany. Urzędnik rządowy w ciemnym garniturze przyjechał z mnóstwem uzbrojonych w AK47 nastolatków w zdezelowanych wojskowych ciężarówkach. Młodzi kroczyli dumnie ze swoimi kałasznikowami, a Tata zwracał się do urzędnika „sir” i dużo się kłaniał, a potem podpisał jakiś papier. I w następstwie tego żadne z nas nie musi zajmować się spadkiem po Pradziadku - Cia nie żyje, a teraz spadek też jest martwy, kiedy przyszło nam zapłacić za nienależne Pradziadkowi zyski. Myślę o nim czasem, o jego pustych oczach, jego krwi, pocie i łzach, które wsiąkły w tę ziemię.

Później Mama, Tata i Owpa patrzyli ze stoep na zachód słońca, a potem upijali się długo w noc, korzystając ze zbioru starych win należącego do Pradziadka. Większa część kolekcji nie była dobra - trąciła korkiem, mówili. Siedziałam na górze schodów, przełożywszy nogi i ręce przez balustradę, i ich słuchałam.

- No cóż, nie możemy jednak powiedzieć, że źle wykorzystaliśmy swój czas, prawda? Ale dni mukiwa się skończyły - powiedział Tata, do nikogo w szczególności.

Owpa skinął głową z mądrą miną.

- Yhm - mruknął Tata, radośnie pijany. - W Afryce jest piekło, naprawdę. Na zdrowie!

Owpa i Mama z chętnie dołączyli do toastu, stukając się kieliszkami i pociągając złe, trącące korkiem wino.

- Pamberi chongwe! - Wykrzyknął Owpa z entuzjazmem i rozbił swój kieliszek o stół.

Ale to był ostatni raz, kiedy Oupa zrobił coś z entuzjazmem. Tak jakby nie mógł opuścić tej ziemi, siedziby jego przodków. Skurczył się, zanim zmarł. Współczułam mu, choć współczucie było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Pod koniec po prostu zgasł. Pamięć bardzo starego człowieka składa się ze sterty błahostek - kłótnia ze służącym, szukanie zaginionego psa, wyraz twarzy dawno zmarłego brata, deszcz zacinający w burzowe popołudnie siedemdziesiąt lat

temu. Wszystko, co naprawdę się liczy, znajduje się poza jego polem widzenia.

181

W ostatnich godzinach odzyskał nieco swojej dawnej żywotności i przysięgam, że to ksiądz, wezwany do jego łoża śmierci przez Tatę, przywrócił go na chwilę do życia.

- „Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię”².

Te słowa były piękne, tajemnicze, kojące jak woda.

- „Chociażbym chodził ciemną doliną - zaintonował młody kleryk o pąsowej twarzy - zła się nie ulękę”³.

- A ja planuję biegać - mruknął Oupa.

- Proszę nie żartować, sir. Nie ma pan czasu na żarty - koniec jest bliski.

Oupa zachichotał.

- To prawda. I oczywiście dobro i łaska będą towarzyszyć mi w te ostatnie dni mojego życia.

Kucnęłam w kącie pokoju, kiedy Jobe przyszedł pożegnać umierającego. Stał przy łóżku Oupa z uroczystym wyrazem twarzy, w rękach miał stary filcowy kapelusz i zaproponował mu pomoc własnego boga:

- Ech, Baba, mój Bóg mieszka w górze. Jest stawem wody w niebie. Mój Bóg sprowadza deszcz, daje życie. Docieram do mojego Boga poprzez moich przodków, moich amadlozi. Wielbię go i tańczę. Moi amadlozi zawsze są ze mną, a głos mojego Boga przychodzi z wnętrza, od zarania dziejów. On jest w ziemi, w korzeniach drzew. Ech, Baba, czy chcesz poznać mojego Boga?

- Ten bóg, umkhulu - zaśmiał się Oupa - to bóg, którego już znam.

Jobe przechylił głowę.

- Cóż, staruszku, dotarłem do końca drogi i przyszedł czas, bym wyruszył w nową podróż.

- Wiem - zgodził się Jobe.

- Wszystko się zmienia - powiedział Oupa. - Mój czas dobiegł końca. Miejscowi są niespokojni.

Psalm 23 (22), Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań -

Warszawa 1980 (przyp. tłum.).

Tamże (przyp. tłum.).

182

- Yebo, Baba, młodzi są niespokojni.

To ja widziałam go ostatnia. Kręciłam się przy drzwiach pokoju, w którym leżał, i ze ściśniętym gardłem patrzyłam, jak apatycznie wpatruje się w nierówny sufit, dysząc piskliwie. Poruszył się, kiedy podeszłam i wzięłam go za rękę.

- To był taki piękny dzień, pomyślałem, że szkoda wstawać - żartował.

Uśmiechnęłam się.

Przez dłuższą chwilę uśmiechał się do mnie w odpowiedzi.

- Nie pozwól, aby tak się skończyło - odezwał się. - Przekaż im, że coś powiedziałem.

I to było wszystko. Mogłabym później to upiększać, ale wówczas bym kłamała. Prawda jest taka, że Oupa zmarł, wysuszony jak liść na wietrze. Mało pozostało z tego, kim kiedyś był, ze świata, w jakim przyszło mu żyć. Zabrał ze sobą nawet wspomnienia z tego świata, a jego śmierć nieomal przyniosła ulgę tym, których pozostawił za sobą. Tylko ci, których przedwcześnie zabrali z tego świata samolubni bogowie, na zawsze żyją młodzi, piękni, wszystko, czym mogli być, nie zostaje oszpecone przez porażkę, a bliscy, którzy ich kochali, nie przestają za nimi tęsknić.

A teraz dom jest pusty, nasze życie w skrzyniach, w pokojach cytadeli Pradziadka już rozbrzmiewają głosy duchów. Zwierzęta zostały sprzedane na aukcji, pracownicy farmy - wyeksmitowani, wciąż dźwięczą mi w uszach ich błagania: „Eh, Baas, a co z naszą pracą, Baas? Moje dzieci są głodne, Baas!” Farma jest opustoszała, jeśli nie liczyć pozostałości ewakuacji. Kurz unosi się w powietrzu w pustych magazynach paszy, gdzie skakałyśmy kiedyś na workach mielies, wodorosty, które przylgnęły do ścian pustego zbiornika, jeszcze nie wyschły i nie złuszczyły się, a pasy wilgotnego biltong zwisają żałośnie w rzeźni. Powoli wchodzę po skrzypiących schodach i w końcu znajduję się na strychu, na naszym strychu, Cii i moim, i Moosejawa. A także Angelique. Strych również został ogołocony i jest tak cienisty i jakby za mgłą, jak zawsze, ale światło przenikające przez oprawne w ołów szybki wydaje się zaczarowane. Stoję w przykurzonej ciszy i słucham.

183

Spoglądam w dół na metalowe pudełko, które przyniosłam w ręce. To jedna ze starych puszek na tytoń należących niegdyś do Oupa, niebieska, rdzewiejąca na krawędziach, na wieczku pływający donikąd statek. Każda z nas, Cia i ja, miała kiedyś pudełko na skarby, małe skarbnice szczęścia. Podważam pokrywkę i dotykam zgromadzonych w środku przedmiotów, każdy z nich przepelnięny magią, szleszczący od wspomnień - ząb, kiel guźca, pens z mennicy Imperial Rhodesian, oko Grovera wyrwane przez Moosejawa, grawerowane srebrne pudełko na lekarstwa, ukradzione z wyprawy ślubnej Ouma, z fasolką szczęścia i piórem z ogona perliczki w środku. Poniżej znajduje się pognieciona fotografia zmarłych - mężczyzna trzymający w ramionach malutką córeczkę - wyblakła, poplamiona wodą i smutkiem, oraz, przycupnięty w rogu, wysuszony korpus skarabeusza z malutkim drucikiem przebitym przez jego róg. Nie wiedziałam, że

tam jest. Klęcząc na podłodze, zastanawiam się, dlaczego Cia ukryła swój amulet w moim pudełku. Ale teraz nie ma czasu na takie rozważania. Zamykam pudełko, wdrapuję się na jedną z niskich smołowanych krokwi i ukrywam moje pudełko za jętką.

Teraz nie pozostało mi już nic do zrobienia. Włóczę się po łupinie Modjadji, liście zaśmiecają kąty i kominki i widzę dom w nadchodzących latach. Pozostawione bez kontroli pnącza, które zawsze próbowały zadusić filary ustawione wzdłuż frontowego stoep, opanowały cały gmach - grube liny splecionych łodyg opadają z belek podporowych. Dom się zestarzał. Skurczył się oczywiście, ale stało się coś więcej, nasz wyjazd osłabił go w walce z czasem, nadwątlił jego charakter. Wciąż zdobi go szczyt w stylu cape dutch, ale dach za szczytem zapadł się, a ściany znaczone są dziurami od kul.

Przy drzwiach kuchni zauważam, że Jobe po raz ostatni zrobił dla mnie herbatę i kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Siadam na kamiennych schodach, ściskam w dłoniach kromki chleba i wsłuchuję się w dalekie dźwięki startującego silnika landie oraz w odgłos ciągnącego przyczepę traktora, kiedy toczy się do magazynu - na przyczepie siedzi gromada A/s, którzy gwizdzą i obrzucają wyzwiskami swojego kierowcę, kiedy on stara się niewprawnie zawrócić na stanowisko załadunkowe. Spoglądam w dół i widzę Cię, jak siedzi poniżej na stoep. Z jakiegoś powodu nie jestem zaskoczona.

184

Uśmiecham się do niej, potem uroczyście zdejmuję połowę mojej kanapki i powoli zlizuję nadzienie. Ona odpowiada mi uśmiechem - nieśmiała, niezwykle zadowolona z siebie. Wspomnienie tego uśmiechu kota z Cheshire, uśmiechu, którego znalezienie w pamięci zajęło mi tak wiele czasu, napędza mnie głębokim bólem. Zamykam przed nim oczy i czuję gorącą, lepka dłoń Cii w mojej.

Słowniczek

Abelungu.....biali ludzie (Zulu/Ndebele, liczba mnoga od tematu -lungu)

Af(s).....czarny Afrykanin (czarni Afrykanie) (slang rodezyjski, skrót od „Afrykanin”)

Ag.....okrzyk (slang afrykanerski, nie ma bezpośredniego tłumaczenia)

Amadlozi.....duchy przodków (Zulu/Ndebele, liczba mnoga od tematu -dlozi)

Amaphoyisa.....policja (Zulu)

Baas.....szef (slang afrykański)

Baba.....ojciec (Zulu/Ndebele, uprzejma forma zwracania się do starszego mężczyzny)

Bayede.....witaj (Zulu/Ndebele, pełne szacunku pozdrowienie członków domu królewskiego)

Biltong.....paski suszonej wołowiny lub dziczyzny

(slang afrykanerski)

Bi-scope.....kino (rodezyjski angielski)
Bloed-vermenging ... mieszanie się krwi (slang afrykanerski)
Boere orkes.....zebranie farmerów (slang afrykanerski)
Boer.....farmer (slang afrykanerski)
Braai.....barbecue (slang afrykanerski, skrót od „braai vleis”, co oznacza grillowane mięso)
Broekies.....spodnie (slang afrykanerski, wyraz pochodzi od słowa „broeke” - spodnie)
Bundu.....dalekie obszary (slang rodezyjski)
Busłweld.....dzikie tereny (slang południowoafrykański)
Charf.....udawać (slang południowoafrykański)
Eina.....okrzyk (ogólny slang, nie ma bezpośredniego tłumaczenia)
Eish.....okrzyk (ogólny język Bantu, nie ma bezpośredniego tłumaczenia)
Eiwe.....ty (slang rodezyjski, obraźliwa forma zwracania się do czarnego Afrykanina)
Flatdog.....krokodyl (slang rodezyjski)
Gammadoolahs.....dalekie obszary (slang rodezyjski)
Gijjima.....biegnij (Zulu/Ndebele)
Gogo.....babcia (Zulu/Ndebele, wymawiane z miękkim g)
Gogos.....robaki (slang rodezyjski, wymawiane z gardłowym g)
Hamba.....idź (Zulu/Ndebele)
„Hamba lusa!
Hamba fasa!”„Poluzuj! Zacieśnij!” (dialekt chilapalapa)
Hau.....okrzyk (ogólny język Bantu, nie ma bezpośredniego tłumaczenia)
Idlozi.....duch przodka (Zulu/Ndebele, liczba pojedyncza od tematu -dlozi)
Ijele.....więzienie (Żulu)
Impi.....armia (Żulu)
Indaba.....sprawa (Zulu/Ndebele)
Induna.....wódz plemienia (Zulu/Ndebele)
Ingane.....dziecko (Zulu/Ndebele)
Inja.....pies (Zulu/Ndebele)
Izimayini.....kopalnie (Żulu)
Ja.....tak (slang afrykanerski)
Jislaaik.....okrzyk (slang afrykanerski, nie ma bezpośredniego tłumaczenia)
Kaffir.....czarny Afrykanin (dosłownie: niewierny; obraźliwe)

- Kapenta.....lokalna nazwa dwóch gatunków małych ryb sprowadzonych z jeziora Tanganika
- Kaylite.....styropian (slang rodezyjski)
- Khaya.....dom (Zulu/Ndebele, temat wyrazu „ikhaya”)
- Koeksusters.....przysmak ze słodkiego plecionego ciasta (slang afrykanerski, dosłownie: pieczone siostry)
- Kraal.....zagroda (slang południowoafrykański)
- Lang-arm.....długie ramię (slang afrykanerski, oznacza typowo afrykanerski taniec, w którym tancerze oddaleni są od siebie na długość wyciągniętych ramion)
- Legotloszczur (północne Sotho)
- Lobola.....cena za pannę młodą (Zulu/Ndebele)
- Madala.....stary człowiek (Zulu/Ndebele)
- Makhulu.....babcia (Zulu)
- Mama.....matka (Zulu/Ndebele, uprzejma forma zwracania się do starszej kobiety)
- Maningi.....dużo (slang rodezyjski, słowo pochodzi od tematu -ningi w języku Zulu/Ndebele)
- Mielies.....kukurydza (południowoafrykański angielski/slang afrykanerski)
- Mielies-meal.....posiłek z kukurydzy (południowoafrykański angielski)
- Miggie.....muszka lub komar (slang afrykanerski)
- Mombies.....bydło (slang rodezyjski, wyraz pochodzi od słowa „mombes” w języku Shona)
- Mossie.....wróbel (slang afrykanerski)
- Mudzimu.....duchy przodków (Shona)
- Mukiwa.....biały człowiek (slang Bantu, słowo oznacza też dziką figę)
- Munt(s).....czarny Afrykanin (czarni Afrykanie) (pochodzi od słowa „umuntu” w języku Bantu, oznaczającego człowieka; obraźliwe)
- Murungu.....biały człowiek (Shona)
- Mush/mushi.....bardzo miło (slang rodezyjski)
- Muti.....lekarstwo (slang rodezyjski, wyraz pochodzi od słowa „umuthi” w języku Zulu/Ndebele)
- N'anga.....szaman (Shona)
- Nkosi.....król lub wódz (Zulu/Ndebele, forma słowa „inkosi”, sposób zwracania się do króla lub wodza)
- Oom.....wujek (slang afrykanerski)

Ouma.....babka (slang afrykanerski)
Oupa.....dziadek (slang afrykanerski)
Ousie.....babunia (slang afrykanerski)
Padkos.....pakowany lunch (slang afrykanerski,
dosłownie: jedzenie na drogę)
Panga.....maczeta (słowo pochodzi ze
wschodniej Afryki)
Picanin.....dziecko (slang rodezyjski, słowo
pochodzi z języka portugalskiego)
Plaas-jaapie.....prostak (slang afrykanerski)
Predikant.....kaznodzieja (slang afrykanerski)
Putsi.....duża zielona mucha, która zazwyczaj
składa jaja na mokrych ubraniach lub
pościeli, wywołujące muszyce
Sadza.....posiłek z kukurydzy (Shona, podstawowe
pożywienie w Afryce Południowej)
Sangoma.....szaman (Zulu/Ndebele)
Shebeen.....nielegalny bar (Żulu)
Shesha.....pospiesz się (Zulu/Ndebele)
Shongololo.....ogromny afrykański krocionóg (wymawiane
także „chongololo”)
Shumba.....piwo (slang rodezyjski)
Sis.....obrzydliwy, odrażający (slang afrykanerski)
Sjambok.....bicz (slang afrykanerski)
Skou.....przedstawienie (slang afrykanerski)
Soet koekies.....słodkie ciasteczka z przyprawami
(slang afrykanerski)
Sommer.....coś w rodzaju (slang afrykanerski)
Spaza shop.....sklep wielobranżowy (slang
południowoafrykański)
Sterek.....bardzo; bardzo dużo (slang rodezyjski)
Stoep.....weranda (slang afrykanerski)
Takkies.....trampki(slang rodezyjski/
południowoafrykański)
Tokoloshe.....mityczne stworzenie (wiara w nie jest
rozpowszechniona w Afryce Południowej),
brązowe, owłosione i z wyglądu
podobne do karła, bardzo psotne, ale
pod kontrolą czarownicy staje się złe
Troopies.....żołnierze armii rodezyjskiej
(slang rodezyjski)
Ubudoda.....męskość (Zulu/Ndebele)
Udokotela.....doktor (Żulu)
Umfana.....chłopiec (Zulu/Ndebele)
Umkhulu.....dziadek (Zulu/Ndebele, uprzejma lub

wyrażająca szacunek forma)

Umlungu.....biały człowiek (Żulu / Ndebele, liczba pojedyncza od tematu -lungu)

Umoya.....dusza (Zulu/Ndebele)

Umshini.....maszyny (Żulu)

Vaderland.....ojczyzna (slang afrykanerski)

Veld.....dzikie tereny (slang południowoafrykański, słowo pochodzi od wyrazu „bustweld“)

Voetsek.....odejść, idź sobie (slang afrykanerski; obraźliwe)

Volk.....ludzie, naród, państwo (slang afrykanerski)

Volkskas.....Lokalny Fundusz Zapomogowy, towarzystwo budowlane (slang afrykanerski)

Voorkamer.....formalny salon (slang afrykanerski, dosłownie: pokój frontowy)

Wildebees.....antylopa gnu (slang afrykanerski, dosłownie: dzikie zwierzę)

Yebo.....tak (Żulu)

seria z.

przyprawami

Selma Lonning Aaro

Lewą ręką przez

prawe ramię

Mężczyzna stoi na chodniku i całuje kobietę.

Pozornie bez powodu wybiega na ulicę

i zostaje potrącony przez samochód. Kim

jest ten mężczyzna? Co nim kierowało? I czy

jest ktoś, kto go naprawdę zna?

Lewą ręką przez prawe ramię to wzruszająca i zarazem wstrząsająca opowieść o tym, jak niewiele wiemy o swoich najbliższych i o samotności w tłumie.

Selma Lonning Aaro, ur. 13 lipca 1972, norweska pisarka i felietonistka.

Studiowała teatrologię, literaturę oraz media. Zadebiutowała w 1995 roku powieścią *Den endelige historien* („Ostatnia opowieść”), za którą otrzymała nagrodę Wydawnictwa Cappelen dla najlepszej debiutantki. Wydała sześć powieści dla dorosłych i jedną dla młodzieży.

Fragment książki:

Najdroższa siostrzo! Tata kochał nas obie: ciebie i mnie. Jestem podobna do Helen Muller. Ona jest złym człowiekiem i ja jestem złym człowiekiem. Orlica zostawiła bez pomocy marynarza, który cierpiał na chorobę morską. Zostawiła go leżącego przed hotelem *The Grand Illusion*, chociaż mógł zamarznąć albo wykrwawić się na śmierć. Nie ruszyła nawet palcem, żeby go uratować - dokładnie tak jak ja nie ruszyłam palcem, żeby pomóc Henry'emu. Zostawiłam go na pastwę losu.

Może właśnie to powinnam zrobić z palcem, którego ukradłam? Ruszyć nim? Zacząć działać?

seria z.

przyprawami

Aryn Kyle

Bóg zwierząt

Żadna powieść ostatnich lat nie oddaje tak trafnie charakteru amerykańskiego Zachodu.

Kyle to absolutne odkrycie, a jej książkę czyta się doskonale.

Andrew Sean Greer

autor *The Confessions of Max Tivoli*

Kiedy jej starsza siostra ucieka z domu, by poślubić kowboja, na barki Alice Winston spada ciężar rodzinnych problemów: cierpiąca na depresję matka, powściągliwy, przepracowany ojciec i podupadłe ranczo. Aby związać koniec z końcem, Winstonowie zajmują się rozpieszczonymi końmi bogatych sąsiadów. Alice pierwszy raz w życiu ma okazję zetknąć się z władzą i bezpieczeństwem, które zapewniają pieniądze. Ponieważ losy i pomyślność jej rodziny splatają się z życiem klientów, dziewczyna zostaje wciągnięta w dorosły świat tajemnic i trudnych prawd, a wkrótce odkrywa, że ludzie - w tym również ona - mogą być okrutni, mogą kłamać i oszukiwać, choć czasem potrafią także zrobić coś bezinteresownego i poruszającego serce. W końcu Alice wraz ze swoją rodziną musi przetrwać serię wstrząsających, burzliwych wydarzeń, które wystawiają na próbę jej miłość i dowiodą potęgi wybaczenia.

Mądra i zadziwiająca powieść o różnych obliczach miłości, a także o często wygórowanej cenie, jaką trzeba płacić na drodze ku dorosłości.

Aryn Kyle wychowywała się w Grand Junction w Kolorado. Studiowała literaturę na Uniwersytecie Stanowym Montany, gdzie uzyskała tytuł magistra. Jej utwory ukazywały się między innymi w „The Atlantic Monthly”, „Ploughshares”, „The Georgia Review”, „Best New American Voices 2005”, „Best American Short Stories 2007”. Jest laureatką Rona Jaffe Award i National Magazine Award w dziedzinie literatury. Mieszka w Missoula, w Montanie.

www.smakslowa.pl

Lauren Liebenberg dorastała w Rodezji w czasie wojny domowej. Jeszcze jako dziecko opuściła kraj, który później miał przekształcić się w Zimbabwe. Wraz z pracującym w kopalniach złota ojcem udała się na południe, do Johannesburga, gdzie mieszka do dziś. Uzyskała tytuł magistra zarządzania na University of Witwatersrand. Jest mężatką, ma dwoje dzieci. Smak dżemu i masła orzechowego to pierwsza

powieść Lauren Liebenberg.